
3 1761 07043579 7

80

# NASZE DZIEJE W OSTATNICH STU LATACH.

ST. TARNOWSKI.

# NASZE DZIEJE

## w ostatnich stu latach.

WYDANIE DRUGIE UZUPEŁNIONE.

W KRAKOWIE.
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1895.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI,
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



Uczą nas w szkołach i w książkach piszą nam często o dawnych czasach i dziejach. Słusznie to i dobrze. Należy się wiedzieć, jak tu u nas było i co się działo przed stu laty, i przed dwustu i dawniej; należy się i miło jest znać i pamiętać Sobieskiego, Batorego, Zygmuntów, Jadwigę, Kazimierza i dalej aż do pierwszych królów, do Chrobrego i Mieczysława. Ale to źle, że kiedy o wiekach przeszłych przecie coś uczymy się i wiemy, to o tem zapominamy a nie słyszymy prawie nic, co się z nami działo w tym ostatnim, teraz właśnie kończącym się, wieku dziewiętnastym. Uczniowie w gimnazyach zwykle kończą swoją szkolną naukę na ostatnich zdarzeniach przeszłego ośmnastego wieku; książek opisujących dzieje naszego wieku jest mało, i choćby kto szczerze chciał, nie bardzo ma zkąd o nich się dowiedzieć. A przecież wiadomość to potrzebna i ciekawa. To to, co się na naszej ziemi działo za naszych ojców i dziadów; to zdarzenia, które się łączą ściśle z temi, na które my sami patrzymy; to wreszcie obraz różnych kolei, jakie nasz naród w ciągu ostatnich stu lat przebywał, kiedy swojej niepodległości już nie miał, a przecie dzięki Bogu i dzięki swojej woli i zasłudze, nie stracił ani swojej wiary, ani swojej miłości ojczyzny, ani swojego języka, ani swego życia. Umyśliliśmy tedy opowiedzieć krótko dzieje nasze od rozbioru Polski, czyli w ciągu tego ostatniego dziewiętnastego wieku.





WIDOK WARSZAWY Z KOŃCA XVIII WIEKU
(według współczesnej ryciny Bogumiła Schiffnera).

I.

# Po trzecim Maja.

Przypomnijmy sobie naprzód dla lepszego zrozumienia to, co zaszło w ostatnich latach dawnej niepodległej Polski i jakim sposobem przyszło do jej drugiego i trzeciego rozbioru.

Konstytucya 3go Maja miała przywrócić w Polsce porządek, a z nim siłę. Na to nie chciała pozwolić Rosya, której zamiarem było: albo Polskę zabrać, albo przynajmniej utrzymywać ją w nieładzie i niemocy, a przez to w zależności od siebie. Skorzystała więc Rosya z dawnego złego zwyczaju polskiego, i przez swoich stronników zawiązała konfederacyę przeciw ustawie 3go maja. Konfederacya ta, zwana Targowicką (od miasteczka, w którem niby była zawiązana, choć naprawdę ułożono ją i podpisano w Petersburgu), prosiła cesarzowej Katarzyny, żeby *uciemiężoną wolność polską* wzięła w obronę. Tych złych obywateli, co prośbę tę podpisali, było zrazu tylko jedenastu przeciw całemu narodowi, który ustawę 3go maja przyjął i zaprzysiągł; ale Katarzynie o to nie chodziło wcale, tylko o pozór do wmieszania się w sprawy polskie. Oświadczyła więc królowi i Sejmowi w Warszawie, że jeżeli konstytucyi 3go maja zaraz nie odwołają i nie zniosą, ona wyda im wojnę *w obronie* (niby) *wolności polskiej*. Sto tysięcy rosyjskiego wojska weszło w granice Rzeczypospolitej od Kijowa. Wojsko polskie, choć daleko słabsze, biło się doskonale i wstrzymywało pochód Moskali. Jego wodzem naczelnym był wtedy książę Józef Poniatowski, synowiec króla, a najwyższym po nim był Kościuszko. Dwa razy, pod Dubienką i pod Zieleńcami pobili szczęśliwie nierównie liczniejszych Moskali. Ale wtem król, zamiast jak ciągle obiecywał przyjechać do obozu i stanąć na czele wojska, przysłał wojsku rozkaz, żeby zaprzestało walki. Co się stało? Ani wojsko, ani wodzowie, ani naród, nikt nie mógł zrozumieć tej zmiany w postanowieniu króla.

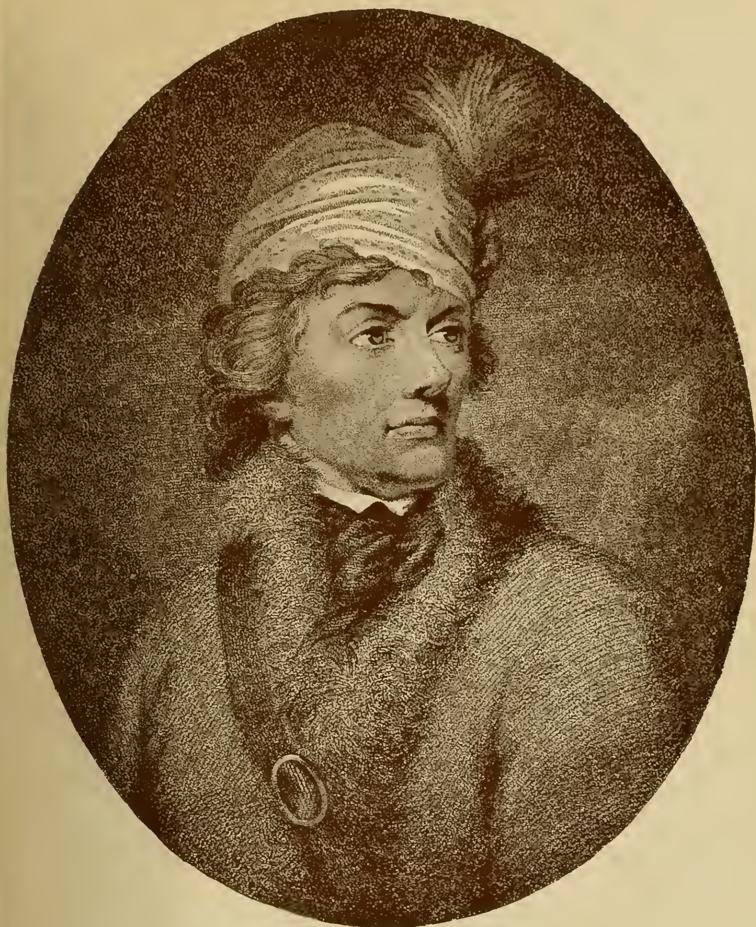
Stało się, że król Stanisław August, słaby i chwiejny zawsze, zaczął myśleć, że długo ogromnej sile rosyjskiej bronić się nie zdoła; że jeżeli nie ustąpi, to Rosya całą Polskę zabierze, a jeżeli się podda, to niepodległość ojczyzny ocali. Uwierzył złym doradcom i kłamliwym obietnicom rosyjskim i oświadczył, że przystępuje do konfederacyi Targowickiej. Tym postępkiem siebie splamił, a dobrego nie zrobił nic. Albowiem z ustaniem

wojny pokazało się zaraz, o co Katarzynie chodziło. Zaczęto niby przywracać dawną wolność polską, a naprawdę gwałtów, rabunków, wywożeń na Sybir było bez liku i miary. Z twórców i obrońców konstytucyi 3go maja kto mógł, uciekał z życiem za granicę. Ale mniejsza jeszcze o krzywdy ludzi: gorsza była krzywda narodu i państwa. Zalawszy kraj swojem woj-



KRÓL STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI
(według współczesnego portretu Bacciarellego).

skiem, Rosya przystąpiła teraz do dzieła, które już była naprzód z królem pruskim ułożyła: do drugiego rozbioru Polski. Sama zabrała większą część Litwy, Kurlandyę, Ukrainę, Podole i Wołyń prawie cały; Prusom pozwoliła wziąć Gdańsk, Toruń, Wielkopolskę, część Kujaw i Mazowsza. Ale żeby ten gwałt miał jakiś pozór prawa, trzeba było udać, że Sejm polski niby się na to godzi i zezwala. Pod przemocą tedy wojsk rosyjskich wybrano posłów i zwołano do Grodna (na Litwie) Sejm, na którym i posłów



TADEUSZ KOŚCIUSZKO
(według współczesnego sztychu).

i senatorów było bardzo mało, a uczciwych prawie nic: po większej części przekupieni albo zastraszeni. Ten tedy Sejm pod bagnetami rosyjskiemi niby to zatwierdził „odstąpienie" ziem polskich Prusom i Rosyi. Oczywiście i Sejm ten i jego uchwała były nieprawne, przed Bogiem i ludźmi nieważne, tak jak były ohydne i nikczemne. Twórcy konfederacyi Targowickiej: Szczęsny Potocki, wojewoda ruski, Ksawery Branicki, hetman wielki, Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, zmiarkowali teraz co



PRZYSIĘGA T. KOŚCIUSZKI NA RYNKU KRAKOWSKIM 24 MARCA 1794 R.
(współczesny rysunek M. Stachowicza).

zrobili. Błagali Katarzyny, błagali jej posła, żeby nie gubili Polski — napróżno. Zadrwiono z tych, którzy się dali użyć za narzędzie, i którzy teraz w zgryzocie i zasmuceniu mieli smutne kończyć życie. Po tym Sejmie nieszczęsnym została z Polski tylko mała część, i ta rosyjskiem wojskiem zajęta. Wojsko polskie miało odtąd liczyć wszystkiego szesnaście tysięcy ludzi.

Oburzenie i rozpacz były tak wielkie, że lada wypadek mógł sprowadzić nową walkę. Tym wypadkiem było zamierzone rozbrojenie wojska. Część jego pod dowództwem jenerała Madalińskiego nie chciała złożyć broni: to stało się początkiem powstania, które od swego naczelnika nazywa się Kościuszkowskiem. Kościuszko, w porozumieniu z Madalińskim i innymi, z Niemiec, gdzie się ukrywał od ostatniej wojny, przybył do Krakowa, objął dowództwo, wykonał przysięgę, że broni nie złoży, powołał



BŁOGOSŁAWIEŃSTWO POSPOLITEGO RUSZENIA WIEJSKIEGO PRZED BITWĄ.
(Rysunek P. Stachiewicza).

pod broń wszystkich obywateli wszelkiego stanu, ogłosił pospolite ruszenie ludu wiejskiego, rozkazał uzbroić je w kosy, i ruszył z Krakowa ku War-



BITWA POD RACŁAWICAMI
(według rysunku Walerego Eljasza).

szawie. Pod Racławicami (4go kwietnia 1794 r.) odniósł pierwsze nad Moskalami zwycięstwo, tem pamiętne, że tu po raz pierwszy lud wiejski bił się na ochotnika, a tak dzielnie, że z kosami w ręku zdobył całą baterye

armat rosyjskich. Wsławił się na zawsze tym czynem Bartłomiej Głowacki, gospodarz ze wsi Rzędowie w Krakowskiem. Za co mianowany chorążym i od wszelkich powinności poddańczych z rodziną na zawsze uwolniony. Wkrótce potem w Połańcu nad Wisłą wydał Kościuszko manifest, w którym ogłosił, że każdy poddany, który pójdzie do wojska, będzie na czas wojny wolny od wszelkich powinności, że powinności poddańcze zmniejszają się raz na zawsze o trzecią część, że każdemu wolno przenosić się i osiadać gdzie zechce; do możliwych sporów i skarg ustanawiają się w każdym okręgu osobni komisarze, a sądy mają wszelkie takie sprawy pilnie roztrząsać i sprawiedliwie załatwiać.



POWRÓT KOŚCIUSZKI Z POD RACŁAWIC
(według współczesnego rysunku M. Stachowicza).

W Warszawie tymczasem na wieść, że Kościuszko idzie, podniosła się ludność i wypędziła wojsko rosyjskie. Odznaczył się przy tem Jan Kiliński, szewc, mianowany zaraz pułkownikiem. Kościuszko wszedł do Warszawy; ale nieszczęściem wojska pruskie połączyły się z rosyjskiemi i zadały mu pierwszą klęskę pod Szczekocinami. Potem wyruszył na Moskali samych, wydał im bitwę pod Maciejowicami (nad Wisłą), ale sam ciężko ranny padł, bitwa została przegraną.

Była to już ostatnia.

Po swojem zwycięstwie poszli Moskale na Warszawę. Zatrzymali się na Pradze, przedmieściu Warszawy na prawym brzegu Wisły, spalili ją do szczętu, a ludność całą wycięli w pień. Liczą, że zginęło tam do czter-

dziestu tysięcy ludzi. Żołnierze wpychali bagnetami rannych i starców w ogień, kobietom rozpruwali żywoty, małe dzieci nadziewali na bagnety, a potem rzucali w płomienie!



JAN KILIŃSKI.
szewc warsz., pułkownik z czasów Kościuszki według współczesnego sztychu.

Warszawę byłby spotkał tensam los, ale wyprosił ją król Stanisław August, mówiąc, że ją poddaje, byle się nieprzyjaciel nad mieszkańcami nie pastwił.

Taki był koniec Kościuszkowskiego powstania. Potem już bez żadnego sejmu zrobiono rozbiór trzeci i ostatni. Prusacy wzięli Warszawę z całym krajem po Pilicę i Wisłę; Województwo krakowskie, Sandomierskie i część Lubelskiego wzięła Austrya; całą Litwę i resztę Rusi Rosya. Król Stanisław August, wywieziony do Grodna, tam podpisał zrzeczenie się tronu (potem zawieziono go do Petersburga, gdzie umarł w roku 1798 i jest pochowany). Kościuszko, a z nim wielu najdzielniejszych ludzi, jak Niemcewicz, Ignacy Potocki, Mostowski, Kiliński i inni, wywiezieni do Petersburga, osadzeni byli w srogiem więzieniu.

Działo się to w roku 1794, a w następnym 1795 trzy państwa podpisały trzeci rozbiór Polski.



II.

## Po trzecim rozbiorze.

Cóż się działo dalej?

Prusacy w swojej części zaprowadzili zaraz nowe prawa i urzędy, szkoły niemieckie i niemiecki język w sądach, w urzędach. Rosya zostawiła na razie dawne prawa polskie i język, ale Rusinów Unitów na Podolu i Wołyniu zaraz gwałtem zmusiła do swojej schyzmatyckiej wiary. Gdy w roku następnym umarła Katarzyna, wstąpił na tron jej syn cesarz Paweł. Ten miał lepsze serce, choć głowę na pół szaloną; wstydził się okrucieństw i bezecnej rozpusty matki, i chciał nie naprawić, ale złagodzić złe, jakie ona zrobiła. Kościuszkę i jego towarzyszy wypuścił zaraz z więzienia; poczem Naczelnik wyjechał do Ameryki, gdzie już za młodu walczył był w powstaniu Amerykanów przeciw Anglikom. W kraju u nas cicho i głucho; martwy spokój i rozpacz. Ale po za naszym krajem nie było spokoju wcale, owszem wrzała wojna w różnych stronach Europy.

W tym samym czasie, kiedy u nas zbierał się Sejm Czteroletni i pracował nad ułożeniem nowego lepszego porządku rzeczy, wzięto się do po-

dobnego dzieła we Francyi. Ale u nas złe pochodziło ze zbytku wolności, a ze słabości władzy; we Francyi przeciwnie był zbytek władzy, samowola królewska, która za dwóch zwłaszcza królów, Ludwika Czternastego i Piętnastego, doprowadziła ten kraj do nędzy i do rozpaczy. Nowy król, Ludwik Szesnasty, uczciwy, chciał złemu zaradzić, poddanych do udziału w rządzie przypuścić i zwołał *Stany Generalne* czyli sejm, którego tam już od wieków nie było. Ale z dobrego początku wyszedł koniec zły. Ludzie burzliwi, a po części przewrotni, opanowali ten sejm, utrzymywali kraj w ciągłym rozruchu, podburzali pospólstwo tak, że król z żoną i dziećmi bał się o swoją wolność i życie i uciekł z Paryża. Złapany w drodze, osadzony został w więzieniu i oddany pod sąd jako niby zdrajca ojczyzny. Jego przyjaciele i stronnicy tymczasem zaczęli u różnych królów sąsiednich prosić o pomoc przeciw Francyi. Otrzymali ją istotnie od Prus i od Austryi, ale królowi zaszkodzili tem najgorzej. Francuzi bowiem uwierzyli naprawdę, że to on obce wojska na kraj sprowadza, złożyli go z tronu, skazali na śmierć i ścięli na placu publicznym w Paryżu w roku 1793. W kilka miesięcy później ścięli tak samo jego żonę i siostrę; małego synka oddali do szewca, który go głodem i złem obchodzeniem na śmierć zamęczył. Bronili się Francuzi od obcych wojsk dzielnie, tę sprawiedliwość oddać im należy; ale na sobie samych popełnili okrucieństw i niegodziwości bez liku i miary. Ścięcie króla stało się początkiem niezliczonych innych. Nie było dnia, żeby w Paryżu kilkanaście, czasem kilkadziesiąt osób nie poszło pod *gilotynę* (tak się nazywała maszyna do ścinania głów). Kto tylko był posądzony, że sprzyja królowi, albo że przechowuje u siebie księdza, albo że ratuje kogo od więzienia i śmierci, taki był brany do więzienia jako podejrzany, niby to sądzony przez rozwścieklonych łotrów, składających tak zwany *Trybunał Rewolucyjny*, i posyłany na śmierć. W innych miastach, w Lugdunie i w Nantes, ścinać było im za długo, więc setkami topili tych nieszczęśliwych podejrzanych w rzece. Zginęło też mnóstwo księży, bo ta *Rewolucya* szczególnie była zawziętą na wiarę. Kościoły pozamykała, nabożeństw i Sakramentów nie dozwalała, Pana Boga uznała za głupi ludzki wymysł, a zaprowadziła nową religię i swoje nowe nabożeństwa. Nazywała to *religią rozumu*: a nabożeństwo tak się odbywało, że *Bogini Rozumu* (którakolwiek z wszetecznych niewiast paryskich) prawie naga, wieziona była w tryumfie do jednego ze zbezczeszczonych kościołów, tam stawiano ją na ołtarzu, śpiewano jej i kadzono.

Trwały te okrucieństwa prawie półtora roku. W końcu tak już Francuzów przeraziły i zmierziły, że wytrzymać nie mogli. Nikt nie był pewien jutra. Lada szpieg, albo nieprzyjaciel, mógł każdego podać do rządu jako podejrzanego i przyprawić go o śmierć. Wyglądali też w trwodze i niecierpliwości, czy ich co z tego stanu nie wybawi. Znalazło się kilku ludzi śmiałych, którzy w owym sejmie (nazywał się on *konwencyą*) stawili czoło naczelnikowi tego strasznego rządu, Robespierowi, jego samego oskarżyli, innych za sobą porwali, i Robespier, który setki tysięcy posyłał na gilotynę, sam pod gilotyną skończył. To była ostatnia exekucya i koniec tej strasznej rewolucyi.

Nastał we Francyi nowy rząd, zwany dyrektoryatem. Ten był łagodniejszy, ale niedołężny. Panowie dyrektorowie żyli wygodnie i przyjemnie, wydawali dużo pieniędzy, ale wojsk opatrzyć i rządzić nie umieli. A tymczasem wojna z zagranicznemi państwami, głównie z Austryą, trwała wciąż. Wojska francuskie biły się doskonale w Holandyi, w Niemczech, we Włoszech; ale bez pieniędzy, bez broni, bez ładu i rządu wewnątrz, długo bić się nie mogły. Wtedy zjawił się człowiek, który ten cały nieład i bezrząd miał opanować i ująć w silną rękę. Nazywał się jenerał Bonaparte. Był synem adwokata z miasta Ajaccio na wyspie Korsyce, uczył się w szkole wojskowej, zaczął służyć jako porucznik artyleryi. Zdolności miał tak nadzwyczajne, że zaraz zwrócił na siebie uwagę, i w wieku bardzo młodym mianowany został wodzem naczelnym armii walczącej przeciw Austryi we Włoszech. Tu w dwa tygodnie opanował całe królestwo Sardyńskie, w kilka miesięcy coraz nowemi zwycięstwami całe północne Włochy. Ten to jenerał Bonaparte został w lat kilka później cesarzem Napoleonem. Ale tymczasem zobaczmy, co z nim i z temi francuskiemi wojnami mieli wspólnego Polacy.

Polski niepodległej już nie było, jak wiemy: ale przy ostatnim rozbiorze została jeszcze część wojska. Nie całe biło się pod Maciejowicami, nie całe było pobite. To pozostałe wojsko, częścią pod jenerałem Dąbrowskim, częścią pod Kniaziewiczem i innymi, nie chciało się poddać. W kraju zostać nie mogło; nie byłoby dało rady wojskom rosyjskim i pruskim. Umyślili tedy wodzowie, a głównie Dąbrowski, pójść w jaką służbę obcą, zagraniczną, ale jako pułki polskie. Dąbrowski zaczął się układać z rządem francuskim, i rzeczywiście otrzymał przyrzeczenie, że Polacy będą przyjęci do służby, jako pułki osobne pod własnymi dowódcami i oficerami. Oświadczono zarazem, że mają być przyłączeni do armii włoskiej.

Zajął się tedy Dąbrowski zbieraniem i urządzeniem tego wojska. Na jego wezwanie ciągnęli do Włoch z Polski i z zagranicznych krajów oficerowie i żołnierze; i to był początek tych sławnych *Legionów*, które do dziś dnia żyją w naszych wspomnieniach i pieśniach, które cześć polskiego imienia i chwałę polskiego oręża podniosły tak wysoko, że w późniejszych wypadkach Polska zapomnianą i pominiętą być nie mogła.

Najznakomitszym, najzasłużeńszym z ówczesnych wodzów był Henryk Dąbrowski[1]). Ale obok niego świecili zdolnością i męstwem jenerałowie: Karol Kniaziewicz, Sokolnicki, Fiszer, Kossecki; między młodszymi oficerami wsławiony później Chłopicki i inni.

Wstępowali oni w tę służbę francuską z tą nadzieją, że los wojny przybliży ich do ojczyzny i że prędzej czy później bić się będą nie o włoską ziemię, ale o swoją. Wtedy to powstała ta pieśń narodowa, którą nazywamy pieśnią *Legionów*, która się zaczyna od słów „Jeszcze Polska nie zginęła“, a w każdej zwrotce powtarza „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi Włoskiej do Polskiej“.

[1]) Wizerunek na str. 19.

Ale ta nadzieja na razie zawiodła. Jenerał Bonaparte zawarł pokój z Austryą. Legiony zostały w służbie francuskiej, ale musiały kręcić się po Włoszech i ucierać z wojskami króla neapolitańskiego; co gorzej jeszcze, nawet papieskie posiadłości dla Francyi zajmować. Tyle było przynajmniej pożytku, że ich dzielność i męstwo coraz lepiej dawały się poznać, a rosła sława i ich własna wojenna wprawa i biegłość.

Jenerał Bonaparte tymczasem, chcąc zadać klęskę Anglikom, którzy stali zawsze na czele nieprzyjaciół Francyi, wyprawił się z wojskiem przez morze Śródziemne do Egiptu. Kraj to był (i jest) dla angielskiego handlu nader ważny. Wziął z sobą Bonaparte i część naszych legionistów. Egipt opanował łatwo; wprawdzie doznał potem od Anglików ciężkiej klęski na morzu, był w wielkiem niebezpieczeństwie, ale umiał wywinąć się z niego szczęśliwie; zajął jeszcze Syryę, kiedy doszła go z Francyi wiadomość, że rząd tam coraz niedołężniejszy, że armia walcząca w Niemczech, nieopatrzona, może być pobitą. Nie miał więc chwili do tracenia: dowództwo w Egipcie zdał innemu, wrócił czemprędzej do Francyi, obalił dyrektoryat (czyli ówczesny rząd), a sam objął najwyższą władzę z tytułem Pierwszego Konsula [1]).

Kiedy jenerał Bonaparte był w Egipcie, po zwycięstwie floty angielskiej pod Abukir, zdawało się, że on nie zdoła wrócić do Europy. Państwa europejskie chciały z tego skorzystać, i zawarły między sobą nowy związek przeciw Francyi. Należała do tego związku Anglia, Austrya, Prusy i Rosya. Toczyła się więc wojna dalej we Włoszech i w Niemczech, i to szczęśliwie dla państw sprzymierzonych. Wojska austryackie wypędziły Francuzów z północnych Włoch, rosyjskie weszły do Szwajcaryi, zkąd było bardzo blisko do Francyi; zdawało się, że z Francyą już bardzo źle. W takiej to chwili niebezpiecznej wrócił Bonaparte, i zaczął rządzić pod nazwą konsula, niby to z dwoma towarzyszami, ale naprawdę sam, bo dwaj inni konsulowie słuchali go we wszystkiem. Zawsze tak bywa, że kiedy wolność przejdzie w samowolę, a ta znowu w dziki bezrząd (jak w Rewolucyi francuskiej), to jeden tęgi człowiek — najczęściej wojskowy — bierze wszystko w rękę, porządek i bezpieczeństwo przywraca: ale staje się sam samowładnym panem narodu czyli despotą, a naród zmęczony bezrządem a zbrzydzony okrucieństwem, wita go jak zbawcę.

Tak było i teraz we Francyi. Konsul Bonaparte stanął na czele rządu i narodu, a przejął go takim dla siebie zapałem, że robił z nim co chciał. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że zrazu wszystko co robił, było dobre. Spokój i porządek przywrócił, kościoły pootwierał, księżom do kościołów, biskupom do dyecezyj wrócić pozwolił; ułożył doskonałą księgę praw, zwaną od jego imienia kodeksem Napoleona; z papieżem Piusem Siódmym zawarł *konkordat*, czyli układ, poręczający Kościołowi najkonieczniejsze prawa i swobody. Słowem, rządził jak człowiek roztropny i uczciwy, a bił się i zwyciężał jak nikt nigdy przed nim. Jak piorun niespodziewanie spadł

[1]) Konsulami nazywali się najwyżsi urzędnicy w dawnej Rzeczypospolitej rzymskiej. — Rzeczpospolita francuska, chcąc być do tamtej podobną, wznowiła ten tytuł.

na wojska austryackie we Włoszech, pobił je pod Marengo, zajął Medyolan, Genuę, i prawie cały kraj. Równocześnie drugie wojsko francuskie posunęło się naprzód w Niemczech, odniosło wielkie zwycięstwo pod Hohenlinden, do którego przyczynili się bardzo Polacy pod dowództwem jenerała Kniaziewicza, i zbliżyło się do Wiednia. Tu cesarz Franciszek zawarł pokój.

Takie nadzwyczajne szczęście zwykło ludzi wbijać w pychę. Bonapartemu już teraz nie wystarczało być konsulem, i naprawdę panem Francyi. Ogłosił się cesarzem pod imieniem Napoleona. Z krajów niepodległych, a teraz przez wojska francuskie zajętych, porobił królestwa i księstwa, na których poosadzał swoich braci i siostry. Jednego brata, Józefa, w Neapolu; drugiego Ludwika w Holandyi; trzeciego Hieronima w Westfalii (niemieckim kraju nad Renem): dwom siostrom i ich mężom nadał udzielne księstwa we Włoszech. Ale wszystkie te mniejsze kraje ze swymi królami i książętami miały być zależne od Francyi, i rozkazów cesarza ślepo słuchać. Żeby swojej nowej koronie dodać blasku, wymógł Napoleon na Papieżu, że przyjechał do Paryża; a Pius Siódmy, wdzięczny cesarzowi za przywrócenie Kościołowi praw, i z obawy, żeby potężnego mocarza nie obrazić, przyjechał istotnie i obrzędu koronacyjnego dopełnił.

Gdyby Napoleon był na tem poprzestał, byłaby Francya na długo została pierwszą potęgą na świecie, a on sam byłby umarł na tronie i synowi byłby tron zostawił. Ale rzadki ten człowiek, któremu powodzenie nie zawróciłoby głowy. Ze szczęściem rośnie pycha, z mocą rosnie żądza coraz większej władzy; dumny mocarz i zwycięzca już nie umie nad sobą panować, chce żeby go cały świat ślepo słuchał, w tej pysze kusi się o coraz nowe zdobycze, zrywa się na coraz nowe wyprawy. A gdy mu się raz noga powinie i szczęście go opuści, obracają się przeciw niemu wszyscy ci co go ze strachu słuchali, następują na niego, odbierają każdy swoje, — i niepohamowany zdobywca kończy w upadku i upokorzeniu.

Taki był i Napoleona koniec, ale jeszcze nie zaraz. Przez lat kilka po włożeniu cesarskiej korony, wiodło mu się jeszcze świetnie. Anglia zawiązała nowe przymierze, do którego należała oprócz niej Rosya, Szwecya i Austrya. Napoleon pobił wojska austryackie pod Ulm (w Bawaryi), potem połączone austryackie i rosyjskie pod Austerlitz (na Morawach), i znowu pobici musieli przyjąć taki pokój, jaki on im nałożył. Wtedy to skończyło się dawne Cesarstwo Niemieckie, które trwało lat tysiąc, a od trzechset zostawało w domu Austryackim. Rzesza niemiecka składała się z wielkiej liczby mniejszych i większych państw, księstw udzielnych, ale podległych cesarzowi, który był między królami Europy najdostojniejszym. Nie było to cesarstwo dziedziczne, ale po śmierci każdego cesarza zjeżdżało się siedmiu (później ośmiu) Elektorów (najwyższych książąt Rzeszy) do miasta Frankfurtu, i tam wybierali nowego cesarza. Ale od trzech wieków wybierali zawsze stale tego, który był głową domu Austryackiego, a jako taki był królem Węgier i Czech i panem dziedzicznym wielu innych austryackich krajów. Ten związek niemiecki jednak osłabł bardzo przez czas i przez różne okoliczności, wewnętrzne niesnaski, sprzeczne interesa panujących i t. d. Teraz, kiedy




NAPOLEON I. W STROJU KORONACYJNYM (podług portretu Gerard'a).

Austrya była pobita, Prusy zastraszone, a wszystkie mniejsze państwa niemieckie na łasce wszechmocnego Napoleona, książęta niemieccy sami, bojąc się żeby ich krajów nie zabrał, oświadczyli, że rozwiązują dawny związek niemiecki, i oddają się pod opiekę cesarza Francuzów. Franciszek Drugi (dziad dzisiejszego cesarza Franciszka Józefa) złożył cesarską koronę niemiecką, a przyjął odtąd tytuł *Cesarza Austryi.*

Uległy w tem Niemcy przemocnej woli Napoleona, ale do żywego dotknięte w swoich uczuciach narodowych, czekały tylko na sposobną porę, żeby się pomścić.

Rosya, oddzielona od Francyi całą szerokością Europy, nie potrzebowała bać się o siebie; ale i ona wmieszała się w te wojny. Zaszły w niej przez ten czas ważne zmiany. Cesarz Paweł, syn Katarzyny, niezły, ale dziwak, bez statku w głowie i w postępowaniu, należał z początku do wszystkich przymierzy przeciw Francyi i wojska swoje na nią wysyłał. Ale nagle, bez zrozumiałego powodu, pogodził się z Napoleonem (wtedy jeszcze konsulem) i zdawało się, że zechce jemu przeciw Anglii, Austryi i Prusom pomagać. Jego poddani, wojskowi, wielcy urzędnicy, nawet synowie, bali się tego bardzo; uważali to za niebezpieczne i złe dla Rosyi. Uznali, że cesarz, choć niezupełnie szalony, nie ma przecież całkiem dobrze w głowie, i że takiego nie można bezpiecznie zostawiać na tronie. Umyślili tedy zmusić go do złożenia korony. Synowie, Aleksander i Konstanty, zgodzili się na to, nie przewidując zapewne, jaki będzie koniec. Tymczasem spiskowi (jenerałowie i urzędnicy) weszli nocą pocichu do pałacu, zabili wartę pilnującą drzwi cesarskiego pokoju, wywlekli nieszczęśliwego Pawła z łóżka, i zadusili go. Na tron rosyjski wstąpił najstarszy syn, Aleksander Pierwszy.

Ten, jak świadczą ludzie, którzy go znali, nie wiedział o zamierzonem morderstwie. Godził się na złożenie ojca z tronu, ale nie domyślał się, że chodziło o jego życie: miał też podobno do samej śmierci ciężkie zgryzoty sumienia. Nie godzi się bez pewnego powodu posądzać nikogo o zbrodnię, a dopieroż o taką straszną jak ojcobójstwo, ale trudno znowu wierzyć w zupełną niewinność Aleksandra, kiedy żadnego z morderców ojca pod sąd nie oddał i nie ukarał.

Jakkolwiekbądź, był to człowiek dziwny. Bardzo przebiegły, chytry, o swoje panowanie i władzę bardzo zazdrosny, a przytem mówiący ciągle o wolności ludów, o sprawiedliwości dla wszystkich, i o zachowywaniu przykazań Boskich. Nikt już dziś nie dojdzie, ile w tych słowach było prawdy, a ile udawania: ale nie wszystko było udawaniem. Aleksander miał niektóre dobre uczucia i niejedno dobre zrobił. Powtarzał zawsze, że rozbiór Polski był niegodziwą zbrodnią, i że jak zostanie cesarzem, naprawi ile będzie mógł tę zbrodnię swojej babki Katarzyny. Księcia Adama Czartoryskiego, którego miał za przyjaciela, zaraz po wstąpieniu na tron powołał do siebie na ministra, i pod jego wpływem pozwolił na dobre urządzenie szkół polskich na Litwie, Wołyniu i Podolu. Jak zachowywał się względem nas później, to zobaczymy w dalszym ciągu tego opowiadania.

W wojnę z Napoleonem wdał się Aleksander porywczo, bez potrzeby, a wyszedł na niej źle. Pobity pod Austerlitz, wrócił do Rosyi. A tymczasem wybuchła nowa wojna. Prusy, które przed rokiem bały się przystąpić do przymierza przeciw Napoleonowi, teraz niebacznie wyzwały go same, bez pomocy i sprzymierzeńców. Skutek był dla nich okropny. W bitwie pod Jena (w roku 1806) zniósł Napoleon wojsko pruskie do szczętu, tak że w całych Prusiech nie miał się już kto bronić. Król pruski uciekł do Królewca, Francuzi weszli do Berlina. Ztąd do Wielkopolski już blisko; a chcąc ścigać Prusaków dalej i odebrać im miasta i twierdze, które jeszcze trzymali, musiał Napoleon wejść w ziemie polskie. Spełniła się dawna nadzieja Legionów. Wychodzili żołnierze z kraju w tej myśli, że kiedyś wrócą do niego z bronią w ręku i oswobodzą go, a teraz niezwyciężony Napoleon rozbił Państwo pruskie i stał nad polską granicą. Teraz — myślano powszechnie — przyszedł czas oswobodzenia ojczyzny! Na wieść o zwycięstwach Napoleona, zapał niezmierny ogarnął serca i kraje polskie: kto żył, wybierał się na wojnę. Deputacya obywateli polskich udała się do Berlina ofiarować Napoleonowi usługi Polaków i odebrać jego rozkazy. A tymczasem Francuzi weszli do Poznania. Jenerał Dąbrowski[1]) ogłosił powstanie, i zaczął zbierać nowe pułki polskie. Ochotnicy płynęli do nich jak woda, a niebawem wysłani na linię bojową, bili się tak jak najstarsi i najdoświadczeńsi żołnierze. Wojsko pruskie, gdzie jeszcze było, cofało się zewsząd, urzędnicy uciekali; Francuzi, a z nimi wojsko polskie, szli ciągle naprzód, aż wreszcie 27 listopada 1806 roku doszli do Warszawy. Tu zapał i radość były bez granic i bez miary. Zdawało się wszystkim, że Polska już jest na nowo przywrócona do dawnej niepodległości. Ale radość była przedwczesna i łatwowierna. Wszystkim Polakom, którzy mieli u niego posłuchanie, mówił Napoleon zawsze, że mają się bić i słuchać go, że on po tem pozna czego są warci, i co dla nich zrobić może. Ale odbudowania Polski nie przyrzekał, i w urzędowych mowach i pismach nawet jej imienia unikał. Słuszność każe przyznać, że przez samą ostrożność robić tego nie mógł, bo inaczej byłby zaraz wywołał przeciw sobie wojnę z Rosyą, która dotąd zachowywała się spokojnie. Ale Polacy sądzili, że prędzej czy później będzie musiał całą Polskę odbudować, żeby mieć w tej części Europy przyjazne państwo i zabezpieczyć się od otwartych nieprzyjaciół jak Prusy, i od ukrytych jak Rosya.

Rosya tymczasem ulękła się zwycięstw Napoleona, jego przewagi i upadku Prus, i wystąpiła do wojny w ich obronie. Wielka armia rosyjska połączyła się z resztkami pruskiej: walka była uporczywa i trudna. W strasznej bitwie pod Eylau ledwo że Napoleon utrzymał plac boju. Pod Friedlandem odniósł świetne zwycięstwo, ale jego wojsko było już tak zmęczone i wycieńczone, że nie śmiał narażać go na nowe boje. Zawarł tedy z cesarzem rosyjskim pokój w Tylży (małem miasteczku nad Niemnem). Cesarz rosyjski zgodził się tym pokojem na wszystkie zdobycze Francyi, na upokorzenie i okrojenie Prus, którym ledwo połowa posiadło-

[1]) Wizerunek na str. 19.

ści pozostała. Ale za to otrzymał (jak pisał do matki) przynajmniej jednę korzyść: „tę, że imię Polski nie będzie wspomniane ani wskrzeszone“.

Jednak po dziesięcioletniej służbie polskiego wojska, po świeżem wezwaniu do powstania, nie mógł Napoleon nie zrobić nic dla Polaków. Nie mógł zresztą kraju ich, Prusom tylko co odebranego, znowu Prusom oddać albo Rosyi. Utworzył więc Napoleon z ziem polskich Prusom odebranych małe państwo osobne, udzielne, które nazwał *Księstwem Warszawskiem*. Za panującego zaś nadał temu księstwu króla saskiego Fryderyka Augusta, wnuka polskiego niegdyś króla Augusta Trzeciego, a przez Konstytucyę Trzeciego Maja powołanego na tron polski jako następca po Stanisławie Auguście.



III.

## Księstwo Warszawskie.

Księstwo Warszawskie było kraikiem tak małym i słabym, że o własnej mocy długo utrzymać się nie mogło; musiało albo stać się nową odbudowaną Polską, albo upaść, gdyby Napoleon był pobity. Tak się też stało w kilka lat później. Ale przy jego utworzeniu i później zdawało się, że to początek i zadatek, z którego zrobi się z czasem prawdziwa Polska. W tej nadziei witali Polacy to księstwo z wielką radością, a robili co mogli, żeby się w niem dobrze rządzić i wzmacniać. Nie było to łatwo, bo kraj był wyniszczony bardzo i do wielkiego ubóstwa doprowadzony. Po powstaniu Kościuszkowskiem wszystkie majątki szlacheckie były bardzo na ten cel zadłużone; do tego przyszły ciężkie kontrybucye do płacenia nowym panom. Szlachta musiała zaciągać grube pożyczki, żeby temu nastarczyć; a gdy przyszła wojna i jej nieuniknione skutki (niemożność sprzedaży, wstrzymanie handlu, brak roboty i t. d.), nie było czem opłacać procentów od należytości, i mnóstwo ludzi potraciło majątki do szczętu. Mimo to trzeba było teraz i swoje wojsko postawić, ubrać, zaopatrzyć w broń i utrzymywać, i wszystkie inne rządowe wydatki opędzić (szkoły, drogi, płace urzędników i t. d.), i jeszcze wojsku francuskiemu dostarczać wszystkiego, czego dla ludzi i koni potrzebowało, a nieraz nad potrzebę żądało. Był więc biedny kraj wyniszczony okropnie, a jednak wszystkiemu jakoś dał radę, przez wielkie przywiązanie do ojczyzny i poświęcenie. W przeciągu kilku miesięcy stanęło dwadzieścia kilka tysięcy wojska regularnego pod doskonałymi oficerami; sądownictwo i szkoły urządzono szybko i dobrze. Aż dziwno, że kraj tak wycieńczony, skołatany wojnami i uciskami, ledwo pod swoje własne rządy przeszedł, tyle okazał zdolności i sprężystości w rządzeniu się. Prawda, że miał tęgich i dzielnych ludzi na czele wszystkich władz i urzędów, ludzi, którzy po większej części włożyli się do spraw publicznych za Czteroletniego Sejmu. Tacy byli: Małachowski,

niegdyś marszałek tego Sejmu. Wybicki. Matuszewicz, Staszyc, Gutakowski. Sobolewski, Linowski. Lubieński, minister sprawiedliwości, Stanisław Potocki, minister oświecenia, i wielu innych. Ze wszystkich wszakże najtężsi byli wojskowi; tak jak wojna była główną sprawą tych lat, a żołnierz główną siłą i chlubą narodu. Główne dowództwo nad wojskiem miał jenerał Dąbrowski, czynny na polach bitew przy armii francuskiej. Urządzeniem i zaopatrzeniem wojska zajmował się w Warszawie książę Józef Poniatowski, jako minister wojny. Kościuszko, który w tym czasie mieszkał w Szwajcaryi (już do swojej śmierci), nie wierzył Napoleonowi; przewidywał, że on naprawdę nic dla Polski zrobić nie chce, i dlatego do wojska nie wstąpił, choć Napoleon na to nalegał.



HENRYK DĄBROWSKI.
naczelnik legionów polskich (podług sztychu Villerey'a).

Jenerał Henryk Dąbrowski urodził się we wsi Pierzchowicach w Galicyi, w roku 1755. Żołnierskie powołanie miał we krwi. Dziad jego służył pod Sobieskim, był pod Wiedniem; ojciec pod królem Leszczyńskim przeciw Sasowi Augustowi Drugiemu. Potem wstąpił ten ojciec do wojska saskiego, z czego wynikło, że i syna w Saksonii chował, i tam go do szkoły wojskowej a następnie do wojska oddał. Do wojska polskiego przeszedł młody Dąbrowski po uchwale 3go maja, i odznaczył się zaraz w wojnie z Rosyą w roku 1792. W powstaniu Kościuszkowskiem mianowany jenerałem bił się świetnie i skutecznie, głównie z pruskiemi wojskami w Wielkopolsce. Po bitwie Maciejowickiej, gdy się wojna skończyła, on miał tę myśl, żeby resztki wojska wyprowadzić za granicę, w służbie francuskiej umieścić, i z niemi kiedyś powrócić. On stworzył legiony, on niemi dowodził, on zrobił je wojskiem doskonałem i okrył sławą: on teraz za Napoleona walczył we wszystkich jego wyprawach aż do końca [1]).

Książę Józef Poniatowski, synowiec króla Stanisława Augusta, ojca stracił wcześnie, matkę miał Czeszkę, przy niej chował się w Pradze.

[1]) Jenerał Dąbrowski umarł w roku 1818. Zostało po nim dwoje dzieci. Z tych syn, Bronisław, umarł bezpotomnie przed kilkunasty laty: córka, pani Mańkowska, żyje dotąd w Poznaniu.

a bardzo młodo oddany był do wojska austryackiego. Tam wyćwiczył się w rzemiośle wojennem, i odznaczył się odwagą i zdolnością. Do wojska polskiego przeszedł w roku 1789 już jako pułkownik. W wojnie roku 1792 był głównie dowodzącym. Kiedy król postanowił przystąpić do konfederacyi Targowickiej i kazał wojsku zaprzestać działań wojennych, książę Józef usłuchać go musiał, ale w bardzo pięknym liście zaklinał go na ojczyznę i honor, żeby siebie nie plamił a sprawy nie gubił. Król nie ustąpił; a wtedy młody książę zażądał dymisyi, złożył królowi swoje ordery, i wyjechał za granicę. Gdy wybuchło powstanie Kościuszkowskie, król sam wezwał go do powrotu; książę, przed dwoma laty wódz naczelny, wstąpił do wojska jako ochotnik pod rozkazami Kościuszki. Podczas bitwy Maciejowickiej był przy Dąbrowskim w Wielkopolsce. Po ostatnim rozbiorze mieszkał w Warszawie; do króla, gdy tego wywieziono do Petersburga, mimo próśb jego, nie pojechał; ofiarowanych wysokich stopni w wojsku rosyjskiem nie przyjął. Jedna rzecz, jaką mu zarzucić można, to że w obyczajach był trochę lekki, do hulanki miał skłonność. Ale honorem, męstwem, rycerskim duchem był wspaniały; i za te swoje przymioty, jak za życia miał sławę i miłość u wojska i narodu, tak po śmierci uchodzi na zawsze za prawdziwy wzór żołnierza.




KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI W WIEKU MŁODZIEŃCZYM.

współczesny portret Józefa Grassi'ego).

Napoleon, jak tylko kraj jaki opanował, urządzał go zaraz na wzór francuski. Podział kraju na powiaty, urzędy, sądy, prawa, wszystko musiało być tak jak we Francyi. Było to uciążliwe i szkodliwe, bo każdy kraj ma inne stosunki, każdy naród inne, wiekami wyrobione zwyczaje i prawa: do nowych przywykać mu trudno, a z nagłego ich zaprowadzenia musi powstać zamieszanie. Tak było i w Księstwie Warszawskiem. Prawa francuskie (tak zwany kodeks Napoleona) były bardzo mądrze ułożone, ale wprowadzone nagle, stały się powodem wielkiego nieładu w stosunkach prawnych i sądowych. W stosunkach ludu wiejskiego zaszła zmiana, w której chęć była słuszna i dobra, ale wykonanie nierozważne, a ztąd i skutek zły. Sprawiedliwie było i mądrze poprawić los poddanych: ale należało zrobić to tak, iżby się go poprawiło naprawdę. Trzeba było wykonać to, co zamierzał Sejm konstytucyjny, a po nim Kościuszko: to jest znieść władzę sądowniczą pana nad poddanym, a powinności poddańcze czyli pańszczyznę naprzód o połowę zmniejszyć, a potem stopniowo dojść do zupełnego ich zniesienia i do uwłaszczenia włościan. (Stopniowo dlatego, żeby nagłym ubytkiem całej robocizny dziedziców nie zniszczyć, pól nie zostawić odłogiem i t. d.). Napoleon zrobił co innego. Podług dawnych praw polskich poddany nie mógł oddalić się z gruntu i ze wsi bez pozwolenia dziedzica: nazywało się to, że był „przywiązany do gleby". Prawo francuskie zniosło to przywiązanie do gleby, pozwoliło włościaninowi przenosić się gdzie zechce i kiedy zechce, ale przyznając mu tę wolność, nie przyznawało mu żadnej własności. Wynikło z tego, że wielu, w nadziei poprawienia sobie losu, opuszczało wieś i chatę, ale wychodziło z nich z gołemi rękami. Narzędzia gospodarskie, uprzęże, zostawiali, bo te były własnością dziedzica. Sprzęty domowe, dobytek, sprzedawali za bezcen, byle się wynieść. Szli więc w świat bez niczego, na niepewne losy. Jeżeli któremu udało się gdzieś w innej okolicy osiąść na gruncie, to było pół biedy, choć i taki musiał z trudem do nieznanych miejsc i ludzi przywykać. Ale więcej było takich, którzy się z miejsca na miejsce tułali, szukając domu i zarobku, nie znajdowali go, i marnowali się w próżniactwie, dochodzili do nędzy, z nieszczęściem dla siebie, ze szkodą dla całego kraju.

Napoleonowi tymczasem zawracało się w głowie coraz bardziej od tej wielkiej potęgi. Zdawało mu się, że on może wszystko co zechce, i że ma prawo do wszystkiego czego zażąda. Budziła się w nim coraz wyraźniej chęć powszechnego panowania nad całą Europą. W tej myśli napadł na Hiszpanię. Kraj ten, oddzielony od Francyi wielkiemi górami a z trzech stron oblany morzem, niegdyś bardzo potężny, od paru wieków osłabł znacznie i podupadł. Ale Francyi nie zaczepiał, owszem Napoleonowi był powolny; jego nieprzyjaciołom nie pomagał. On tymczasem umyślił zdobyć Hiszpanię. Króla (bardzo niedołężnego) zwabił podstępnie do Francyi z żoną i dziećmi, i tam ich zatrzymał pilnie strzeżonych, a wojska wysłał na zdobycie Hiszpanii. Od tego gwałtu, spełnionego na niewinnym kraju, zaczęło się jego szczęście zmieniać. Nie było błogosławieństwa Bożego nad przedsięwzięciami, w których już nic dobrego i sprawiedliwego nie było, tylko sam gwałt. Podbicie Hiszpanii okazało się bardzo trudnem. Kraj górzysty,

do bronienia łatwy. Ludność cała bez wyjątku wzięła się po bohatersku do obrony. Każdy przesmyk w górach, każde miasto, trzeba było zdobywać osobno; a wszedłszy do miasta, jeszcze na każdej ulicy trzeba było się bić, nieledwie każdy dom osobno zdobywać, bo w każdym zamykali się Hiszpanie i prażyli z okien. Nienawiść do Francuzów była tam taka, że przy drodze, albo we wsi, na noclegu, gdzie ich było niewielu razem, często wszystkich we śnie mordowano do nogi. Anglicy morzem dostarczali Hiszpanom broni i pieniędzy. Napoleon się zawziął i na swojem niby postawił: ale zdobycz to była niepewna, którą ciągle siłą, wielkiem wojskiem, utrzymywać musiał; a brak tego wojska na innych polach walki bardzo mu później zaszkodził.

Na tę wojnę hiszpańską wziął on z sobą ośm tysięcy naszego wojska. Polacy szli niechętnie, bo czuli, że to wojna niegodziwa; ale żołnierz musi słuchać, iść gdzie mu każą — i poszli. Bili się tam jak lwy, a Napoleon im był winien najtrudniejsze swoje zwycięstwa. Jednem było zdobycie miasta Saragossy, przy którem odznaczył się szczególnie pułkownik (później jenerał) Chłopicki. Ale ważniejszem było zdobycie wąwozu Somo-Sierry. Napoleon szedł do Madrytu, stolicy Hiszpanii, w samym środku kraju. Musiał przechodzić przez łańcuch gór. Przez te góry szła jedyna droga wąwozem tak wązkim, że tylko na drogę było w nim miejsce, a po obu stronach strome góry. Na samym szczycie, gdzie się droga kończyła, stały hiszpańskie armaty wycelowane na tę drogę; na górach po obu stronach ukryła się piechota i ochotnicy z karabinami. I przez ten wąwóz, na tę górę, trzeba było się wedrzeć pod ogniem tych armat z przodu, tych karabinów z boku. Zdawało się, że jak się wojsko na tę drogę wepchnie, to je Hiszpanie wystrzelają do nogi. Posłał cesarz francuską piechotę: poszła kawałek i wróciła. Posłał drugich, wrócili także. Wtedy kazał wystąpić polskim ułanom. Pułkownik Kozietulski sformował ich we czwórki, bo na szerszy szereg miejsca nie było, zakomenderował: marsz, marsz! i ułani cwałem kopnęli się pod górę. Armaty z przodu, karabiny z boku, waliły po nich bez ustanku, bliziutko: ale pędzili jak wiatr. Kto padł, to padł — (stosunkowo nie bardzo wielu), ale wdzierają się na górę. Kozietulski pada śmiertelnie ugodzony; prowadzi po nim Niegolewski. Pada i ten ranny; ale ułani już na szczycie góry, armaty hiszpańskie wzięte, wojsko w rozsypce, droga do Madrytu otwarta. Napoleon sam w rozkazie dziennym do wojska napisał, że świetniejszego ataku nigdy nie było.

Potem już Napoleon wszedł do Madrytu. Hiszpanię opanował, swego brata Józefa z Neapolu przeniósł, i na tronie osadził. Ale wojna tam mimo to nie ustała. Po górach i wąwozach trzymały się coraz nowe oddziały ochotników; z czasem przyszły angielskie posiłki, i po paru latach Napoleon musiał wojska swoje z Hiszpanii wycofać.

Co było dziwne, to że Hiszpanie Francuzów nienawidzili zaciekle, ale do Polaków tej nienawiści nie mieli i chowali ich w życzliwej pamięci. Rozumieli oni, że Polacy najeżdżali ich kraj nie z własnej woli, tylko z rozkazu. Prócz tego, sami bardzo pobożni, szanowali Polaków za to, że ich często widywali w kościołach. Poznali w nich katolików, a wspólna



KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI POD RASZYNEM,
(podług obrazu Wojciecha Kossaka).

wiara obudzała w nich jakąś życzliwość; Francuzi zaś zachowywali się często bezbożnie albo rozpustnie, i tem oburzali ich na siebie tem więcej.

Napoleon tymczasem brnął coraz dalej w swojej pysze i zaślepieniu. Niedość mu było, że całe Włochy, choć pod udzielnemi księstwami, trzymał w swojej mocy: zniósł teraz jednym rozkazem Państwo kościelne i przyłączył je do swego cesarstwa. Papież Pius Siódmy nie mógł na to pozwolić, bo jako Głowa Kościoła nie może Papież być poddanym żadnego świeckiego Państwa, ani od niego zależnym; potrzebuje zupełnej niepodległości. Pius Siódmy naprzód przekładał i prosił, potem założył protest przeciw temu gwałtowi, a gdy to nie pomogło, rzucił na Napoleona klątwę. Wtedy z rozkazu cesarza porwany i wywieziony z Rzymu, więziony był naprzód w małem włoskiem miasteczku Savonie, potem w mieście francuskiem Grenobli. Obchodzono się z nim bardzo źle. Nietylko że nie miał utrzymania odpowiedniego swojej godności, ale stary i chory nie miał nawet wygody. Ale o to chodziło mu mniej. Gorsze było to, że z doradców, pomocników i urzędników, koniecznie potrzebnych do rządzenia sprawami Kościoła, nie miał przy sobie żadnego, i rządów tych wcale sprawować nie mógł, z wielką dla Kościoła szkodą. Napoleon sądził, że tym sposobem Papieża ugnie i zmusi go do posłuszeństwa. Ale każdy Papież odpowiedzialny jest przed Bogiem za rządy Kościoła i zbawienie dusz wiernych, i właśnie dlatego, że za te najwyższe sprawy odpowiada, nie może przyjmować rozkazów od władców świeckich. Nie ustąpił też i Pius Siódmy do końca, a po upadku Napoleona do Rzymu powrócił.

Austrya przelękła się tych coraz nowych zdobyczy Napoleona, i nieostrożnie wdała się znowu w wojnę w roku 1809. Jej główne siły weszły do Bawaryi, i zaczęły się krwawe walki nad Dunajem; a w tym samym czasie druga armia pod dowództwem Arcyksięcia Ferdynanda uderzyła na Księstwo Warszawskie. Granica austryacka dochodziła wtedy aż do ujścia Pilicy do Wisły, czyli odległa była tylko o kilka mil od Warszawy. Na Warszawę szły tedy wojska austryackie w sile sześciudziesiąt tysięcy ludzi. Wojsko polskie miało razem trzydzieści sześć tysięcy; ale z tych ośm było w Hiszpanii, inne oddziały po różnych miastach i twierdzach, tak, że w kraju nie można było wyprowadzić do boju więcej jak trzynaście tysięcy. Dowództwo nad tem wojskiem objął książę Józef. Pierwszą bitwę stoczył pod Raszynem blisko Warszawy. Walczyło tam czterech na jednego. Wódz austryacki spodziewał się, że w puch rozbije to wojsko; ale tymczasem nietylko rozbić się nie dało, ale w najlepszym porządku utrzymało się na placu boju. Na to jednak, żeby nieprzyjaciela zupełnie odeprzeć, było za słabe. Ułożył się tedy książę Józef z Arcyksięciem Ferdynandem, że Warszawy bronić nie będzie, pod warunkiem, że Austryacy zachowają się w niej spokojnie, i nikomu nic złego robić nie będą. Weszli tedy do stolicy, a ztamtąd posunęli się ku Toruniowi, żeby się z wojskiem pruskiem połączyć. Ale książę Józef tymczasem zamiast iść za nimi, udał się prawym brzegiem Wisły ku południowi, i wkroczył do Galicyi. Zajął naprzód Lublin, potem Sandomierz i ujście Sanu do Wisły, potem Jarosław; mniejsze oddziały konnicy wpadły do Lwowa, ale nie mogły się w nim dłużej jak kilka dni

utrzymać. Arcyksiążę Ferdynand, oddalony tak bardzo ze swojem wojskiem od krajów austryackich, w obawie, że Galicya może być straconą a jemu powrót odcięty, zaczął się cofać czemprędzej. Warszawę opuścił, stanął pod Sandomierzem. Ścigał go krok w krok Dąbrowski. Z Sandomierza wyparł Arcyksiążę Polaków i ztamtąd spiesznie poszedł ku Lwowu, a książę Józef tymczasem stanął pod Krakowem. Komendant austryacki nie miał wojska, by się bronić, i zdał mu miasto. Ledwo zajął je książę Józef, kiedy



WOJSKO POLSKIE W ROKU 1809 W KRAKOWIE.
(Współczesny obraz M. Stachowicza.)

przyszła wiadomość, że wojna skończona a pokój w Wiedniu zawarty. Było to po strasznej bitwie pod Wagram (niedaleko od Wiednia). Austryacy pod dowództwem wielkiego wojownika, Arcyksięcia Karola (brata Cesarza Franciszka) bronili się z niesłychaną odwagą i stałością. Byli zwyciężeni wkońcu. Ale wojsku francuskiemu zadali tak ciężkie straty, że sam Napoleon nie śmiał dalej wojny prowadzić i zaczął układać się o pokój.

Pokój ten był dla Austryi nader bolesny i upakarzający. Musiała odstąpić Napoleonowi swoje dziedziczne, od wieków do niej należące kraje: Tyrol, Salzburg, Karyntyę, Krainę, Illyrię — (te ostatnie łączyły ją z morzem Adryatyckiem i były dla jej bezpieczeństwa i bogactwa konieczne): a prócz tego musiała przystąpić do przymierza Napoleona przeciw Anglii. Nie dość na tem; musiał Cesarz córkę swoją, Arcyksiężniczkę Maryę Ludwikę, dać Napoleonowi za żonę. Napoleon ożenił się był dawno, jeszcze kiedy był jenerałem, z panią Beauharnais (czytaj Boharne) wdową. Żył

z nią dobrze, i zdawał się być do niej przywiązanym. Ale nie miał dzieci. Józefina (tak się nazywała cesarzowa) miała dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, ale w drugiem żadnych. On zaś, odkąd został cesarzem, zapragnął koniecznie syna i dziedzica, żeby mu wszystkie swoje państwa zostawić. Umyślił tedy rozwieść się z Józefiną, a ożenić się z inną. Papież nie chciał na ten rozwód zezwolić, i to było jednym z powodów jego prześladowania. Ale dumny cesarz nie pytał o władzę kościelne: kazał sobie dać rozwód przez swoich urzędników świeckich, a zatwierdzić go przez zbyt uległych biskupów, i zaczął szukać drugiej żony w domach najstarszych, najpotężniejszych monarchów. Nie było w Europie starszego i sławniejszego jak dom Austryacki. Kiedy więc teraz Austrya była pobita i wyniszczona, o nowej wojnie myśleć nie mogła, zażądał Napoleon ręki córki Cesarza, a Cesarz Franciszek odmówić nie śmiał, i oddał mu ją dla utrzymania pokoju.

Zawarty pokój sprowadził znaczne zmiany w losach Księstwa Warszawskiego. Wojna, prowadzona w Polsce w roku 1809, była jedyną ze wszystkich wojen napoleońskich, w której wojsko polskie biło się samo, bez francuskiego; i samo własnemi siłami zdobyło cały duży kraj, Galicyę. Napoleon nie mógł na to nie zważać. Zatem do warunków pokoju z Austryą dodał i ten, że Austrya zachowała część Galicyi, którą zajęła przy pierwszym rozbiorze Polski w roku 1772, ale oddała Księstwu Warszawskiemu tę część, którą objęła przy rozbiorze trzecim (1795), czyli województwo lubelskie, sandomierskie i krakowskie z miastem Krakowem. Żupy solne w Wieliczce miały zostać własnością wspólną Austryi i Księstwa Warszawskiego. Powiększyło się wtedy Księstwo o dziewięćset mil kwadratowych przestrzeni, a o milion dwa kroć sto tysięcy mieszkańców.

Taki wzrost polskiego kraju nie podobał się cesarzowi rosyjskiemu. Bał się on, iżby to nie skończyło się na stopniowem odbudowaniu Polski. Domagał się od Napoleona, iżby to Księstwo było wprost przyłączone do Saksonii jako jej część, żeby nazwa Polski i Polaków nigdy w urzędowych aktach nie była używaną. Napoleon uspakajał go na razie; ale na prawdę teraz więcej niż przedtem zaczął myśleć o odbudowaniu Polski. Przemyśliwał nad tem, czy Austrya nie zrzekłaby się całej Galicyi w zamian za zwrot tej Illyryi, którą jej tylko co był zagrabił.

Napoleon bowiem już wtedy nosił się z myślą wielkiej wojny przeciw Rosyi; a do takiej wojny, zwłaszcza do utrzymania skutków zwycięstwa po wojnie, Polska wielka i silna mogła mu być bardzo potrzebną.

Rosya nie zamknęła swoich portów okrętom angielskim, bo jej własny handel tracił na tem niezmiernie. Wszystkie państwa, już przez Napoleona pobite, musiały mu w tem ulegać; ale Rosya jeszcze pobitą nie była, i nie ulegała. Jemu zaś chodziło najbardziej o to, żeby zniszczyć handel i bogactwo Anglii, i dlatego zamknął przed jej okrętami wszystkie porty w Europie. Rosyjskie tylko zostały otwarte. Oprócz tego wiedział on dobrze, że Rosya skrycie jest w porozumieniu z jego nieprzyjaciółmi, z Anglią, z Hiszpanami, ze Szwecyą, nie mógł znieść tego, żeby mu się ktokolwiek opierał: i wydał Rosyi wojnę.



ZAJĘCIE ODWACHU W KRAKOWIE PRZEZ WOJSKO POLSKIE W R. 1809,
(według spółczesnej ryciny M. Stachowicza).



BAL W SUKIENNICACH W R. 1809,
(według spółczesnego rysunku M. Stachowicza).

Wszystkie państwa europejskie, przez niego pobite, musiały na tę wojnę posłać mu posiłki, jako niby jego sprzymierzeńcy. Ale, że wszyscy przedtem byli przez niego uciemiężeni i skrzywdzeni, więc wszyscy nie jemu życzyli zwycięstwa, ale Rosyi. Było to wojsko tak wielkie, jakiego nigdy przedtem świat nie widział. Składało się z armii francuskiej, austryackiej, pruskiej, z posiłków wszystkich małych państw niemieckich, z Włochów, a liczyło razem sześć kroć sto tysięcy ludzi, sto ośmdziesiąt tysięcy koni, i tysiąc czterysta dział. Wojsko polskie, w sile sześciudziesiąt tysięcy ludzi, szło (rozumie się) także.


JENERAŁ KNIAZIEWICZ W STAROŚCI.

Napoleon chciał teraz obudzić w Polakach zapał i nadzieję. Polecił zwołać starym polskim obyczajem Konfederacyę Generalną; Konfederacya ta wydała manifest wzywający wszystkich Polaków do powstania. Wszyscy wierzyli, że teraz już cała Polska odżyje na nowo: że Napoleon zwycięży, jak dotąd zwyciężał, a potem dla własnego bezpieczeństwa będzie musiał Rosyę umniejszyć, a Polskę przywrócić. Z Warszawy wysłała konfederacya posłów do Napoleona, który już z wojskiem był w Wilnie, z prośbą o przyłączenie Litwy. Zdawało się, że jeszcze tylko niedługi czas, ostatnie wysilenie wojenne, i sprawa będzie wygrana.

Nie tak się stało.

Wojska rosyjskie cofały się w głąb swego kraju bez bitwy. Litwę całą zajął Napoleon bez oporu; ledwo kilka drobnych utarczek stoczono. Pierwsze wielkie spotkanie zaszło pod murami Smoleńska. Twierdza ta, niegdyś za króla Zygmunta Starego przez Moskwę na Litwie zdobyta, przez Zygmunta Trzeciego znowu odzyskana, była ważna, bo otwierała wojskom bezpieczną drogę do Moskwy. Zdobył ją teraz Napoleon, głównie zasługą wojska polskiego; odznaczyli się w tym szturmie jenerałowie: Kniaziewicz, Zajączek, książę Sułkowski, i wielu niższych oficerów.

Wojska rosyjskie cofały się ciągle: Francuzi posuwali się bez oporu, ale już w niedostatku żywności i paszy dla koni. Niedaleko od Moskwy,

starej stolicy państwa, pod wsią Borodino, pierwszy raz wojsko rosyjskie stanęło do walnej bitwy. Przegrało ją: ale straty Francuzów były bardzo wielkie, a Rosyanie cofnęli się w głąb kraju w największym porządku, i z bardzo zawsze silnem wojskiem. Teraz Moskwa stała otworem, bezbronna. Wszedł do niej Napoleon z wojskiem: zdawało się, że już koniec wojny, i ostateczne zwycięstwo, skoro stolica wzięta. W Warszawie, w Paryżu, mniemano, że Rosya już pokonana stanowczo.

Ale było inaczej.

Męstwo i stałość szanować należy nawet w nieprzyjacielu: należy się oddać sprawiedliwość rosyjskiemu wojsku, narodowi i cesarzowi, że dzielnie swojej ziemi bronili. Mieli prawo jej bronić, bo ją obcy niesłusznie najeżdżał; oni mieli w tym razie dobrą sprawę: ale też pokazali w obronie wielką miłość ojczyzny, poświęcenie i wytrwałość.

Napoleon wszedł do Moskwy, i nie wiedział co dalej począć. Rosya o pokój nie prosiła: on nie mógł iść dalej za jej wojskiem, w pusty, dziki kraj, i do tego pod zimę. Zaledwo kilka dni z wojskiem wypoczął, aż tu ze wszystkich stron Moskwa zaczyna się palić. Podpalili ją Rosyanie sami, umyślnie, żeby Francuzi nie mieli gdzie spokojnie przebywać. Nakazał podpalenie gubernator Moskwy, Rostopczyn. Cztery piąte części miasta, i bogactw bez liku i miary, spłonęło w tym czterodniowym pożarze: ale wojsko francuskie nie miało dachu, nie miało schronienia, ani ogniska, ani żywności. Napoleon po raz pierwszy doznał klęski i upokorzenia. Musiał nakazać odwrót. Ogromna armia rozpoczęła marsz tą samą drogą którą przyszła, ale upadła na duchu, trudami i niewygodami wyniszczona, z odzieży i obuwia odarta, często głodna. Na domiar nieszczęścia zima zaczęła się bardzo wcześnie w tym strasznym roku 1812. Był dopiero wrzesień, a mrozy wzięły już wielkie, wichry niosły śniegowe zamiecie. Nieszczęśliwi żołnierze, zwłaszcza ci co z cieplejszych krajów, jak Francuzi i Włosi, padali i marzli tysiącami.

W takim stanie musiało wojsko przejść całą Rosyę, od Moskwy aż do Litwy: a wojsko rosyjskie szło za niem krok w krok, gotowe uderzyć i rozbić. Doszli tak nad rzekę Berezynę, która oddziela Rosyę od Litwy. Rzeka zamarzała właśnie; miejscami stała, miejscami niosła krę: przejść ją było strasznie trudno, a trzeba było przejść koniecznie, bo inaczej Rosyanie byliby wszystko rozbili i do rzeki wepchnęli. Zbudowano trzy mosty: wojsko zaczęło iść na drugą stronę. Ale wtem nieprzyjaciel rozpoczął strzały. Ludzie, konie, armaty, wszystko zaczęło się pchać na mosty, na słaby lód, stał się popłoch straszliwy i rozpacz. Wiele tam tysięcy utonęło, wiele poległo od kul, a wiele zmarzło: tego nikt nie wie. Ale kiedy po tym okropnym odwrocie Francuzi dokopali się przez śniegi do Wilna, zostało z owych sześciukroć stu tysięcy ludzi zaledwo czterdzieści tysięcy, a z tych zdrowych i zdolnych do boju ledwo cztery tysiące. Klęska Napoleona była zupełna.

On sam przemknął się przez Warszawę, przez Niemcy, czemprędzej do Paryża, żeby nowe wojsko zbierać. A tymczasem wojsko rosyjskie szło

ciągle naprzód. Sprzymierzeńcy Napoleona, Austryacy, Prusacy, różni Niemcy, ustępowali bez boju cofając ku swoim krajom. Szły więc wojska rosyjskie naprzód bez oporu; zajęły Litwę, weszły do Księstwa Warszawskiego. Wojsko polskie musiało się cofać razem z francuskiem; Rząd Księstwa opuścił Warszawę, którą Rosyanie zaraz zajęli, i przeniósł się do Krakowa.



KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI.
(według współczesnego portretu).

Prusacy tymczasem, widząc Napoleona pobitym, opuścili go zaraz i zawarli przymierze z Rosyą, a po całych Niemczech zaczęli wzywać do powstania przeciw Francuzom. Niemcy uciemiężeni długo i boleśnie, radzi byli wziąć odwet, i z wielkim zapałem szli pod broń. Ale Napoleon, choć pobity i w rozpaczy, nie stracił głowy ani wiary w siebie, ani na swoje nieszczęście pychy. Jeszcze miał się czem bronić: jeszcze całe Niemcy były w jego ręku, francuskiemi załogami trzymane; a w kilku miesiącach wydobył z Francyi nowe wojsko, i do Niemiec je poprowadził. Zwyciężony tak strasznie w końcu 1812, już w maju 1813 był w Saksonii, i tem nowem wojskiem pobił połączonych Prusaków i Moskali pod Bautzen i pod Dreznem.

Gdyby Napoleon był wtedy przyjął warunki pokoju, jakie mu ofiarowano za pośrednictwem Austryi, byłby i siebie uratował, i Francyi jeszcze potęgę zapewnił. Zostawiano mu bowiem wielką część jego zdobyczy. Ale uniesiony pychą miał to sobie za upokorzenie i odrzucił. Wtedy Austrya przeszła na stronę sprzymierzonych: Napoleon miał już wszystkich przeciw sobie. Cesarz rosyjski chciał i wojsko polskie od niego odciągnąć obietni-

cami odbudowania Polski, ale Polacy i niedowierzali mu, i sądzili, że nie zgadza się z honorem opuście w nieszczęściu tego, któremu było się wiernym, kiedy był szczęśliwy.

17-go października 1813 roku przyszło do wielkiej bitwy pod Lipskiem. Była to największa, jaką dotąd świat pamiętał. Francuzów było dwieście tysięcy, sprzymierzonych trzysta tysięcy. Bitwa trwała trzy dni. Skończyła się zupełną klęską Napoleona.

Swoją klęskę osobną znalazła w niej Polska i jej wojsko. Książę Józef Poniatowski zasłaniał ze swoimi odwrót wojsk francuskich. Przechodziły one przez rzekę Elsterę, a on na brzegu wstrzymywał nieprzyjaciela. Gdy już tamci byli bezpieczni, skoczył i on z koniem w rzekę; ale ranny, osłabiony, nie mógł się ratować; uniósł go wezbrany prąd rzeki i utonął [1]. Żal był po nim wielki, a pamięć powinna zostać na zawsze! Był on godnym następcą dawnych polskich rycerzy, o czci nieskalanej i nieustraszonem męstwie, takich jak: Żółkiewski, Czarniecki i Sobieski. Wojsko całe podniosło w tych czasach wysoko sławę polskiego imienia i oręża: ale wielką część tej zasługi miał ten jego wódz, książę Józef. Kiedy go namawiano, żeby się ratował ucieczką jak drudzy, odpowiedział: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu go tylko oddam.“ Te były jego ostatnie słowa. Były one prawdą, bo z pola nie zeszedł, aż drugim ratunek zapewnił, i własnem życiem go okupił.

Po bitwie pod Lipskiem wracał Napoleon z pobitem wojskiem do Francyi. Wstrzymywał się czasem, bronił się; ale chodziło już tylko o to, by resztki wojska odprowadzić do ojczyzny. Raz pod Arcis (we Francyi) omal, że się nie dostał do rosyjskiej niewoli: obronili go polscy ułani pod dowództwem kapitana (późniejszego jenerała) Skrzyneckiego. Wojska sprzymierzone szły za nim ciągle, aż stanęły w marcu roku 1814 pod Paryżem. Paryż się poddał. Wtedy sprzymierzeni ogłosili Napoleona za odpadłego od korony, a na tronie francuskim osadzili Ludwika Ośmnastego z dawnego królewskiego domu Burbonów: młodszego brata tego Ludwika Szesnastego, który był ścięty za rewolucyi. Napoleon podpisał akt abdykacyi czyli złożenia korony: pożegnał swoich żołnierzy, pożegnał osobno wojsko polskie, uwolnił je od przysięgi, a u cesarza rosyjskiego wyrobił, że wojsko to miało wrócić do kraju z bronią i sztandarami, pod swoimi jenerałami i oficerami.

Co się dalej stanie z naszym krajem i wojskiem, nie wiedział nikt. Kraj był zajęty przez wojska rosyjskie, a los jego zależał od woli cesarza Aleksandra.

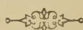
Napoleon, pozbawiony tronu, przewieziony był na wyspę Elbę (koło wybrzeży włoskich na Morzu Śródziemnem) i tam miał mieszkać. A tymczasem w Wiedniu zjechali się cesarze, królowie, książęta, i ich ministrowie, i zaczęli radzic nad przyszłem urządzeniem Europy. Ten to zjazd nazywa się *Kongresem* (czyli zjazdem) *wiedeńskim*. Ale kiedy tak radzili, na-

[1] Pochowany w Krakowie na Zamku, obok Sobieskiego i Kościuszki.

raz jak piorun spadła między nich wieść, że Napoleon wymknął się z Elby, wylądował cichaczem we Francyi, że zbiera wojsko i idzie na Paryż. Tak też na prawdę było. W marcu roku 1815 był już w Paryżu; król Ludwik Ośmnasty umknął, wojsko z zapałem przystało do swego dawnego cesarza. Wtedy w Wiedniu przerwał się kongres, a zaczęły się przygotowania do nowej wojny. Anglicy wylądowali w Belgii: złączyli się z nimi Prusacy.

18-go lipca odbyła się bitwa pod Waterloo. Długo ważyły się losy: Francuzi bili się rozpaczliwie, gwardya cesarza wyginęła w wielkiej części. Bitwa była przegrana. Napoleon widział się zgubionym. Napisał do księcia Rejenta Anglii, który w zastępstwie obłąkanego ojca (króla) sprawował tam rządy, że mając go za najszlachetniejszego ze swoich nieprzyjaciół, jemu oddaje się jako jeniec. Ale Anglicy nieszlachetnie się z nim obeszli. Wsadzili go na okręt i wywieźli na wyspę św. Heleny. Jest to mała, skalista, prawie bezludna wyspa na Oceanie, od wszelkiego stałego lądu daleka, położona na równi mniej więcej z południowym cyplem Afryki. Kilku przyjaciół, kapelan, kilku sług, towarzyszyło mu dobrowolnie w tem wygnaniu. Zresztą nie miał nikogo. Angielski komendant wyspy obchodził się z nim twardo i gburowato. Żył tam lat sześć w smutku i rozpamiętywaniu swoich pomyłek i błędów. Nieraz powtarzał, iż jednym z największych było to, iż Polski zawczasu nie odbudował. Umarł 5-go maja roku 1821 [1]).

Napoleon był jednym z ludzi najhojniej przez Boga obdarzonych. Takich jak on głów do rządzenia i takich wojowników było nie więcej jak dwóch lub trzech od początku świata. Miał prócz tego szczególny dar przywiązywania ludzi do siebie. Żołnierze przepadali za nim: a był czas, że kochały go wszystkie ludy Europy. Ale te wszystkie dary zepsuła i zmarnowała w nim pycha. W szczęściu zawróciła mu się głowa. Nie chciał już żadnych szanować praw prócz swojej woli: wszystkich po kolei skrzywdził, pogwałcił, oburzył: miary w swojej żądzy panowania nie znał i upadł strasznie, jako wielki dla mocarzy przykład, do czego prowadzi pycha i jak ją Bóg karze. Miał on wszystko, co człowiek mieć może, oprócz mocy nad sobą samym i sumienia. Gdyby je był miał, gdyby był chciał szanować prawa ludzi, a znać prawa Boskie nad sobą, byłby mógł zapewnić światu trwały, szczęśliwy, sprawiedliwy pokój na długo. Ale że ich nie miał, więc jego zwycięstwa nie miały ani trwałych, ani dobrych skutków. Cały świat podziwia jego nadzwyczajny gieniusz: ale nikt nie błogosławi jego pamięci.



[1]) We dwadzieścia lat później rząd francuski sprowadził zwłoki Napoleona do Paryża, gdzie są pochowane w kościele Inwalidów. Żona jego i mały synek mieszkali w Wiedniu przy Cesarzu Franciszku. Syn umarł młodo, zaledwie dwudziestu lat doszedłszy. Żona wyszła powtórnie za mąż za jenerała Neipperga.

## IV.

# Królestwo Polskie (Kongresowe).

Po upadku Napoleona znowu Polska nie wiedziała, co się z nią stanie. Większa część ziemi była w ręku cesarza rosyjskiego, który ją wojskiem swojem zajął. Dalszy los nie zależał od nas, ale od mocniejszego; od woli tego, kto miał siłę, i mógł robić co chciał.

Kiedy w Wiedniu monarchowie i ich ministrowie zjechali się na kongres, i radzili o tem co komu miało być oddane albo przyznane, o mało, że nie poważnili się z sobą na dobre o Polskę. Cesarz rosyjski Aleksander Pierwszy chciał całą Polskę zagarnąć i z Rosyą ją na zawsze połączyć, jako królestwo niby osobne, ale z cesarzem rosyjskim za króla.

Wszystkie inne państwa europejskie nie chciały na to pozwolić. Austrya bała się stracić Galicyę, a prócz tego bała się, żeby ten sąsiad potężny nie stał się jeszcze potężniejszym, i dla niej niebezpiecznym. Prusy bały się także utraty Wielkopolski. Inne państwa, Francya i Anglia, mówiły, że cała Polska niepodległa i pod swoim własnym królem byłaby im bardzo na rękę: ale na całą Polskę połączoną z Rosyą zgodzić się nie chciały, bo Rosya przez to zanadto by się powiększyła i wzmocniła. Aleksander zaś ustąpić nie chciał; groził nawet wojną. Mówił: spróbujcie mi odebrać to, co trzymam! Wojny nikt nie chciał, a każdy się bał. Dość mieli wojen, i nieszczęść, i kosztów, za Napoleona. Ustąpili więc Rosyi dużo, a ona znowu ustąpiła trochę, i zgodzili się tak, że Austrya miała zachować tę część Polski, którą zajęła przy pierwszym rozbiorze w roku 1772, czyli Galicyę; Prusy zachowały Poznańskie i dawne Prusy królewskie z Toruniem i Gdańskiem. Reszta zaś tego kraju, który za Napoleona nazywał się Księstwem Warszawskiem, przypadła do Rosyi. Było to Mazowsze z Warszawą, województwo Płockie, część Kujawskiego, Kaliskiego i Sieradzkiego od Prus, od Austryi Krakowskie, Sandomierskie i Lubelskie. O Kraków były długie układy i targi; każdy chciał go mieć, a nikt nie chciał ustąpić drugiemu. Zgodzono się więc na to, że miasto z małym okręgiem kilkunastu mil, zostanie *Wolnem Miastem*, czyli, że będzie niepodległą małą Rzecząpospolitą, rządzoną przez swój własny rząd i swój senat, ale pod opieką trzech państw sąsiednich. Granicą była od Austryi Wisła; od Rosyi jak dziś Cło, Michałowice, Węgrzce; od Prus, także jak dziś, Szczakowa, Chrzanów, Bobrek.

Tę zaś część dawnego Księstwa Warszawskiego, która dostała się do Rosyi, nazwano *Królestwem Polskiem*. A że to postanowione było na owym kongresie (wiedeńskim), więc my Polacy w potocznej mowie zaczęliśmy to nazywać, i do dziś dnia nazywamy, *Królestwem Kongresowem*, dla odróżnienia od dawnego Królestwa Polskiego.

Cesarz Aleksander zobowiązał się traktatem wiedeńskim, że temu nowemu królestwu nada konstytucyę (to jest że nie będzie rządził samowładnie, tylko z sejmem i senatem). Dalej przyrzekał, że cały rząd, wszystkie

urzędy, będą w rękach Polaków. Dalej, że wojsko polskie będzie od rosyjskiego osobne, pod swoimi dowódzcami i oficerami, z polskiemi sztandarami i polską komendą, w swoich osobnych mundurach. Stanowił zarazem, że to królestwo ma być nazawsze i nierozerwalnie połączone z Rosyą; każdy cesarz rosyjski ma być tem samem królem polskim, i nosić ten tytuł.

Cesarz austryacki i król pruski zobowiązali się także traktatem wiedeńskim szanować prawa narodowe swoich poddanych polskich, to jest zostawić im wolne używanie swego języka we wszystkich urzędach, sądach i szkołach; zostawić ich tem, czem ich Pan Bóg stworzył, a nie starać się przerobić na co innego, na Niemców.

Cesarz Aleksander, kiedy ustanowił Królestwo Kongresowe, powtarzał wszystkim Polakom, że rozbiór ich ojczyzny uważa za niegodziwą zbrodnię, że sam nie byłby się tej zbrodni nigdy nie dopuścił; że tego, co się stało, odrobić już nie może, ale chce przynajmniej w miarę swojej możności naprawić występek swojej babki Katarzyny. Dlatego nadaje Polakom wolność i byt narodowy pod swojem berłem. A gdy go pytano co zrobi z krajami dawniej na Polsce zabranemi, z Litwą i z Rusią, odpowiadał, że nie może zaraz ich z Królestwem połączyć i za kraj polski ogłosić, bo jego właśni poddani wzięliby mu to za złe, ale, że pragnie wszystkie dawne kraje polskie w przyszłości razem złączyć, i temi samemi konstytucyjnemi prawami rządzić.

Czy Aleksander był szczery w tem co mówił? czy naprawdę uważał rozbiór Polski za zbrodnię? Trudno to wiedzieć; bo był bardzo przebiegły i chytry, a prócz tego zmienny w swoich myślach i zamiarach. Zupełnie nieszczery nie był, i jakieś dobre zamiary względem Polski miał. Mógł był zgubić ją i oddać na pastwę swoim wojskowym i urzędnikom, a tego nie zrobił, tylko nam jakiś byt znośny zostawił. To dowodzi, że nie był bez sumienia i bez dobrych uczuć. Ale z drugiej strony mniej mu chodziło o dobro Polski i o to, co się godzi, albo nie, jak o korzyść ogromną, jaką Rosyi przez to królestwo zapewniał. Zyskała ona duży, piękny, ludny kraj, przez którego przyłączenie przybliżyła się znacznie do środka Europy; a ztamtąd już mogła wojskiem swoim grozić, komuby chciała. Prócz tego dostawała się w bliskie sąsiedztwo Słowian pod panowaniem austryackiem; a stała myśl i chęć wszystkich cesarzy rosyjskich była (i jest zawsze) ta, żeby wszystkich Słowian pod swoje panowanie zagarnąć, jak się po temu sposobność nadarzy. Nadając zaś Polakom konstytucyjne wolności, i zostawiając im prawa narodowe, Aleksander zyskiwał jeszcze sławę szlachetnego, wspaniałomyślnego człowieka i monarchy, co dla jego miłości własnej, dla jego dumy, bardzo było miłem.

Ale czy on był szczery albo nie, czy nam naprawdę chciał dobrze, czy tylko udawał, mniejsza o to, skoro to co zrobił, miało w sobie rzeczywiście dużo dobrego. Dla narodu, który swoją niepodległość utracił, rzeczą jest nader ważną i wielkiem szczęściem, zachować swoje prawa, swój język i swoich ludzi w rządzie. Przez to wszystko bowiem taki naród zachowuje swoją odrębność i zostaje sobą: a jeżeli się dobrze rządzić i roztropnie zachowywać umie, to może przez to wszystko dojść do wielkiej siły, i do

swego dawnego stanu i znaczenia powrócić. To wszystko zaś dawał nam Aleksander. Sejm, senat, rządy w rękach Polaków; skarb, wychowanie, wszystkie sprawy publiczne zawiadowane przez swoich; a nadto jeszcze dawał nam to, o co w kraju podległym zawsze najtrudniej — własne wojsko. Cokolwiek więc on w głębi serca myślał i chciał, zawsze nie możemy zaprzeczyć, że zrobił nam wiele dobrego. My powinniśmy byli pilnie z tego korzystać, postępować roztropnie, żeby nie utracić nic z tego co nam w ręku zostało, żeby owszem przyrabiać to i pomnażać. Mieliśmy zaś w ręku warunki i środki po temu, żeby pomału róść w siłę, i stać się na nowo wielkim narodem. Na nieszczęście to Królestwo Kongresowe, które Aleksander utworzył, miało w sobie i około siebie niebezpieczeństw tak wiele, że była rzecz prawie niepodobna, iżby mogło było długo w spokoju zostać i trwać.

Pierwszem takiem niebezpieczeństwem była nienawiść i zazdrość, z jaką Rosyanie na to Królestwo patrzeli.

Uważali oni Polskę za kraj podbity, swój własny, Polaków za swoich poddanych a prawie za niewolników; i wydało im się to upokorzeniem i krzywdą, żeby ci poddani Polacy mieli swoją konstytucyę, swój sejm, swoje wolności, a oni, Rosyanie, żeby byli rządzeni samowolnie przez cesarza. Nie mogli więc Aleksandrowi tej konstytucyi polskiej przebaczyć. Oprócz tego mieli mu za złe, że Polakom narodowy byt zostawił. Mówili, że Polacy jak tylko do sił przyjdą, to się zaraz od Rosyi oderwą, i ona straci tę wielką potęgę, to wielkie znaczenie w świecie, jakiego przez rozbiór Polski nabrała. Cesarz rządzi w Rosyi samowładnie; jak on co postanowi, to nikt sprzeciwić się nie śmie: więc i Rosyanie siedzieli cicho, otwarcie nie szemrali na cesarza; ale pokryjomu a chytrze i bardzo zręcznie, starali się odrobić to, co on w Polsce zrobił. Wielcy urzędnicy państwa przestrzegali go pokornie, że naraził Rosyę na wielkie niebezpieczeństwo. Ich podwładni, szpiegowali i donosili wszystko co się w Polsce działo; rzecz najmniejszą wystawiali jako groźną, żeby cesarza przestraszyć i od Polaków odstręczyć. Polacy znowu, którzy o tem dobrze wiedzieli, powinni byli zachowywać się bardzo roztropnie i ostrożnie, żeby tym donosom i skargom żadnego pozoru prawdy nie dostarczyć. A u nas na nieszczęście o roztropność i ostrożność trudno. Królestwo Kongresowe mogło było się utrzymać, gdyby Rosyanie byli mieli dużo szlachetności i dobrej woli, a Polacy dużo roztropności, zręczności, i mocy nad sobą. Ale jedni i drudzy nie mieli tych przymiotów, i Królestwo Kongresowe trwało przez lat tylko piętnaście.

Od pierwszej chwili zaś, jak je cesarz Aleksander ogłosił, już się pokazały różne złe znaki; zdarzyły się rzeczy, które w Polakach musiały wywołać niedowierzanie, nieufność, potem niechęć, a wreszcie im dalej, tem większą nienawiść do rządu rosyjskiego.

Takim złym znakiem była zaraz pierwsza czynność cesarza Aleksandra, wybór Namiestnika dla Królestwa. Jeżeli cesarz chciał dać Polakom dowód swojej szczerej dobrej woli, i ufność ich pozyskać, to powinien był na swego zastępcę, na naczelnika rządu, wybrać takiego człowieka, któryby miał ufność i poważanie całego kraju. Cesarz tymczasem mianował Na-

miestnikiem jenerała Zajączka. Był to odważny żołnierz, ale innych zalet nie miał. Lękliwy i słaby, dbały o swoje własne znaczenie tylko, a rzetelnego przywiązania do ojczyzny pozbawiony, książę Zajączek (dał mu teraz cesarz tytuł książęcy), nie miał powagi ani bardzo dobrej sławy u Polaków. Jego powołanie na ten najwyższy urząd było znakiem, że cesarz chce mieć na tem miejscu powolnego sługę, ale nie dobrego obywatela i dzielnego człowieka. To jednak było złe nie wielkie, i nie byłoby mogło wiele zaszkodzić. Gorsze było to, że dowództwo nad wojskiem polskiem oddał Aleksander swemu bratu młodszemu, Wielkiemu Księciu Konstantemu. Dziwny to był człowiek. Jak jego ojciec cesarz Paweł, tak i on nie był bez szlachetnych uczuć; nieraz zrobił coś takiego, co dowodziło dobrego serca; miał jakąś prawość i honor; brzydził się kłamstwem, podstępem, niedotrzymaniem słowa. Ale jak ojciec miał dziwactwa dochodzące prawie do szaleństwa, tak on miał podobne, tylko w wyższym stopniu. Gwałtowny, samowolny, i uparty, kiedy wpadł w gniew, stawał się srogim i strasznym. Na twarzy potwornie szpetny, miał i w usposobieniu coś zwierzęcego: w napadach gniewu był jak rozzłoszczony zwierz, i odchodził prawie od przytomności. Rosyanie ze strachem myśleli, coby się stało, gdyby Aleksander umarł, a Konstanty po nim został cesarzem. Aleksander bowiem nie miał dzieci, i tron z prawa po nim spadał na drugiego brata. W rodzinie cesarskiej także sądzono, że Konstanty nie jest zdatny do tronu; on sam nawet czuł to i przyznawał. Cóż tedy zrobić, żeby go i usunąć od tego tronu, do którego miał prawo, i zrobić tak, żeby się na to sam zgodził dobrowolnie? Konstanty nie miał żołnierskiego ducha, wojny nie lubił, nie był nawet odważny. Ale lubił namiętnie wojsko, musztry, parady; z największym zapałem zajmował się mundurami, bronią, rynsztunkiem, i doglądał tego wszystkiego z największą ścisłością i surowością. Oprócz tego lubił Warszawę, a mówił, że lubi Polaków. Lubił ich nawet naprawdę; tylko po swojemu, jak dziwak i jak człowiek na pół szalony. Przed cesarzem i Rosyanami trzymał ich stronę, ale w Polsce ich uciskał i gnębił.

Kiedy więc w Petersburgu nie wiedzieli co zrobić, żeby Wielkiego Księcia nie dopuścić, a przecie coś mu takiego wymyśleć, żeby był rad ze swego losu, nadarzyło im się jak znalazł to dowództwo wojska polskiego. Konstanty mógł osiąść w Warszawie, dostawał wojsko śliczne i doskonałe, które mógł musztrować ile chciał; czuł się szczęśliwym i korony rosyjskiej nie pragnął. Nie zrzekł się jej odrazu, aż później; ale wiadomo było w rodzinie cesarskiej, że prędzej czy później odstąpi swoich praw do tronu młodszemu bratu Mikołajowi. Powiedzieli sobie, że będzie i wilk syty i koza cała: i Konstanty kontent, i Rosya od niego bezpieczna; i posłali go do Warszawy na dowódcę wojska polskiego.

To było wielkiem nieszczęściem. Wielki książę z natury był strasznie samowładny; a z wychowania nabrał tego przekonania, że wola cesarza rosyjskiego jest najwyższem prawem na ziemi. Zatem w Polsce i dla Polaków jego wola znowu, jako tego, który był cesarza najbliższy, i w jego imieniu miał władzę nad wojskiem. Nie rozumiał tego zupełnie, że każdy człowiek ma swoją wolę, swoje sumienie, swoją godność, i że nie może

zrobić tego, na co mu jego sumienie i honor nie pozwala. Każdy opór brał za bunt przeciw swojej władzy; każdą uwagę lub przedstawienie za obrazę swojej osoby. Łatwo zrozumieć, że Polacy przywykli od wieków do wolności, a przywiązani do swojej godności, nie mogli znosić gniewów, obelg, grubijaństw Wielkiego Księcia; brali je za zniewagę wyrządzaną ludziom, za krzywdę nieznośną dla całego narodu. Cóż dopiero wojskowi, w swoim honorze bardzo dotkliwi, a na te zniewagi najbardziej narażeni, bo byli podwładnymi Konstantego, i najwięcej mieli z nim do czynienia. Oficer, wyłajany publicznie przed frontem, nieraz ostatniemi słowami zelżony przez naczelnego wodza, a nie mogący znaleść sprawiedliwości, sądził się zgubionym na honorze, i dochodził do rozpaczy. Zdarzało się nieraz, że tacy oficerowie z tego wstydu i rozpaczy życie sobie odbierali. Inni znowu, nie mogąc i nie chcąc znosić tych grubijaństw i krzywd, występowali ze służby wojskowej i to nieraz najzdolniejsi. Takim był naprzykład wsławiony w wojnach napoleońskich Chłopicki [1]). Pojąć łatwo, jak te krzywdy i te samobójstwa musiały boleć i oburzać wszystkich mieszkańców Królestwa.

To był więc drugi i bardzo ważny powód, dla którego prawdziwie dobry stosunek i porozumienie między Królestwem a Rosyą utworzyć się nie mogły.

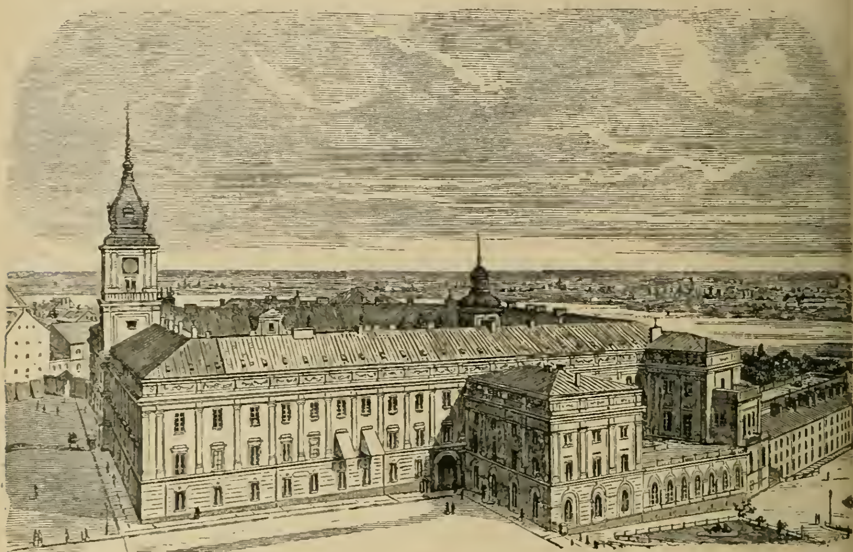
Nie było to zaś najgorsze. Dziwactwa i wściekłości Wielkiego Księcia, choć bolesne, byłyby znośniejsze, zwłaszcza, że i on z latami uspokoił się trochę i złagodniał; ale oprócz tych jego wybuchów wściekłości było jeszcze coś więcej. Cesarz Aleksander niedowierzał Polakom; nienawidzili ich Rosyanie, a zwłaszcza ci, którzy otaczali cesarza najbliżej. Chodziło cesarzowi o to, żeby miał w Warszawie oprócz brata jakiegoś Rosyanina, któryby na wszystko uważał, i wszystko mu donosił. Tamtym wielkim zaś urzędnikom chodziło o to, żeby Cesarza do Polaków zniechęcać, a ich przed nim oskarżać. Postanowiono tedy, że w Warszawie ma być przy rządzie polskim, cesarski komisarz rosyjski. Na cóż on był potrzebny? Miał cesarz w Warszawie Namiestnika, i miał swego brata; obudwom mógł ufać i wierzyć. Ten trzeci cesarzowi naprawdę potrzebny nie był; ale był potrzebny ministrom i dostojnikom rosyjskim na to, żeby Polaków szpiegował, a przed cesarzem ich za buntowników wystawiał. Ten więc komisarz cesarski w Warszawie nazywał się Nowosilcow, a był zaciekłym nieprzyjacielem Polaków, i przez cały czas robił co tylko mógł, żeby im szkodzić, cesarza do odebrania im przyznanych praw skłonić, a przez prześladowania różne doprowadzić Polaków do takiego rozdrażnienia, żeby w końcu za broń porwali i podnieśli powstanie, któreby Rosya wojskiem swojem stłumić mogła. Zebrał tedy Nowosilcow zgraję szpiegów i donosicieli, przed którymi nikt nie był bezpieczny. Za lada słówko, za poufną rozmowę między przyjaciółmi, każdy mógł dostać się do więzienia. Były też więzienia przepełnione; a w miarę tych prześladowań, rosło i oburzenie w całym kraju i nienawiść do Rosyi. Za każdem zaś nowem śledztwem i uwięzieniem szły do Petersburga raporta, że Polacy się buntują. Samego Wielkiego Księcia

---

[1]) Portret na str. 67.

nie oszczędzał Nowosilcow, i przestrzegał cesarza, że polegać na nim nie powinien, bo i on przez swój pobyt w Warszawie *spolaczał*.

Na chwiejnym umyśle cesarza robiło to wszystko wrażenie. Nietylko porzucił zamiar połączenia Litwy i Rusi z Królestwem, ale zaczął wątpić, czy dobrze zrobił, że to Królestwo utworzył. Z takich początków zaczęły się wzajemne podejrzenia i niechęci, które z czasem rosły i wzmagały się coraz bardziej.



ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE.

Ale zrazu szło wszystko spokojnie i zgodnie. Polacy byli szczerze wdzięczni Aleksandrowi za to, co zrobił; on był bardzo troskliwy o to, żeby ich sobie ująć. Kiedy pierwszy raz przyjechał do Warszawy po ustanowieniu Królestwa, przyjmowano go tam serdecznie: a on sam podobał się przez uprzejmość i zyskiwał wdzięczność przez niejedno dobre, jakie istotnie zrobił (naprzykład przez założenie uniwersytetu w Warszawie). Zwłaszcza ujmował sobie polskie serca tem, że w poufnych rozmowach powtarzał Polakom zawsze, jak on żałuje zbrodni Katarzyny, i jak chciałby tę zbrodnię naprawić.

Na czele Rządu Królestwa stał Namiestnik; obok niego było pięciu Ministrów: spraw wewnętrznych, skarbu, sprawiedliwości, oświecenia i wojny. Sejm miał się zbierać co dwa lata, a składał się z dwóch Izb: poselskiej i Senatu, do którego cesarz mianował Senatorów. Senatorowie ci nosili dawne polskie tytuły Wojewodów i Kasztelanów. Oprócz tego była t. zw.

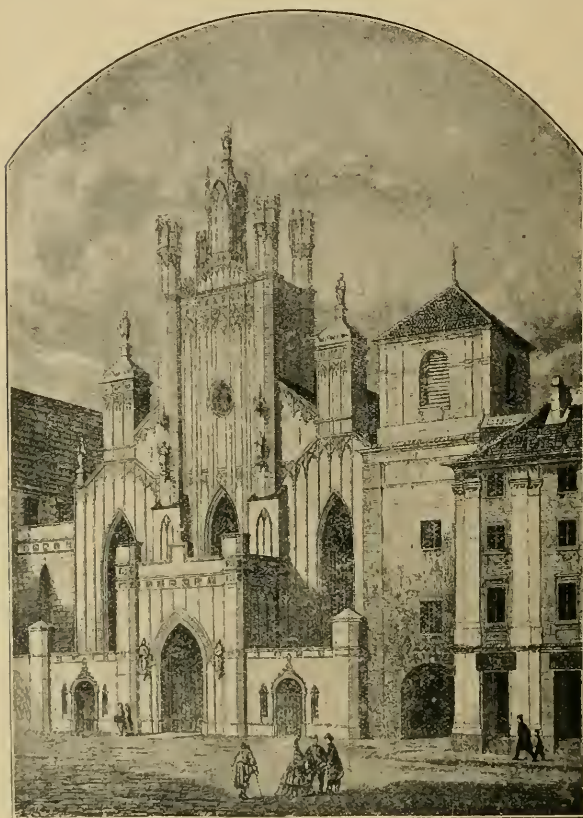
*Rada Stanu*, złożona ze znakomitych prawników i urzędników, której obowiązkiem było przygotowywać dla Sejmu projekta do praw. Kraj dzielił się dawnym polskim zwyczajem na Województwa. Zarząd każdego Województwa oddany był tak zwanej komisyi wojewódzkiej, która podlegała Ministrom, a której znowu podległe były urzędy powiatowe, burmistrze miast, i wójtowie po wsiach.

Było w owym czasie ludzi dzielnych i dobrych nie mało; a przez ich staranie i pracę kraj zaczął się podnosić znacznie. Potrzebował zaś tego bardzo, bo po tylu wojnach i skarb był próżny, i obywatele zubożeli, i wszystkie czynności i władze rządowe w rozprzężeniu. Trzeba było wszystko porządkować, na nowo urządzać, z niczego stwarzać. Ale ci ludzie podołali wszystkiemu. Pamiętali oni jeszcze czasy Polski niepodległej, pamiętali Sejm Czteroletni, który ją tak mądrze chciał ratować i naprawiać. W nim za młodu nauczyli się karności, ładu i pilności; a mieli przytem wielką miłość ojczyzny, wielkie dla niej poświęcenie, i wzięli się do dzieła gorliwie i mądrze. Sprawiedliwość i sądownictwo były wzorowe. Prawa jasne, proste, każdemu zrozumiałe. Postępowanie sądowe szybkie i łatwe tak, że sprawy nigdy w sądach długo nie zalegały. Sędziowie prawi, nieskazitelni, a rozumni: tak, że aż do czasu, kiedy rząd rosyjski (po roku 1863) zniósł sądy i prawa polskie, a wprowadził swoje prawa, swój język, i swoich rosyjskich sędziów, sądownictwo w tym kraju mogło służyć za wzór wszystkim innym. Doskonale też urządzili szkoły. Najwyższa (Uniwersytet) była jedna w Warszawie; we wszystkich miastach wojewódzkich i w niektórych powiatowych były gimnazya; a po wsiach, gdzie przedtem szkół było bardzo mało, założono ich w kilku latach tysiąc dwieście. Najtrudniej było ze skarbem, który na te wszystkie wydatki i na wojsko wystarczyć musiał, a dochodów nie miał zkąd czerpać, bo kraj był wyniszczony bardzo. Ale i na to poradziły tęgie głowy Ministrów skarbu, Matuszewicza naprzód, a po jego śmierci księcia Lubeckiego. Kraj był wyniszczony, ale był zasobny i bogaty z natury. Zrozumieli oni, że dochody skarbu podniosą się, w miarę jak się podniesie zamożność obywateli. Obrócili więc całe swoje staranie na to, żeby z tych przyrodzonych bogactw kraju korzystać, a przez nie ożywić jego przemysł i handel. Kraj miał wiele kopalni kruszcowych, żelaza zwłaszcza i miedzi. Rząd zajął się dobywaniem i przerabianiem tej rudy: powstały liczne fabryki żelazne, jedne rządowe, drugie ludzi prywatnych. Inne znowu wyrabiały płótna, drelichy, sukna, naczynia gliniane od najprostszych do ozdobnych i drogich. Miasta zaczęły się ożywiać i zbogacać. Dla majątków zadłużonych i zagrożonych przymusową sprzedażą (licytacyą), znalazł się środek w założonem podówczas *Towarzystwie kredytowem*, które dawało pożyczki na ziemię na pewien przeciąg lat, a dawało je tak, że po tym przeciągu lat, dłużnik rocznemi ratami spłacał całą zaciągniętą pożyczkę. Jednem słowem gospodarowali oni tak dobrze, że kiedy Królestwo (w roku 1831) upadło, skarb państwa był jednym z najzasobniejszych i najporządniej zawiadowanych w Europie.

Co nieprzyjaciele o nas mówią, że nie umiemy sami sobą rządzić, i że nie mamy głowy do porządnego prowadzenia spraw publicznych, to wtedy

okazało się wielką nieprawdą i potwarzą, bo wszystkie czynności rządowe prowadziliśmy doskonale.

Warto wspomnieć o jednej naprawie, którą wtedy przedsięwziąć zamierzano. Tyczyła się ona żydów. Już Sejm Czteroletni zajmował się tą sprawą i roztrząsał pytania, co robić z tem społeczeństwem żydowskiem, którego krzywdzić ani wypędzać się nie godzi, a które chrześcijańskiemu wiele przynosi szkody. Sejmy Królestwa, za tym przykładem i w tym samym duchu, wzięły się do tej sprawy. Polecono Radzie Stanu, iżby przygotowała projekt do prawa o żydach. Zasady tego prawa miały być następujące: „Zostawia się żydom wszelką „wolność wyznania, i własną zwierzchność religijną. „Ale znosi się „władzę sądową „kahałów; — „wszystkie sprawy między żydami mają się sądzić w zwykłych powszechnych sądach. Na „to, żeby żydzi nie mogli wykręcać się od płacenia podatków i od dawania „rekruta, mają być ich śluby i urodzenia zapisywane nie przez nich samych, „ale przez zwykłe urzędy. Nie ma być wolno żydowi żenić się przed skończonym rokiem 21, żydówce iść za mąż przed 18. Szkoły osobne żydowskie „mają się znieść; w szkołach powszechnych mają się uczyć swojej religii od



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY ŚW. JANA W WARSZAWIE.

„nauczycieli umyślnie na to kształconych i upoważnionych. Prawa z innymi „mieszkańcami równe, mogą żydzi mieć tylko pod tym warunkiem, że będą „podlegli tym samym prawom i sądom, co wszyscy (a swoje osobne zarzucą), „i że będą mówili tym samym polskim językiem". Była mowa i o tem, żeby na pewien przeciąg czasu, naprzykład na lat dwadzieścia, odjąć im zupełnie prawo szynkowania.

Zdało nam się, że warto przypomnieć jak u nas wtedy rozumiano tę sprawę, i jak ją uczciwie a roztropnie chciano rozwiązać. Późniejsze wypadki stanęły na przeszkodzie, że Rada stanu tego projektu do prawa wygotować nie mogła.

O kilku przynajmniej znakomitych ludziach tego czasu wspomnieć się godzi, żeby wiadomość o ich życiu i zasłudze rozeszła się szerzej po świecie.

Książę Adam Czartoryski [1]) nie należał do rządu Królestwa; zasiadał tylko w Senacie jako wojewoda. Ród jego stary był jedną z bocznych gałęzi królewskiego domu Jagiellonów. Przez długie wieki wszakże nie miał wielkiego znaczenia, ani wielkiego majątku. Dopiero w XVIII wieku wydał dwóch ludzi bardzo zdolnych. Jeden z nich, Michał, był kanclerzem litewskim, drugi August wojewodą ruskim. Ten ożenił się z ostatnią Sieniawską, a przez nią weszły w dom Czartoryskich ogromne bogactwa Sieniawskich. Oba ci bracia stali za króla Augusta Trzeciego na czele tego stronnictwa, które chciało zaprowadzić lepszy porządek w kraju, znieść *Liberum Veto* i *Wolną Elekcyę*, wzmocnić władzę królewską, a z czasem przypuścić stany nieszlacheckie do praw równych ze szlachtą. Głowy mieli tęgie, a chęci i dobre i mądre. Ale nieprzyjaciół mieli wielu, bo i to co robić chcieli, nie podobało się ogółowi, i sami sobie ludzi dumą i hardością zrażali. Siostra ich była za Poniatowskim, kasztelanem krakowskim, także dzielnym człowiekiem, i była matką ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Adam Czartoryski, o którym teraz mówimy, był wnukiem wojewody ruskiego Augusta. Wychowany przez rodziców bardzo starannie, i w najgorętszej miłości ojczyzny, był młodzieńcem wielkich nadziei, ale zawsze poważnym i smutnym, bo go krajowe nieszczęścia bolały do żywego. Po trzecim rozbiorze Polski Katarzyna zażądała od jego rodziców, żeby synów oddali na jej dwór do Petersburga. Pod tem żądaniem była ukryta groźba, że jeżeli nie usłuchają, to ich majątki będą zabrane. Rodzice znali synów dobrze, wiedzieli, że nigdy ani wiary ani ojczyzny nie odstąpią; posłali ich więc na ten dwór, z żalem wielkim, ale bez obawy o ich zacność i honor. Tu młody wielki książę Aleksander, syn Pawła, tak sobie młodego Adama Czartoryskiego upodobał, że zawiązała się między nimi ścisła, i jak się zdawało, trwała przyjaźń. Po śmierci cesarza Pawła, kiedy Aleksander został cesarzem, zrobił zaraz Czartoryskiego ministrem spraw zagranicznych. Prowadził on wtedy stosunki Rosyi z innemi państwami, a tak rzetelnie i uczciwie, jak żeby o jego własny kraj chodziło. Gdyby cesarz Aleksander był chciał jego rad słuchać, byłby się od niejednej wielkiej szkody uchronił; naprzykład od tej wojny z Napoleonem, w której został pobitym pod Auster-

[1]) Portret zobacz na str. 84.

litz. Dla Polski wiele też Czartoryski wtedy zrobił i u cesarza wyjednał; naprzykład doskonałe szkoły na Litwie i Rusi, Uniwersytet w Wilnie, sławne Liceum w Krzemieńcu (na Wołyniu) i wiele szkół niższych. Urządzał te szkoły i doglądał ich bardzo znakomity i zasłużony człowiek, Tadeusz Czacki. W poufnych rozmowach powtarzał Aleksander Czartoryskiemu zawsze, że chce odbudowania Polski, i oba naradzali się nad sposobami, jakby to zrobić. Ale tego właśnie bali się Rosyanie otaczający cesarza, i pracowali usilnie, żeby w nim obudzić nieufność do Czartoryskiego. Pracowali nad tem nie bez skutku, bo wpływ księcia na cesarza zaczął się stopniowo zmiejszać. Ministeryum spraw zagranicznych złożył Czartoryski, widząc że mu cesarz mniej dowierza. Przyjaźń na pozór została ta sama, ale naprawdę cesarz coraz mniej zważał na rady przyjaciela.



JULIAN URSYN NIEMCEWICZ.
(według współczesnego portretu).

Przy ustanowieniu Królestwa Kongresowego myśleli wszyscy, że tego przyjaciela zrobi cesarz swoim namiestnikiem; tem bardziej, że w Wiedniu na kongresie miał go przy sobie do rady. Ale stało się inaczej. Miejsca w rządzie Królestwa Czartoryski nie miał żadnego; miał tylko najwyższy dozór nad szkołami na Litwie i Rusi. Mieszkał przy starych rodzicach, w pięknych Puławach (nad Wisłą w Lubelskiem), gdzie rodzice założyli zbiór wspaniały ksiąg i starych polskich pamiątek, i gdzie od dwóch pokoleń zjeżdżało się co było w Polsce ludzi znakomitach nauką i zasługą. Majątkiem i stanowiskiem był książę Adam jednym z najznaczniejszych ludzi w kraju, a godnością i cnotą jednym z najpoważniejszych i najbardziej szanowanych. Co się z nim dalej stało, jaki miał udział w powstaniu roku 1830, jaką starość, a wreszcie śmierć zagranicą, w Paryżu, to zobaczymy w dalszym ciągu tego opowiadania.

Od niego starszy, ale z nim serdeczną przyjaźnią przez całe życie złączony, był Julian Ursyn N i e m c e w i c z. Ten za młodu był posłem na Sejm Czteroletni, i wtedy już dał się poznać jako zdolny pisarz. Przywiązany gorąco do Ustawy Trzeciego Maja, popierał ją słowem i pismami, a ciętym, złośliwym dowcipem smagał jej przeciwników. Zaprzyjaźniony z Kościuszką, służył pod nim w powstaniu; pod Maciejowicami ranny i wzięty do niewoli, przesiedział dwa lata w petersburskiem więzieniu. Uwolnił go, razem z innymi, cesarz Paweł przy swojem wstąpieniu na tron. A gdy Kościuszko chciał jechać do Ameryki (gdzie się bił za młodu pod sławnym Waszyngtonem, który Amerykę wyzwolił z pod panowania Anglików), skłonił Niemcewicza, żeby mu towarzyszył. Ten, bez ochoty, ale z przywiązania do Kościuszki, pojechał, i lat

kilka w Ameryce przesiedział (Kościuszko wrócił do Europy wcześniej i osiadł w Szwajcaryi). Kiedy Napoleon z wojskiem stanął na ziemi polskiej, Niemcewicz wrócił, i z wielkim zapałem, z pracowitością ogromną, służył ojczyźnie. Był on przedewszystkiem pisarzem. Wiersze, powieści, historyę, opisy ziem polskich, sztuki do teatru, wszystko pisał; a wszystko na to, żeby pamięć dawnej Polski w nas utrwalić, jej miłość rozkrzewić, a obowiązek względem ojczyzny nam przypominać i na zawsze wbić w pamięć i w serce. Z jego wierszy najsławniejsze były *Śpiewy Historyczne*: krótkie dumy o wielkich ludziach, o królach, o bojach polskich. — W bajkach swoich, które ludzie skwapliwie czytywali, bardzo dowcipnie i złośliwie wyśmiewał i szczypał Moskali albo złych Polaków; a że mówił niby o zwierzętach, więc mu nic za to zrobić nie mogli, bo nie wypadało im przyznać, że się w tej bajce poznali. Bajka była o niedźwiedziu naprzykład, albo o wilku, albo o tchórzu, czy jakiem innem podłem zwierzęciu; ale wszyscy wiedzieli, kogo to zwierzę miało oznaczać. Niemcewicz zasiadał w Senacie Królestwa jako kasztelan; przez swój żywot zaś taką zdobył sobie w kraju powagę i ufność, że był jednym z tych ludzi, na których zdanie zważano najbardziej i najchętniej go słuchano. I on także umarł na wygnaniu, w Paryżu, w roku 1841.



STANISŁAW STASZYC
(podług sztychu Oleszczyńskiego).

Tadeusz Mostowski był Niemcewicza kolegą w Sejmie Czteroletnim, potem w powstaniu Kościuszkowskiem, i w więzieniu. Z więzienia wypuszczony osiadł na wsi i gospodarował; potem z powodu różnych spraw rodzinnych mieszkał długo zagranicą, i dopiero pod koniec Księstwa Warszawskiego do kraju powrócił. Przy tworzeniu rządu Królestwa oddano mu zaraz Ministerstwo spraw wewnętrznych, które też do końca w jego ręku zostało. Jako minister okazał on wielkie zdolności, i położył wielkie zasługi. „Wzrost i uporządkowanie miast, fabryki i różnego rodzaju zakłady, drogi „bite, kopalnie, handel, przemysł, gospodarstwo rolne podniesione przez „lepsze narzędzia i lepsze gatunki bydła, wszystko to było Mostowskiego „zasługą". Tak pisze o nim współczesny a wiarogodny świadek, Kajetan Koźmian, kasztelan i członek Rady Stanu Królestwa, i dodaje, że takiego Ministra jak Mostowski każdemu największemu państwu możnaby winszo-

wać, gdyby takiego znalazło. I ten także po roku 1831 musiał wyjechać do Francyi i tam umarł.

W jego Ministeryum, na czele spraw przemysłu i rękodzieł, stał Stanisław Staszyc. Człowiek wielkiego umysłu, wielkiego serca, wielkiej zasługi; godzien, żeby go zawsze ze czcią wspominać. Jedna jest tylko w jego życiu okoliczność. której żałować należy. Kiedy Staszyc był małem dzieckiem, matka jego nierozważnie zrobiła ślub, że zostanie księdzem. Kiedy dorósł, chciał tego matczynego ślubu dotrzymać, i wyświęcił się. Ale bez kapłańskiego powołania, a co gorzej, bez wiary, i dobrym księdzem być nie mógł, i sam w tym stanie nie mógł być szczęśliwym. Nie pełnił też żadnych obowiązków duchownych. Ale choć żył bardzo uczciwie i poważnie, zawsze przecie było coś sprzecznego i przykrego w jego położeniu. Żył i nosił się jak świecki, a księdzem przecie być nie przestał, bo charakter kapłański jest niezmazany. Nie był ani naprawdę świeckim, ani księdzem jak należy. Tyle jednak było w nim rozumu i cnoty, że mimo to wielkiej używał w kraju powagi.

Zaczął swój zawód za młodu, od pisania o sprawach rządowych; a to co pisał było tak mądre i słuszne, że go musimy liczyć do tych ludzi, co o dobru ojczyzny najlepiej, najpoważniej myśleli. Chodziło mu w tych pismach głównie o dwie rzeczy. Jedną było zniesienie dawnego nierządu w Polsce, i dlatego radził zaniechać wolny wybór królów, a zaprowadzić tron dziedziczny. Jego pisma tak wpłynęły na wyobrażenia Polaków, że przyczyniły się wielce do uchwalenia Konstytucyi Trzeciego Maja, która jak wiadomo stanowiła u nas dziedzictwo tronu. Drugą zaś wielką myślą Staszyca było zniesienie poddaństwa: oczynszowanie na początek, a stopniowo uwłaszczanie włościan. Pisał o tem tak gorąco, i tak rozumnie, jak nikt drugi za jego czasów; i gdyby nie rozbiory Polski za jego młodości, gdyby nie wojny napoleońskie później, a upadek powstania w roku 1831, byłyby jego myśli weszły w życie, bo i za Sejmu Czteroletniego, i za Królestwa (w Radzie Stanu) były brane pod rozwagę, w tym celu, żeby na nich oprzeć wniosek do prawa o zniesieniu poddaństwa.

Był Staszyc oprócz tego wielkim uczonym; ale zwłaszcza zajmował się składem ziemi, i tem co się w jej wnętrzu znajduje. Dlatego teraz, za Królestwa, oddał mu Minister Mostowski wydział górnictwa. Bogactwa kruszcowe, ukryte w kopalniach żelaza i miedzi, potrzebowały człowieka, któryby niemi gorliwie się zajął, a wtedy mogły ogromnie podnieść zamożność kraju. Staszyc był właśnie człowiekiem do tego, i ten przemysł kruszcowy rozwinął się pod jego zarządem. Był on oprócz tego Prezesem *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, które miało swoją siedzibę w Warszawie, a zajmowało się bardzo czynnie i skutecznie uprawą wszystkich potrzebnych nauk. Majątek swój, Hrubieszowszczyznę, darował gminie samej; ale zobowiązał ją prawem do rządzenia w sposób, jaki jej przepisał. Jest to jakoby mała Rzeczpospolita, która się rządzi przez dziedzicznych wójtów z przyboczną radą. Własność nie należy do gminy, ale każdy gospodarz ma swoją część. Największe części dochodzą do ośmdziesięciu morgów. Oddał tę osadę po opiekę rządu, otrzymał dla niej zatwierdzenie cesarza, a to co ustanowił, utrzymuje się

do dziś dnia. Z majątku ruchomego zbudował w Warszawie dom dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk [1], i wystawił posąg dla wielkiego astronoma Polaka, Kopernika. Resztę obrócił na bardzo znaczne zapisy dobroczynne. Umarł Staszyc w Warszawie w roku 1826.

Jeżeli Staszyc, jako kapłan, nie był takim jak być powinien, to żył wtedy inny, który i sam był wzorem świątobliwego kapłana, i w kraju całym wiarę i pobożność słowem i przykładem podnosił. Jan Paweł Woronicz, urodzony na Wołyniu, wstąpił bardzo młodo do zakonu Jezuitów. Gdy na żądanie wszystkich prawie państw europejskich (nie Polski wszakże), Papież Klemens czternasty widział się zmuszonym zakon ten rozwiązać [2]), Woronicz żył jako ksiądz świecki i był proboszczem w Powsinie pod Warszawą. Od młodości z wielkiem upodobaniem pisał wiersze, a wszystkie pełne są gorącej wiary, pobożności i miłości ojczyzny. Współcześni podziwiali bardzo jego wiersze, ale jeszcze bardziej jego chrześcijańskie i kapłańskie cnoty. Był też Woronicz najlepszym w swoim czasie kaznodzieją; mówił tak rzewnie, że przejmował słuchacza czy skruchą, czy nadzieją, czy miłością Boga w niebie, a wszystkiego co dobre na ziemi. On przemawiał na pogrzebie księcia Józefa, i na pogrzebie Kościuszki; on przy poświęceniu sztandarów wojska polskiego. A kiedy w zwykłą niedzielę, w wiejskim kościele, tłómaczył Ewangielię i dawał nauki, to mówił taksamo starannie i rzewnie, może piękniej jeszcze, niż nad grobem sławnych ludzi, albo w ważnych krajowych wypadkach. Cześć i miłość powszechna otaczała go też przez całe życie, a cnoty wskazywały go jako najgodniejszego na urząd duchownego pasterza. Zasiadł też na stolicy Biskupiej w Krakowie; tu, do narodowych pamiątek rzewnie przywiązany, gromadził ich jak mógł najwięcej w swoim biskupim pałacu, który podźwignął z zaniedbania i upadku [3]). W ostatnich latach życia przeniesiony był na arcybiskupstwo warszawskie [4]), umarł w roku 1829.



KSIĄDZ BISKUP PAWEŁ WORONICZ.
(według współczesnego portretu).

Marcin Badeni, minister sprawiedliwości, miał znowu osobny rodzaj rozumu i zasługi. Mówiono o nim, że nikt nie miał takiego doskonałego zdrowego rozsądku jak on. W każdej sprawie umiał wskazać najbezpiecz-

[1]) Dom ten rząd rosyjski zabrał i przerobił na rosyjskie gimnazyum.

[2]) Przywrócił go Papież Pius Siódmy.

[3]) Pamiątki te spłonęły razem z pałacem w pożarze Krakowa w r. 1850.

[4]) Arcybiskupstwo warszawskie było nowe, utworzone prawie razem z Królestwem Kongresowem. Za dawnych czasów Warszawa należała do dyecezyi poznańskiej.

niejszy i najkorzystniejszy sposób, w jaki ta sprawa dała się załatwić. A że prawość była tak wielka, jak rozum, więc nie dziw, że mało kto tyle miał u ludzi wiary, ufności i poważania co Badeni. Miał też i wielką miłość ludzką, bo oprócz tamtych przymiotów posiadał i ten, że był bardzo miły, grzeczny, dla drugich życzliwy, a w rozmowie zabawny. Miał sławę najdowcipniejszego człowieka w całej Polsce.

Stanisław Potocki, minister oświecenia, był pan wielkiego majątku, wielkiej nauki, i niemałej zasługi. Gorąco przywiązany do ojczyzny, za młodu w Sejmie Czteroletnim miał sławę doskonałego mowcy. Po rozbiorze kraju trudnił się naukami, pisał książki i składał bogate zbiory w Willanowie (pod Warszawą), pałacu niegdyś króla Jana Trzeciego, który później, prawem spadku, stał się własnością jego żony. Jako minister oświecenia, był bardzo gorliwy i czynny; bardzo troskliwy o pomnożenie szkół i o ich dobry stan. Jedno tylko zarzucić mu można, to brak wiary i pobożności, co niestety było rzeczą wtedy nierzadką; ale już na szczęście przechodzić zaczynało.

Tadeusz Matuszewicz, minister skarbu, w Sejmie Czteroletnim uchodził za głowę jedną z najtęższych; za Napoleona był prawie główną osobą i duszą czynności rządowych Księstwa Warszawskiego. Uchodził też za najlepszego z ówczesnych mowców. W rządzie Królestwa zajął się czynnie i mądrze uporządkowaniem skarbu, przygotował założenie Banku polskiego i Towarzystwa kredytowego; ale umarł rychło. Po nim zarząd skarbu objął książę Ksawery Drucki-Lubecki. Ten był niezmiernie zdolny. Nietylko wykonał i wprowadził w życie zamierzone przez Matuszewicza ulepszenia, ale w krótkim przeciągu czasu doprowadził skarb do zupełnego porządku, a nawet do stanu bardzo kwitnącego. Ale był przytem samowolny i bezwzględny; kiedy chodziło o uporządkowanie skarbu, to nie zawsze zważał na prawa prywatne. Naprzykład odebrał miastom prawo propinacyi, a przeniósł je na skarb, czem oczywiście tym miastom wyrządził krzywdę. Za takie samowolne postępowanie Lubecki był wogóle nielubiony, a przez niektórych znienawidzony, tak że jego rzeczywistych zasług widzieć i przyznawać nie chcieli, a nawet uważali go za złego Polaka, co było nieprawdą i wielką dla niego krzywdą.

Z wojskowych, z jenerałów Napoleońskich, najzdolniejsi nie mogli znosić szalonych gniewów Wielkiego Księcia, i wystąpili ze służby, kiedy on został naczelnym wodzem. Dąbrowski umarł też wkrótce; Kniaziewicz się ożenił i mieszkał na wsi na Wołyniu. Pozostali w służbie: Kossecki, Wielhorski, Krasiński, i inni, byli bardzo dobrymi, tęgimi wojskowymi, a pod nimi w stopniu pułkowników służyli późniejsi jenerałowie: Skrzynecki [1]), Chrzanowski, Prądzyński, Chłapowski [2]), Dwernicki [3]), Morawski, o których usłyszymy więcej, jak przyjdziemy do wojny roku 1831. W czasach pokoju wojsko nie miało sposobności do pokazania swego męstwa, ale przez doskonałe ćwiczenie, wzorową karność, biegłość i umiejętność oficerów, przez uczucie honoru i żołnierskiego ducha, należało to wojsko do najlepszych w Europie.

[1]) Wizerunek na str. 70. [2]) Wizerunek na str. 74. [3]) Wizerunek na str. 69.

O tem też zapomnieć się nie godzi, że Polska ówczesna miała wielu ludzi uczonych i w oświacie stała wysoko. Wszystkich wyliczać byłoby za długo, ale trzeba wymienić dwóch Śniadeckich. Starszy Jan, był astronomem; młodszy Andrzej, chemikiem. Oba byli profesorami w uniwersytecie wileńskim, a sławę mieli niemałą (zwłaszcza Jan), daleko za granicami Polski. Joachim Lelewel, profesor historyi w Warszawie, a później w Wilnie, był niesłychanie uczony, odkrył i wyjaśnił wiele takich zdarzeń lub stosunków w dawnych dziejach polskich, o których przed nim wiedziało się bardzo mało. Maksymilian Ossoliński zajmował się dawnem piśmiennictwem polskiem, a ze swojego wielkiego majątku założył we Lwowie i uposażył Zakład narodowy imienia Ossolińskich, który do dziś jest i wielkie nauce polskiej oddaje usługi. Bandkie uprawiał naukę prawa polskiego; Chodakowski chodził piechotą od wsi do wsi i spisywał a potem drukował pieśni i powieści, jakie z ust ludu wiejskiego usłyszał. Za jego przykładem zbierało potem te pieśni i podania wielu innych. Fryderyk Skarbek trudnił się nauką gospodarstwa krajowego, czyli ekonomii politycznej, i uczył jej w uniwersytecie warszawskim. O Staszycu, i jego wielkiej nauce, już była mowa wyżej. Nie tak głośnych, ale bardzo pożytecznych i zasłużonych, było wielu po wszystkich miastach polskich. Należeli wszyscy do warszawskiego *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, które często wyznaczało im prace, oceniało je i sądziło, a wszystkim dodawało bodźca i zachęty.



JOACHIM LELEWEL U SCHYŁKU ŻYCIA.
(współczesny portret).

Nie brakło i takich co wiersze pisali, poetów. Pomiędzy tymi najlepszym w owym czasie był może Kajetan Koźmian, referendarz w radzie stanu królestwa, a później senator kasztelan, człowiek rozumny, poważny, godny, w swoich przekonaniach bardzo stały, i odważny w ich wypowiedzeniu, choćby się ludziom podobać nie miały. Mieszkał w Warszawie, bo tak wymagał jego urząd. Ale wolał wieś i gospodarstwo, i zawsze do wsi wzdychał. Jego głównych dzieł jest dwa. *Ziemiaństwo Polskie*, poemat w czterech pieśniach: o uprawie roli, o chowie bydła, o lasach i sadach, a w pieśni ostatniej o obowiązkach dziedziców względem poddanych, i o poprawieniu losu poddanych (przez co rozumie zniesienie pańszczyzny przez oczynszowanie a następnie przez uwłaszczenie). Drugie jego dzieło *Stefan Czarniecki*, opisuje wierszem wojny szwedzkie za Jana Kazimierza, obronę Częstochowy i zwycięstwo Czarnieckiego; a uczy, że Bóg nie chce Polaków zgubić, ale chłostą z niejednego złego poprawić, a gdy się poprawią, zmiłuje się nad nimi.



FRANCISZEK WĘŻYK, KASZTELAN
(według fotogramu).

Oprócz Koźmiana sławni byli ze swoich wierszy jego dwaj przyjaciele: Franciszek Wężyk, także kasztelan, który pisywał sztuki do teatru (tragedye), a treść do nich brał zawsze z historyi polskiej; i Franciszek Morawski [1]), pułkownik a później jenerał, w Wielkopolsce urodzony, i tam na starość mieszkający i zmarły (1862). Ten pisywał nie duże ale bardzo ładne wierszyki, pełne uczucia, a czasem wesołości i dowcipu. Jego bajki znajdują się zawsze we wszystkich szkolnych wypisach, i dzieci uczą się ich na pamięć. Kazimierz Brodziński, urodzony w Królówce (niedaleko Bochni), ze szkół w Tarnowie poszedł do wojska za Napoleona. Po jego upadku osiadł w Warszawie jako profesor języka polskiego, a wierszami swemi zrobił sobie wielką sławę. Najładniejszy z tych wierszy nazywa się *Wiesław*. Jest to historya młodego parobka, sieroty, którego gospodarz jeden przygarnął i wychował. Wiesław, wysłany przez tego opiekuna za kupnem koni, poznaje w tej drodze dziewczynę, która mu się bardzo podoba. Dziewczyna ta, jak się pokazało, była córką jego opiekunów, w dzieciństwie im wykradzioną i opłakaną jako zmarła. Rozumie się, że cała historya kończy się weselem.

Kiedy tak się działo Polakom pod rządem rosyjskim, co do wewnętrznego zarządu i oświaty nieźle, a co do stosunku z Rosyą znośnie ale niepewnie, jakże się działo pod rządem pruskim i austryackim?

W Wielkopolsce, pod Prusakami, nie zaszło w tych czasach nic ważnego i nic szczególnie złego. Prześladowania Polaków nie było. Namiestnikiem w Poznaniu był Polak, książę Antoni Radziwiłł, ożeniony z bliską krewną króla Pruskiego, a ztąd posiadający jego zaufanie. Ale był człowiek prawy i godny, i jak długo on rządził, nie dopuścił, żeby krzywdzono czy obywateli, czy kraj polski, jako taki. W Austryi panował Cesarz Franciszek, a największe znaczenie w rządzie miał jego kanclerz, książę Metternich. Ten mniemał, że bezpieczeństwo państwa zawisło od tego, iżby poddani ślepo słuchali rządu, a żadnych narodowych uczuć, wspomnień, pragnień nie mieli. Śledził też przez szpiegów; a gdzie się takie uczucia pokazały (zwłaszcza włoskie w Lombardyi i polskie w Galicyi), tam zaraz więzienia, procesa, i wyroki na długoletnie, ciężkie więzienia w kajdanach. W państwie takiem jak Austrya, złożonem z różnych narodów, były takie rządy szczególnie niemądre. Wszystkie te narody siedziały cicho ze strachu, ale wszystkie znienawidziły rząd, i gdy się pierwsza sposobność nadarzyła (zobaczymy to później), wszystkie podniosły się przeciw Austryi. Na Węgrzech i we Włoszech była wojna, w samym Wiedniu rewolucya (w roku 1848). Książę Metternich cieszył się, że zapewnił Austryi spokój i bezpieczeństwo, i w istocie na pozór był ten spokój przez lat trzydzieści. Ale przez ten sposób rządzenia doprowadził on państwo do takiego stanu osłabienia i zubożenia, że z wewnętrznych zaburzeń ledwo wyszło cało. I trzeba było długich lat mądrego, sprawiedliwego rządu dzisiejszego Cesarza Franciszka Józefa, żeby poddanym przywiązanie do państwa a państwu siłę i bezpieczeństwo przywrócić.

Polaków Metternich szczególnie nienawidził. Byłby się jeszcze zgodził na Polskę niepodległą, któraby Austryę od Rosyi przegrodziła. Ale w Galicyi, prowincyi austryackiej, tępił i tłumił wszelki objaw polskiego uczucia i życia. Zobowiązań przyjętych na kongresie wiedeńskim, że Polakom prawa narodowe zachowa, niewiele sobie robił. Urzędnicy byli wszyscy Niemcy, albo Czesi, wszyscy krajowi nieprzychylni; o dobro jego nie dbali nic, tylko o to żeby szpiegować i donosić. W szkołach było wszystko po niemiecku; nawet kiedy po lekcyi studenci między sobą mówili po polsku, to zaraz dostawali karę. Broń Boże, żeby który z nich jaką polską książkę czytał. A szukano tych książek często po domach, przetrząsano rzeczy; i jak się książka zakazana znalazła, ten co ją posiadał, czytał, albo drugiemu pożyczył, szedł zaraz do kozy. Pisać i wydawać polskie książki i pisma było bardzo trudno, bo sroga cenzura czyhała na każdą myśl i na każde słowo. Był więc w Galicyi spokój przez te lata, ale życia nie było; publicznego wcale, a naukowego mało. Kraj gnuśniał, i zamiast się oświecać głupiał po trochu; zamiast się bogacić ubożał. Pod względem dróg, szpitali, zabezpieczenia rzek, i tego wszystkiego, co rząd samowładny zakładać i utrzymywać ma obowiązek, Galicya była zupełnie zaniedbana, bo rząd dla niej pieniędzy i nakładów żałował.

A co książę Metternich takiem postępowaniem zyskał? Nic! Uczuć polskich w kraju nie stłumił, tylko je prześladowaniem owszem bardziej rozpalił. A krajowi i państwu ciężkie przez to sprowadził nieszczęście, jak się to później pokaże.

Cóż się wtedy działo w *Wolnem mieście Krakowie?* W małem mieście z małym okręgiem nic bardzo ważnego dziać się nie mogło. Życie było spokojne, a tak tanie, że ludzie ściągali tu chętnie z różnych stron. Miasto podnosiło się w zamożności przez handel, a w oświacie przez dobre szkoły i uniwersytet. Wsie zwłaszcza były swobodne i bogate; różniły się pod tym względem bardzo od pobliskich wsi w Galicyi i nawet w Królestwie. Rządy małej Rzeczypospolitej sprawował Senat, na którego czele, jako Prezes, stał Stanisław Wodzicki, senator wojewoda Królestwa Polskiego, człowiek roztropny, prawy, powszechnie szanowany. Władzą prawodawczą był Sejm. Trzy państwa: Rosya, Austrya i Prusy, miały w Krakowie swoich urzędników (zwano ich Rezydentami). Prosta rzecz, że rząd wolnego Miasta musiał ciągle na tych rezydentów zważać i ich słuchać, bo cały byt tej małej rzeczypospolitej zależał od tych trzech mocarstw. Każdej chwili mogła ona być zajętą, i do jednego z tych państw przyłączoną, a opierać się oczywiście nie miała siły. Im dalej też, tem uciążliwsi byli ci rezydenci; a w późniejszych latach prześladowali i więzili (mieli swoją własną policyę, która od Rządu Wolnego Miasta nie zależała). W początkach wszakże zachowywali się znośnie. W mieście i w okręgu zaprowadzały się różne porządki, drogi, szpitale, szkoły i pożyteczne zakłady, jak Towarzystwo Dobroczynności i Towarzystwo Naukowe.



STANISŁAW WODZICKI.

Obchodził wtedy Kraków dwie smutne ale piękne uroczystości, pogrzeb księcia Józefa, i pogrzeb Kościuszki. Zwłoki księcia Józefa, wydobyte z Elstery pod Lipskiem, złożone były w Warszawie. Ale uznano słusznie, że przystało im spoczywać w grobach królewskich. Przewiezione do Krakowa w roku 1817, pochowane były z wielką okazałością pod kościołem na Zamku, gdzie grobowiec kto chce, może zawsze zobaczyć. W rok później złożono obok księcia Józefa, Kościuszkę. Ten od powrotu swego z Ameryki mieszkał w Szwajcaryi, w mieście Solurze. Kiedy Napoleon ofiarował mu dowództwo nad wojskiem polskiem, nie przyjął, bo nie wierzył w szczerość zamiarów Napoleona. Po tego upadku nalegał znowu na Kościuszkę cesarz Aleksander, żeby wrócił do kraju i do wojska, ale on znowu nie ufał, i znowu nie przyjął. Stary już i coraz słabszy na zdrowiu, żył spokojnie i cicho w tej Solurze, odwiedzany przez podróżujących Polaków, którzy spieszyli złożyć uszanowanie dawnemu Naczelnikowi, a otoczony najwyższym szacunkiem

Szwajcarów. Trudnił się wiele w starości dziećmi i ubogimi. Był taki litościwy, że nigdy nie minął żebraka, żeby mu coś nie dał; aż koń na którym jeździł, tak się do tego przyzwyczaił, że sam z siebie stawał przy każdym



TADEUSZ KOŚCIUSZKO W PODESZŁYM WIEKU, W CZASIE POBYTU W SOLURZE,
współczesny portret Riekera).

ubogim, i czekał dopóki pan nie dał jałmużny. Umarł Kościuszko 12 października roku 1817. Tyle było w całym świecie uszanowania dla ostatniego obrońcy Polski niepodległej, że w Europie całej śmierć jego zrobiła wielkie

wrażenie; a nawet w Ameryce, gdzie pamiętano jego zasługi w wojnie przeciw Anglikom i jego przyjaźń z bohaterem Ameryki, Waszyngtonem. Tyle było jeszcze w świecie sumienia i honoru, a przynajmniej ich pozorów, że nikt nie śmiał dziwić się Polakom, że chcą okazać żal i cześć swojemu Naczelnikowi, ani im w tem przeszkadzać. Nawet pod rządem rosyjskim, na Litwie i Rusi, wolno było odprawiać nabożeństwa za Kościuszkę po wszystkich kościołach. Wszystkie trzy dwory zgodziły się odrazu na przewiezienie zwłok i pochowanie ich w Krakowie. Wysłano więc osobnych delegatów do Solury, żeby ciało przywieźli. Gdy przybyło, złożono je naprzód w kościele św. Floryana; a gdy na Zamku grobowiec był już gotów, przeprowadzono je w nader okazałym pochodzie na Zamek, gdzie przez trzy dni trumna stała na katafalku w kościele, a 23go czerwca złożona była w grobach. Mowę pogrzebową miał Biskup Woronicz, a drugą świecki, Prezes Senatu Wodzicki. Ale po pogrzebie nasunęło się samo z siebie pytanie, jaki pomnik postawić Kościuszce. Różne były zdania: wielu myślało o spiżowym posągu na krakowskim rynku. Aż Marcin Badeni, o którym była mowa wyżej, i Prezes Wodzicki, wpadli na myśl szczęśliwą. „Co tam „posągi! — mówili — czas je zwala, czasem i człowiek niszczy. Nie mamy „to pod samym Krakowem dwóch pomników, co wieki przetrwały? Z nich „bierzmy wzór. A jak nasi przodkowie kiedyś usypali z ziemi mogiłę temu „Krakusowi, co pierwszy miasto założył i smoka zabił, tej Wandzie co sobie „śmierć zadała, żeby kraj od nieprzyjaciela ocalić, tak my usypmy trzecią „mogiłę temu, co ostatni w dawnej Polsce i za nią walczył, co zwyciężył „niejeden raz, a cześć naszą uratował“.

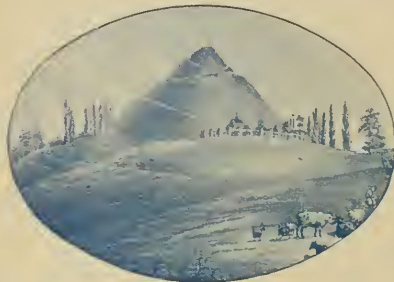
Myśl dobra przyjęta była w całej Polsce z największym zapałem. Ze wszech stron zaczęły się sypać składki; i nie z Polski tylko, ale z Francyi, z Anglii, z Niemiec, z Ameryki, zewsząd. Prezes Wodzicki opowiada w swych pamiętnikach, że bogaci dawali duże kwoty, a włościanie, co który mógł, po złotówce, po dziesięć groszy i mniej, ale bardzo licznie. Często wsie całe robiły składkę u siebie, a zebrane pieniądze przez wójtów do Prezesa Senatu odsyłały. Złożył się z tego fundusz tak znaczny, że w dwa lata po pogrzebie Kościuszki, można było przystąpić do sypania mogiły.

Z tego co piszą współcześni świadkowie, widać, że to była uroczystość wspaniała i rozrzewniająca. Tygodniem naprzód ściągali ludzie do Krakowa zdaleka i zbliska, tak że ludność miasta zdawała się podwojoną i potrojoną. Wysłano urzędników Wolnego Miasta, i paru starych żołnierzy, do Racławic, żeby ztamtąd przywieźli ziemię, którą chciano złożyć w samym środku mogiły. Ziemia ta miała być z tego samego miejsca, na którem stały rosyjskie armaty, kiedy je lud krakowski, z Bartłomiejem Głowackim na czele, kosami odebrał. Ale na tem miejscu właśnie, stanął od tego czasu piec garncarski. Biedny garncarz, kiedy się dowiedział o co chodzi, sam własnemi rękami zburzył piec, i ziemię z pod niego wydobył. (Rozumie się, że go potem wynagrodzono należycie, tak że szkody nie poniósł). Sprowadzono także ziemię z Maciejowic, z tego znowu miejsca, na którem padł Kościuszko ranny i z którego wzięty był do niewoli. Przywieziono ziemię i ze Szczekocin, i z Dubienki (na Wołyniu, gdzie Moskale byli pobici



SYPANIE MOGIŁY KOŚCIUSZKI.
(współczesny obraz M. Stachowicza).

w roku 1792). Wieziono te ziemie na wozach, kwiatami ubranych przez Kleparz, Rynek, Zwierzyniec, na górę św. Bronisławy, i włożono je, każdą w osobnem marmurowem naczyniu, w sam środek tego miejsca, na którem miała się wznosić mogiła. Złożono także spisany na pergaminie akt urzędowy, opisujący zasługi Kościuszki, i powody usypania tej mogiły. Potem Prezes Senatu pierwszy, a za nim kto tylko był obecny, zaczął sypać ziemię na mogiłę, łopatami, taczkami, nawet rękami. Działo się to 16go października roku 1820. Długo jeszcze mieszkańcy Krakowa wychodzili na ochotnika, i wozili ziemię, starcy, kobiety, nawet dzieci. Rozumie się, że największa część pracy dokonała się za zapłatą.



MOGIŁA (KOPIEC) KOŚCIUSZKI POD KRAKOWEM.

Tak stanęła nad Krakowem trzecia pamiątkowa mogiła, obok dwóch starych Krakusa i Wandy. A dziś te trzy mogiły tak należą do Krakowa, że bez nich wyobrazić go sobie nie można, a po nich można go poznać zdaleka, jak po osobnym znaku, i od każdego innego miasta odróżnić. To jego cecha, jego święta pamiątka, i jego chluba. Tamte dwie mogiły są przedwieczne, sięgają pogańskich czasów, ta trzecia jest nowa. Tamte dawnością swoją dowodzą, że się nie zapomina nic, co do dziejów narodu należy, a czci i kocha się wszystko, co w tych dziejach było szlachetne i chwalebne. Mogiła Kościuszki tak samo po wiekach przypominać będzie ostatnie walki Polski niepodległej; a kiedyś, w lepszych daj Boże czasach, patrząc na nią będą ludzie mówili, że musiał kochać swoją ojczyznę naród, co w upadku swoim taki wzniósł pomnik bohaterskiemu obrońcy tej ojczyzny[1]).

Na Litwie i Rusi od śmierci Katarzyny nie zaszło nic nowego złego. Syn Katarzyny Paweł, i wnuk Aleksander Pierwszy, nie prześladowali Polaków, a wiarę katolicką zostawiali w spokoju. Katarzyna zaraz dużo Unitów, katolików greckiego obrządku, nawróciła gwałtem na prawosławną schizmę. Ale ci dwaj cesarze tego nie robili, i kto z Rusinów katolikiem był, ten za ich panowania spokojnie katolikiem mógł zostać. Były też w tych krajach z pozwolenia cesarza Aleksandra, ale w wielkiej części z hojności

[1]) Ze składek na usypanie mogiły Kościuszki został fundusz, który służy na jej utrzymanie w dobrym stanie, na potrzebne naprawy, i na opłacanie dozorcy. Zostaje on pod dozorem Wydziału krajowego, a w zarządzie osobnego komitetu. Na czele tego komitetu stał naprzód jenerał Paszkowski, osobisty przyjaciel Kościuszki. Po jego śmierci hrabia Piotr Moszyński, który najpiękniejsze lata młodości i męzkiego wieku spędził na Sybirze, wywieziony, a dalsze życie w Krakowie w powszechnem uszanowaniu i przywiązaniu, umarł w roku 1879. Po nim znowu synowiec jenerała Paszkowskiego, Franciszek Paszkowski, właściciel Toń pod Krakowem i długoletni poseł sejmowy. Gdy ten umarł, zajmuje się głównie opieką nad mogiłą jego znowu synowiec, także Franciszek, poseł z mniejszej własności okręgu krakowskiego, jako sekretarz komitetu.

obywateli, doskonałe szkoły polskie. Urządził je, jak się już wspomniało, Tadeusz Czacki, a najwyższy dozór nad niemi miał książę Czartoryski. Z tych szkół najwyższy był Uniwersytet w Wilnie. Założył go jeszcze król Stefan Batory, i oddał Jezuitom, którzy też w nim aż do końca prawie osiemnastego wieku nauczali. Kiedy zakon Jezuitów zamknięto, podupadł Uniwersytet wileński; aż teraz ci znakomici ludzie staraniem swojem wyjednali fundusze, sprowadzili doskonałych profesorów, i w kilku latach Uniwersytet wileński nietylko się z upadku podźwignął, ale stał się niezwykle dobrym i po świecie głośnym. Ściągali się też do niego uczniowie bardzo licznie, a było między nimi wielu i zdolnych i szlachetnych. Uczyli się z zapałem, między sobą byli w wielkiej przyjaźni, ojczyznę kochali całem sercem. Wielu z nich miało też chęć do pisania, i próbowali się w wierszykach, które sobie wzajemnie pokazywali i czytywali. Był między nimi jeden, nazwiskiem Adam Mickiewicz [1]). Dopóki był studentem, zdawał się taki jak drudzy; nic nie okazywało szczególnej w nim zdolności. Skończył nauki, został nauczycielem przy gimnazyum w Kownie. Wtedy wydrukował dwa małe tomiki wierszy; a te wiersze były tak piękne, jak nigdy jeszcze, odkąd był polski język na świecie, równych w nim nie było. Ślicznie pisał przed wiekami Kochanowski, za króla Zygmunta Augusta i Stefana; Boga w wierszach swoich chwalił i prosił, ojczyznę swoją sławił a ziomków upominał i nauczał; za straconem dzieckiem rzewnie płakał; wieś swoją i spokojne ziemiańskie życie pięknie opiewał. Ale do tego młodego Mickiewicza nawet samemu Kochanowskiemu było daleko. Ten miał tyle w duszy gorącego uczucia, a w słowach tyle siły i tyle uroku, że miała już odtąd Polska kogo postawić obok największych poetów zagranicznych: niemieckich, francuskich czy angielskich. Zaczął Mickiewicz od tego, że się skarżył na swoją nieszczęśliwą miłość; panna, w której się kochał, wyszła za mąż za innego. Ale obok tego wyrażał w swoich wierszach różne inne uczucia; a zwłaszcza o uciskach i o nadziejach swojej ojczyzny mówił tak, jak żaden inny przed nim, ani żaden dotąd po nim. Czytywano go też z radością i z zapałem, a za jego przykładem zaczęło pisać wielu innych, nie tak jak on, ale bardzo pięknie. Tacy byli między wieloma innymi: Antoni Malczewski, Bohdan Zaleski, w kilka lat później młodsi (a po Mickiewiczu najwięksi), Zygmunt Krasiński i Juliusz Słowacki; potem jeszcze Wincenty Pol, i innych wielu. I to nazywamy zwykle *odrodzeniem poezyi polskiej*, która nigdy jeszcze nie stała tak świetnie jak w pierwszej połowie naszego dziewiętnastego wieku.

Pierwsze kilka lat od Kongresu wiedeńskiego przeszło nieźle; ale pomału i nieznacznie zaczął się stan rzeczy psuć. W całej Europie, we Francyi, we Włoszech, w Niemczech, w Hiszpanii, zaczęło się głuche wzburzenie umysłów, które niebawem tu i ówdzie objawiło się niepokojem i rozruchem. Powody tego wzburzenia i niepokoju były słuszne; ale złe były sposoby jakiemi się objawiał, i złe były skutki.

[1]) Portret na str. 89.

Kongres wiedeński oddał Austryi północne Włochy (Lombardyę i Wenecyę); południowe (Królestwo Neapolitańskie) dawnemu królowi z domu Burbonów; mniejsze księstwa różnym książętom z austryackiego lub burbońskiego domu. Część Saksonii i dwie prowincye niemieckie nad Renem oddał Prusom; dawne Księstwo Warszawskie Rosyi. Belgię, która przed rewolucyą francuską należała do Austryi, oddał graniczącej z nią Hollandyi. Myślał Kongres, że zaprowadził i zabezpieczył w Europie porządek, a on tymczasem zasiał ziarna ustawicznych zaburzeń i walk. Wszystkie kraje i narody, zagrabione i uciskane przez Napoleona, spodziewały się, że po jego upadku dostaną: jedne swój rząd własny, niepodległość, a drugie, że dostaną od swoich rządów obywatelskie wolności. Zawiodły się tymczasem wszystkie. Niemcy, którzy dzielnie i tłumnie bili się z Napoleonem, najezdcą swojej ziemi, spodziewali się, że ich królowie i książęta dadzą im za to konstytucyjne prawa i swobody, a po Kongresie ujrzeli się pod samowładnemi a często dokuczliwemi rządami, jak przedtem. Włosi zżymali się na panowanie austryackie na północy, a na szpiegostwa i prześladowania rządów (choć własnych) w Neapolu. Do Hiszpanii wrócili dawni królowie przez Napoleona wyrzuceni, ale zamiast postępować rozumnie a uczciwie, zaczęli oni także uciskać, prześladować, szpiegować. Francuzi znowu bali się, że z powrotem dawnego królewskiego domu wrócą dawne, przez rewolucyę zniesione prawa i przywileje; a rząd królewski, choć o tem nie myślał, tak był niezręczny, że pozorami te obawy usprawiedliwiał i wzmagał. Poczęło się więc wszędzie naraz wzburzenie, a w ślad za nim tajne znoszenia się i związki. Gdzieniegdzie wybuchły i otwarte rozruchy (we Włoszech, w Hiszpanii); w Niemczech zamordowano skrycie kilku urzędników, posądzonych o szpiegostwo, i znienawidzonych. Wszystko to zaniepokoiło monarchów i ich ministrów. Dwa razy zjeżdżali się oni na narady, w Weronie (we Włoszech), i w Lublanie (w Karyntyi); i uradzili, żeby przeciw takim związkom występować surowo i bezwzględnie. Cesarz Aleksander był jednym z tych, co zaniepokoili się najbardziej. Łatwo zgadnąć, jak to jego usposobienie posłużyło wybornie tym Rosyanom, co go chcieli zniechęcić do Polaków. Korzystali też ze sposobności skwapliwie i zręcznie.

Kiedy tajne związki zaczęły się szerzyć po wszystkich krajach, nic dziwnego, że znalazły się i u nas. Nigdzie byt niepodległy nie był tak świeżo w pamięci; nigdzie prawo do niego tak oczywiste. Skoro sam cesarz rosyjski przyznawał, że rozbiór Polski był zbrodnią, to tembardziej za zbrodnię musiał go uważać cały świat chrześcijański i cywilizowany. Oburzenie na tę zbrodnię musiało naturalnie największem być w Polsce. Dodajmy do tego, że tak niedawno, za Napoleona, Polacy spodziewali się na pewno odbudowania ojczyzny. Zawiedzeni w tej nadziei, musieli oni czuć żal niezmierny. Rozważniejsi, doświadczeni, umieli go w sobie stłumić. Zrozumieli, że kiedy się ma znośne warunki narodowego bytu, to trzeba je szanować; mocniejszego nie wyzywać ani nie obrażać; ojczyzny nie narażać na gorsze nieszczęścia. Ale młodsi, zapaleni, kiedy widzieli, że w jednym, w drugim, w trzecim kraju ludzie sprzysięgają się przeciw swoim rządom, powiedzieli sobie, że Polacy mają do tego więcej powodu i więcej prawa, i zaczęli

wiązać się w tajne stowarzyszenia i spiski. Pierwszy był bardzo nieliczny i trwał krótko: nazywał się *stowarzyszeniem kosynierów*. Ale choć tak słaby i nieznaczący, związek ten wystarczył na to, by podejrzliwego a chwiejnego Aleksandra zastraszyć. Pod wpływem swoich rosyjskich doradców, zaczął on coraz bardziej obawiać się Polaków, żałować tego co zrobił, a skłaniać się do surowego postępowania. Rosyanie utwierdzali go zręcznie i pilnie w tem usposobieniu. Wiedzieli dobrze, że każde nowe prześladowanie gorzej Polaków oburzy, i pobudzi ich do nowych spisków; a każdy nowy spisek odkryty, rozjątrzy znowu cesarza na Polaków. Zaczęły się więc coraz częstsze szpiegostwa, śledztwa, więzienia; a wskutku tego coraz większy gniew i żal w Warszawie, i w całym kraju. Wielki książę Konstanty samowolnie zamykał do więzienia wojskowych, których miał w podejrzeniu. Ustanowiono osobną komisyę, która miała śledzić prawdziwe, czy mniemane spiski, a co więcej ustanowiono wyjątkowe sądy, którym takie sprawy miały podlegać, co było już pogwałceniem konstytucyi i praw obowiązujących. Z uwięzionych i skazanych najgłośniejszym był pułkownik Łukasiński, którego



OSTRA BRAMA Z CUDOWNYM OBRAZEM N. MARYI PANNY W WILNIE.

tak gdzieś z Warszawy wywieźli, że dotąd nikt nie wie, co się z nim stało, gdzie był, kiedy i jakim sposobem umarł. Ale mimo wszystkich poszukiwań tajna policya ważnych spisków nie wykryła (bo jeszcze takich wtedy nie było); zaczęli tedy nieprzyjaciele wymyślać takie, których nie było, żeby i Polaków gnębić, i cesarza na nich podburzyć.

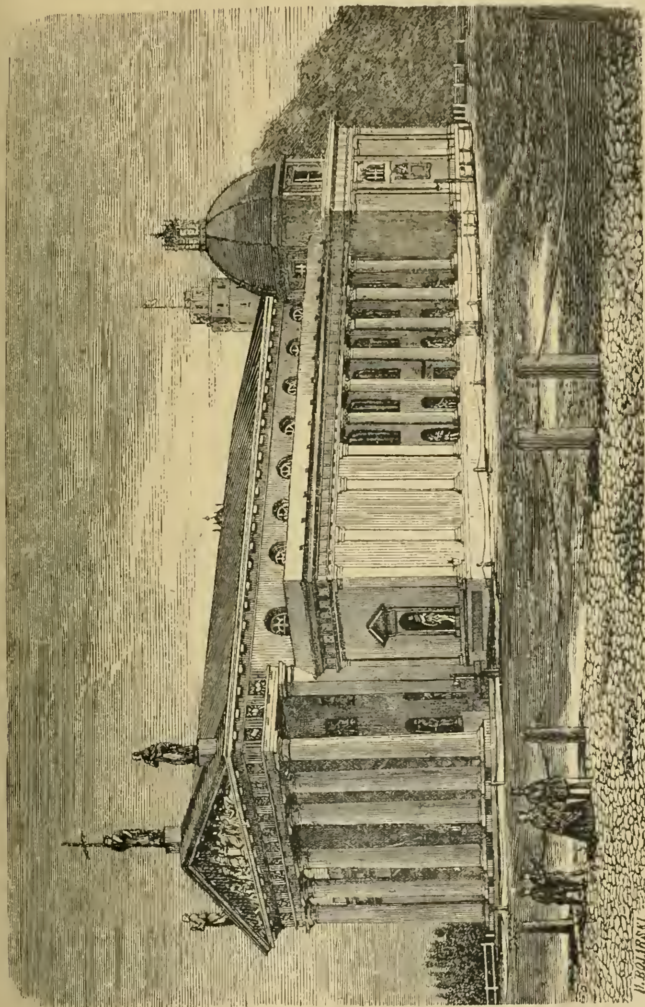
Uczniowie Uniwersytetu w Wilnie mieli między sobą *Towarzystwo Filaretów*. Nie było ono tajne; wiedziały o niem władze i uniwersyteckie i rządowe. Nie zajmowało się politycznemi sprawami, tylko nauką i pisaniem. Ale widząc, że rząd szpieguje i śledzi, Towarzystwo to rozwiązało się samo dobrowolnie, żeby przypadkiem nie posłużyło za pozór do prześladowań. Ale tak się właśnie stało. W dwa lata po rozwiązaniu tego towarzystwa, zjechał do Wilna Nowosilców z całą komisyą i zaczął śledztwo. Książę Czartoryski, póki był kuratorem Uniwersytetu, nie byłby nigdy na taką krzywdę pozwolił; więc naprzód postarano się o to, żeby go usunąć. Cesarza pomału usposobiono coraz gorzej dla dawnego przyjaciela. Książę widział, że traci nietylko wpływ, ale nawet zaufanie Aleksandra. Jego uwagi i prośby nie były już nigdy słuchane; rady jego nieprzyjaciół zawsze. Złożył więc swój urząd, a objął go po nim Nowosilców. Chodziło o to, żeby cesarza przekonać o niebezpiecznych spiskach polskich, więc niewinne studenckie stowarzyszenie wyśrubowano do wielkiego znaczenia. Uwięziono mnóstwo młodzieży w Wilnie i po mniejszych miastach. Przy śledztwie niektórzy byli bici tak, że z tego pomarli; jeden z rozpaczy rzucił się z okna i zabił. Wielu w kajdanach wywieziono gdzieś w głąb Rosyi, czy na Sybir. Wtedy wywieziony był i Mickiewicz, ale przynajmniej nie tak daleko, i nie tak srogo. Przeznaczono mu za miejsce pobytu naprzód Odessę (nad Morzem Czarnem), potem Moskwę, w końcu Petersburg; w tych wszystkich miastach był na wolnej stopie. Widywał kogo chciał i nowych utrapień nie doznawał. Wtedy to napisał swojego sławnego *Wallenroda*. Ale na Litwę nie wrócił już nigdy [1]).

Prześladowanie uczniów wileńskich, niesprawiedliwe a srogie, musiało naturalnie wywołać powszechne w Polsce oburzenie. Rosya sama robiła, jakżeby umyślnie, wszystko co mogła na to, by Polacy coraz goręcej pragnęli z pod niej się wyswobodzić. W takiem usposobieniu musieli oni coraz więcej lgnąć do tajnych spisków; widzieli w nich (mylnie) sposób i nadzieję wyzwolenia się.

Właśnie ofiarował Polakom swoją pomoc i przyjaźń tajny spisek zawiązany w Rosyi. Byli tam ludzie, którym despotyczny rząd carski był nieznośny: chcieli go zwalić. Związali się w sprzysiężenie, do którego należało wielu wojskowych, i chcieli zrobić rewolucyę, a zacząć ją od zabicia cesarza. Weszli w porozumienie z niektórymi Polakami. Ci odpowiedzieli, że na życie cesarza nie czyhają i zabijać go nie myślą; ale jeżeli w Rosyi stanie rząd nowy, który Polsce odda to co jej się należy, to z taką

[1]) Pod pozorem poratowania zdrowia dostał pozwolenie wyjazdu do Włoch, a kiedy ztamtąd miał wracać, przyszło powstanie roku 1830 i jego nieszczęśliwy koniec, i Mickiewicz wolał zostać za granicą, gdzie był już do śmierci.

Rosyą Polska będzie w zgodzie i przyjaźni. Spiskowcy rosyjscy obiecywali oddać ziemie polskie. Jak się gotowali do wykonania swoich zamiarów



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WILNIE.

u siebie w Rosyi, tego nie wiemy, bo robili to sami, bez Polaków. Spisek ich trwał dalej: a tymczasem nagle i niespodzianie umarł cesarz Aleksan-

der. Pojechał on do Krymu, na jakiś objazd czy przegląd wojsk, i tam, w mieście Taganrogu, umarł po kilku tylko godzinach choroby (w grudniu roku 1825). Że cesarze rosyjscy nigdy prawie nie umierają śmiercią naturalną, ale bywają sprzątnięci przez swoich poddanych, więc i nagłą śmierć Aleksandra przypisywano powszechnie otruciu. Dziś niema pewności, ale jest domysł, że otruto go dlatego, bo chciał przejść na wiarę katolicką. Aleksander był całe życie trapiony niepokojem sumienia z powodu śmierci ojca, choć jej nie nakazał. W tej zgryzocie szukał pociechy i uspokojenia w pobożności, ale w swojej wierze znaleść ich nie mógł. To naprowadziło go na myśl, że jego schyzmatycka wiara nie jest prawdziwą. W największej tajemnicy miał zażądać z Rzymu księdza katolickiego, któryby go objaśnił i nauczył, i istotnie przysłano (w tajemnicy i przebraniu) uczonego i świątobliwego jednego dominikanina. Ale w Rosyi i cesarz jest szpiegowany. Rzecz się wydała; a Aleksander zamiar swój przepłacił życiem.

W Polsce żałowano go szczerze. Naprzód dlatego, że istotnie wiele dobrego zrobił; powtóre z obawy, że ten, co po nim nastąpi, będzie gorszy. Powinien był nastąpić Konstanty, jako najstarszy po Aleksandrze syn Pawła: i jemu już wojsko w Rosyi zaczęło składać przysięgę. Ale Aleksander złożył był przed kilkoma laty w rosyjskiej Radzie Stanu zapieczętowany papier z rozkazem, żeby był otworzony po jego śmierci. Otworzono go teraz, i znaleziono akt urzędowy, którym Konstanty zrzekał się tronu, i drugi, przez Aleksandra podpisany, którym ten naznacza swoim następcą młodszego brata, Mikołaja.

Mówiliśmy już wyżej, że w Rosyi starano się dawno o to, by Konstantego od tronu usunąć: teraz pora powiedzieć, jak on się sam zrzekł i dlaczego. Były w Warszawie trzy panny Grudzińskie, bardzo ładne i miłe. Najmłodsza, Antonina, poszła za mąż za pułkownika (później jenerała Chłapowskiego). Średnia, Józefa, poszła za pułkownika Gutakowskiego. Najstarsza, Joanna, została w domu przy matce. Już ludzie myśleli, że ona męża nie znajdzie, kiedy naraz rozkochał się w niej szalenie wielki książę. Udał się do cesarza i do matki, żeby mu pozwolili się żenić. Odpowiedzieli, że zezwolić mogą, ale pod jednym warunkiem. Nie może być, żeby żoną rosyjskiego cesarza i matką przyszłych cesarzy była osoba z domu nie panującego, i katoliczka. Więc jeżeli wielki książę chce się żenić z panną Grudzińską, to niech się zrzecze swoich praw do tronu. Tak też zrobił. Wziął ślub (w roku 1819) i podpisał to zrzeczenie, o którem mówimy. Żona jego nosiła tytuł księżnej Łowickiej [1]). Była to osoba bardzo dobra, łagodna, pobożna; męża szczerze kochała i miała na niego wpływ szczęśliwy. Od swego ożenienia bowiem wielki książę stawał się coraz mniej gwałtownym i dzikim. Dzieci nie mieli nigdy.

Wstąpił więc na tron Mikołaj pierwszy.

---

[1] Księstwo Łowickie należało za polskich czasów do Prymasów (Arcybiskupów gnieźnieńskich). Aleksander darował je tej bratowej, która znowu testamentem zapisała je królowi polskiemu, ktokolwiek kiedy nim będzie.

Ów spisek rosyjski, o którym wspomnieliśmy wyżej, chciał skorzystać ze zmiany panującego, i nowego cesarza obalić, zanim on jeszcze objął rządy. Wybuchł też bunt istotnie w samym Petersburgu i to groźnie, bo między wojskiem. Parę pułków, których oficerowie byli w sprzysiężeniu, oświadczyło się przeciw Mikołajowi i stanęło pod bronią. Mikołaj w tym razie okazał dużo odwagi. Dowiedziawszy się o buncie, ukazał się niespodzianie sam przed tymi pułkami. Mógł zginąć! Ale liczył na urok, jaki tam wywiera cześć i osoba cara: i nie zawiódł się. Żołnierze, kiedy go ujrzeli, zmieszali się, zawołali niech żyje, i prosili o przebaczenie. Naczelnicy spisku zginęli na szubienicy; innych zasłano na całe życie do sybirskich kopalń.

Nieszczęściem w papierach tych spiskowców rosyjskich znalazły się ślady ich stosunków z Polakami. Stosunki te nie doprowadziły do żadnego stanowczego porozumienia, ani do skutku. Niemniej cesarz rozkazał wytoczyć przeciw nim śledztwo, i wyznaczył osobną do tego komisyę. Oskarżonych było ośmiu, a głównym między nimi był pułkownik Krzyżanowski. Komisya, po skończonem śledztwie, oskarżyła ich o *zbrodnię stanu* (tak nazywa się w kodeksach praw zdrada państwa, lub zamiar oderwania od niego jakiejś części). Że zaś podług konstytucyi ówczesnej polskiej, zbrodnie stanu podlegać miały nie sądom zwyczajnym, ale sądom sejmowym z senatorów złożonym, przeto zwołano ten sąd i Senat miał obwinionych sądzić.

Sędziowie byli w położeniu bardzo trudnem. Jeżeli obwinieni chcieli niepodległości Polski, to w tem przecie nie zbrodnią nie było. Cała opinia w Polsce była za nimi, i z wielkim niepokojem wyglądała uniewinniającego wyroku. Z drugiej strony cesarz nie taił się z tem, że wyrok sądowy będzie znakiem, czy Polacy chcą rzetelnie trzymać się tej konstytucyi Królestwa, która stanowiła, że ono ma być na zawsze połączone z Rosyą. W tej trudności sędziowie nie mogli zrobić nic lepszego, jak trzymać się uczynków, i według tych sądzić. Tak też zrobili. Jakie były uczynki oskarżonych? Porozumienia ze spiskowymi rosyjskimi, ale bez żadnego skutku, bez żadnego z ich strony zobowiązania. W petersburskim wojskowym buncie oni żadnego udziału nie mieli. Nie było więc tego, co prawo nazywa istotą czynu. Sąd zatem uwolnił oskarżonych od zarzutu zbrodni stanu. Ale, ponieważ były dowody, że wszyscy należeli do tajnego stowarzyszenia, zwanego patryotycznem, a tajne stowarzyszenia były prawem zakazane; że dalej niektórzy z nich byli wojskowymi, a przez to tembardziej do posłuszeństwa obowiązanymi, przeto sąd za ten uczynek skazał Krzyżanowskiego jako ich naczelnika na trzy lata więzienia, innych na więzienie krótsze.

Mikołaj, kiedy się o tym wyroku dowiedział, rzekł o senatorach sądzących, że zgubili swój kraj. To wskazywało, że przy pierwszej sposobności odbierze Polakom te wszystkie prawa, tę narodową odrębność, jaką mieli. Senatorom zakazał wyjeżdżać z Warszawy. Skazanych wywieziono do Petersburga, i tam trzymano w podziemnych kazamatach [1]).

[1]) Kazamaty te były blisko rzeki Newy, i były tak nisko położone, że więźniowie mieli na podłodze wodę po kostki.

Ten sąd sejmowy był wielkim krokiem do zerwania zgody między Polską a Rosyą. Mikołaja rozgniewał i utwierdził w nim tę myśl, że prędzej czy później trzeba będzie z tymi Polakami skończyć. Ciągle zaś szpiegowania i śledztwa, wreszcie bezprawne wywiezienie skazanych, oburzały znowu coraz więcej Polaków. Nie ustały też spiski, ale owszem po sądzie sejmowym krzewiły się bardziej niż przedtem, aż wreszcie doprowadziły do wybuchu i do nieszczęścia.

A teraz zapytajmy, czy ci spiskowi byli winni albo nie? W tem, że chcieli Polski, nie było winy, był owszem dobry zamiar; a oni sami byli ludzie wielkiego poświęcenia i wielkiej odwagi. Ale czy w ich postępku nie było winy względem Polski, to inne pytanie. Nie godzi się dobremu synowi ojczyzny narażać jej na klęski i niebezpieczeństwa: nie godzi się przygotowywać powstania i wojny, jeżeli się nie ma lepszych a przynajmniej takich warunków zwycięstwa jak nieprzyjaciel. Polska, choć miała swoje wojsko, i dobre, była od Rosyi oczywiście słabsza. Nie doświadczała też takiego ucisku, któregoby znieść nie była mogła. W takim stanie rzeczy powinna była zachować się spokojnie, wzmacniać się, i czekać. Ludzie, którzy w takich stosunkach biorą losy ojczyzny na swoją odpowiedzialność, i mówią: „oto my zrobimy powstanie" — ważą się na bardzo wiele, i swoje sumienie obciążają bardzo. Udać im się nie może, chyba, że nieprzyjaciel jest jaką zewnętrzną wojną zajęty, albo wewnętrznemi zaburzeniami osłabiony. A jeżeli się nie uda, to po przegranej następują klęski, zemsty i prawie zagłada narodu. Tak się stało u nas w roku 1831, i tak później w 1863. Dlatego ci, którzy w kilku lub kilkunastu zaczynają spisek, wciągają do niego coraz większą liczbę ludzi, obowiązują ich przysięgą do posłuszeństwa, a wreszcie dają hasło do powstania, choć mają zwykle poświęcenie i męstwo wielkie, choć mają wielką miłość ojczyzny: służą tej ojczyźnie źle, bo z ich zamiarów i działań ona odnosi klęski, nie pożytki. Dlatego i ci, co zawiązywali spiski w Królestwie Kongresowem, nie byli winni zdrady stanu względem Rosyi, ale byli winni względem Polski, że ją nierozważnie na nieszczęście narażali.

W roku 1829 przyjechał Mikołaj z żoną i z synem do Warszawy, żeby się koronować na króla polskiego. Cesarz miał wrodzoną nienawiść do Polaków, choć ją ukrywał: u nas znowu coraz bardziej, coraz goręcej szerzyła się nienawiść do Rosyi, a między młodszymi i zapaleńszymi myśl o powstaniu. Byli nawet tacy, co chcieli skorzystać z tego pobytu Mikołaja w Warszawie, żeby go wraz z jego braćmi zabić. Zamiar ten był naprzód niemądry, bo za zabójstwo cesarza cała Rosya byłaby chciała zemścić się na Polsce, a była od niej mocniejsza. Powtóre zamiar był nieszlachetny i brzydki. Mikołaj przyjechał do Warszawy bez swoich wojsk, bez swoich straży, bezpieczny, że mu się tam nic złego nie stanie. Wtedy go zabić, byłoby czynem niegodnym uczciwego, honorowego narodu. Szczęściem, tych co to zrobić chcieli, było niewielu, a starsi i rozważniejsi, głównie Niemcewicz, wytłómaczyli im, że nie byłoby to ani dobrze, ani rozumnie.

Cesarz Mikołaj był zupełnie inny jak jego brat, zmarły Aleksander. Tamten był z natury łagodny, a wahający i chwiejny: ten zawsze pewny

siebie, twardy i srogi. Tamten chciał i lubił podobać się ludziom: z przyjemnością i sztuką ujmował ich miłem obejściem i pięknemi słowami: ten hardy i sztywny podobać się ludziom byłby miał za ujmę swojej godności, chciał tylko, żeby go się bali i słuchali. Swoją rosyjską i cesarską pychę mieli oba równą; ale u Aleksandra była ona ukryta i przebiegła, u Mikołaja otwarta i gwałtowna. Z praw innych (narodów czy ludzi) obadwaj nie robili sobie nic, a oba tak samo myśleli, że Rosya ma prawo do wszystkiego co chce, lub co może. Ale Aleksander rozumiał, że drudzy jakieś prawa mieć mogą, i dbał o to bardzo, by o nim myślano, że je szanuje. Mikołaj miał się śmiało za pierwszego na świecie, i nie pojmował jak ktokolwiek mógłby jemu i Rosyi tego pierwszeństwa nie przyznawać. Aleksander nie był w swoich uczuciach ani rzetelny ani stały, ale rozczulał się chętnie, był więcej tkliwy niż dobry. Mikołaj był twardy dla wszystkich, dobre serce miał tylko dla swoich dzieci. Względem Polaków Aleksander miał popędy dobrego serca, ale nie stałe: zapędzał się, a potem wahał się i cofał. Mikołaj nie wahał się nigdy. Wiedział doskonale, że nienawidzi Polaków i konstytucyi Królestwa. Powiedział sobie z góry, że sam nie zacznie, ale jeżeli go Polacy zaczepią, zgniecie ich bez wahania i bez miłosierdzia.

Sposobność nadarzyła mu się rychło.

Mówiliśmy, że po sądzie sejmowym tajne spiski nie ustały; owszem nabrały ufności w siebie. Kiedy Mikołaj w maju roku 1830 przyjechał na sejm do Warszawy, przestrzegła go tajna policya, że nowy spisek jest i przygotowuje zbrojne powstanie. Cesarz nie wierzył, albo może udawał że nie wierzy; Wielki Książę zaprzeczał stanowczo i szczerze. Była to jednak prawda. Zawiązał on się głównie między wojskowymi, w szkole Podchorążych. Różnił się zaś od poprzednich tem, że tamte miały za cel powstanie, ale nie oznaczały czasu, kiedy to powstanie miało wybuchnąć; ten zaś gotował się do rychłego wybuchu i obmyślał już sposoby, jak się to miało wykonać.

Dodały mu odwagi, a może i przyśpieszyły wybuch, dwa wypadki zagraniczne. Jednem było powstanie w Belgii. Kraj ten, przez Kongres wiedeński oddany królowi holenderskiemu, a przez niego ciemiężony, chwycił za broń teraz w roku 1830, i wybił się na wolność. Jeżeli się udało małej Belgii, to dlaczegóż wielka Polska miałaby być od niej gorszą? Tylko była ta różnica, że Holandya była także mała i słaba, a Rosya wielka i mocna. A prócz tego Francya, sąsiadka Belgów, rada była ich niepodległości a osłabieniu Holendrów, i byłaby wydała wojnę każdemu, ktoby był chciał Holendrom pomagać. Na wojnę nikt narazić się nie chciał, więc Belgowie z Hollandyą samą mogli sobie dać radę. Największą zaś twierdzę w ich kraju, Antwerpię, i tak odebrało dla nich w parę lat później wojsko francuskie.

To był jeden wypadek. Drugi był ten, że w Paryżu znowu wybuchła rewolucya. Wypędziła z kraju króla Karola Dziesiątego, a powołała na tron jego krewnego, księcia Orleańskiego, który zaczął panować jako król Ludwik Filip. Nas Polaków te sprawy nie powinny były nic obchodzić,

ale wielu naszym zdawało się, że kiedy we Francyi będzie rząd nowy i więcej wolności, to tem samem słabsze będą wszystkie istniejące rządy w Europie. Mikołaj, który się uważał za stróża tego porządku rzeczy, jakie zaprowadził Kongres wiedeński, nie chciał uznawać nowego króla francuskiego, a nawet groził, że pójdzie z wojskiem przywracać dawnego. Naszym polskim spiskowym zdawało się, że ten nowy rząd francuski, przez Rosyę nie uznany, będzie chciał i będzie musiał im pomódz, jeżeli przeciw niej powstaną. Zdawało się też niektórym, że powstając w tej właśnie chwili będą bronili nietylko swojej wolności, ale wolności Francyi i wszystkich ludów w Europie. Nie dlatego chwycili oni za broń; mieli do tego ważniejsze i swoje własne powody. Ale te wypadki we Francyi utwierdziły ich w zamiarze i przyczyniły się po części do jego prędkiego wykonania.

Dość, że 29 listopada roku 1830 wybuchło powstanie w Warszawie. I na tem skończyło się konstytucyjne Królestwo Polskie, utworzone na Kongresie wiedeńskim w roku 1815.



V.

## Powstanie roku 1830.

Przychodzimy w naszem opowiadaniu do bardzo ważnego w dziejach naszych wypadku. Powstanie roku 1830 było jedyną wojną, jaką Polska po rozbiorach własnemi siłami w sprawie swojej podniosła i prowadziła. Za Napoleona wojsko polskie pomagało tylko francuskiemu. Powstania późniejsze po roku 1830 były to ruchawki bez regularnego żołnierza; było w nich męstwo i poświęcenie, ale nie było wielkich bitew, ani też nadziei zwycięstwa. W roku 1830 biło się wojsko prawdziwe, a biło się tak doskonale, że choć nieprzyjaciel miał siły nierównie większe, zwyciężyło go nieraz. Ostateczny koniec był zły, i skutki przegranej były złe. Dlatego pamięć tej wojny jest smutna. Ale choć smutna, pamięć jej jest chlubna dlatego, że sprawa była dobra, a odwaga i dzielność wojska prawdziwie bohaterska.

Widzieliśmy jak od rozbiorów Polska myślała zawsze o odzyskaniu swojej niepodległości; widzieliśmy jak za Napoleona była jej bliską; jak potem, przyłączona do Rosyi, miała to sobie za krzywdę. Gwałtowność wielkiego księcia Konstantego, nadużycia i ukryte starania rosyjskich urzędników, jątrzyły ciągle to uczucie krzywdy. Z tego wynikły te tajne porozumiewania się i sprzysiężenia, o których mowa była w rozdziale poprzednim. Po za naszym krajem, zdarzały się w Europie wypadki, które ożywiały w nas i to uczucie pokrzywdzenia i nadzieję, że się wybić zdołamy. Grecy, od czterechset lat ujarzmieni przez Turków, powstali przeciw nim. Sprzyjała temu powstaniu cała Europa, pomogły mu nawet wielkie mocarstwa swoimi okrętami (Anglia), i Turcya musiała oddać ten kraj,

który dziś jest niepodległem Królestwem Greckiem. Świeżo, w tym samym roku 1830 powstała mała Belgia przeciw Hollandyi, do której ją kongres wiedeński przyłączył, i znowu wybiła się na niepodległość. Przykłady te musiały silnie działać na Polaków. Przecież pamięć ich niepodległości była tak świeża: jeżeli o Grekach świat nie zapomniał, to o nich powinien lepiej wiedzieć i pamiętać; a jeżeli tamtym pomógł; to Polacy mają niemniej praw do takiej życzliwości. Jeżeli mała Belgia mogła powstać i zwyciężyć, to czemużby wielka Polska nie mogła tego dokazać? Rachuby te były mylne. My mieliśmy do czynienia z Rosyą, taką wielką i silną, że jej się wszyscy bali; nikt nie śmiał jej zaczepić, nawet jej się sprzeciwić. Dlatego choć wszyscy naszą dobrą sprawę widzieli i uznawali, nie ujął się za nią nikt. Ale tego nie rozumieli ci, co u nas przygotowali powstanie: myśleli, że te państwa, które się oświadczyły za Grekami albo za Belgami, przez samą sprawiedliwość, przez sam honor, będą musiały oświadczyć się za Polakami.

Te więc przykłady niepodległości odzyskanej podnosiły nasze nadzieje. Zachęcał też do powstania widok tego, co się działo w innych krajach. Włosi ustawicznie zawiązywali spiski przeciw swoim panującym. We Francyi, w lipcu roku 1830, jak wyżej powiedziano, wybuchła rewolucya w Paryżu. Zdawało się u nas w Polsce, że ten nowy rząd i nowy król lepiej od dawnego sprzyjać będzie sprawie narodów uciśnionych przeciw rządom nieprawym. Młodzi ludzie (głównie wojskowi), którzy u nas powstanie gotowali, liczyli na to, że z wojskiem rosyjskiem stojącem w naszych krajach dadzą sobie radę; a nim nowe wojska z głębi Rosyi nadciągną, to już i sprawa będzie w znacznej części wygrana, i obce państwa będą musiały za nami się oświadczyć.

Rzecz trzymana była w największej tajemnicy. Nietylko Rosyanie nie domyślali się niczego, ale z Polaków mało kto wiedział, że zanosi się na bliski wybuch. Niektórzy wojskowi rosyjscy miarkowali coś i przestrzegali Wielkiego Księcia, ale ten nie wierzył, i wyłajał ich tylko, że siebie i jego niepotrzebnie straszą. Wybuch powstania naznaczony był na wieczór 29-go listopada. Ułożono taki plan, że jedna część sprzysiężonych uda się do Belwederu (pałacu, w którym mieszkał Wielki Książę) i weźmie Księcia do niewoli. Druga część miała wyprowadzić żołnierzy z koszar, pójść z nimi na koszary, w których stało wojsko rosyjskie, napaść je z nienacka, rozbroić i wziąć do niewoli. Trzecia część miała opanować arsenał, rozdać broń między lud warszawski, i powołać go do broni. Wszystkie te trzy działania miały być wykonane równocześnie. Hasłem zaś miało być podpalenie starego browaru na Solcu (jednem z przedmieść warszawskich). Skoro zobaczą łunę, wszyscy mają iść na swoje miejsca, i robić co im kazano.

Wykonanie się nie udało. Browar podpalono zawcześnie, kiedy ledwo był zmierzch i łuna zdaleka widoczną być nie mogła, a do tego zapalił się źle, dymił i tlił, a wielkiego ognia nie wydał. Nie dostrzegli też umówionego hasła ci, co mieli uderzyć na koszary rosyjskie; czekali, a z tego wynikło, że gdy się później rozruch w mieście zrobił, już to wojsko rosyjskie było pod bronią i wziąć się nie dało.

Ci, którzy mieli iść na Belweder, na Wielkiego Księcia, zobaczyli hasło i poszli. Było ich razem ośmnastu. Połowa zachodziła pałac z tyłu, od ogrodu, druga z frontu, od zajazdu. Wartę pchnęli bagnetem, wyłamali drzwi, wpadli z krzykiem do środka pałacu, szukając Wielkiego Księcia. Nie znaleźli go. W przestrachu schronił się do pokoju żony, i ta ukryła go między swojemi służebnemi kobietami. Na odgłos strzałów zaczęły też spiesznie nadciągać bliższe oddziały rosyjskich żołnierzy, i spiskowi musieli wrócić z Belwederu bez tego jeńca, którego ująć chcieli.

W tym samym czasie, ze szkoły Podchorążych w pobliżu belwederskiego pałacu, wyszli uczniowie prowadzeni przez oficerów, i z bagnetem w ręku poszli na koszary jazdy rosyjskiej. Zastali już tych ułanów na koniach. Uderzyli na nich, rozprószyli; ale ułani choć w nieładzie dopadli do Belwederu, do swego wodza Wielkiego Księcia. Podchorążowie udali się do miasta — (Belweder bowiem leży na samym końcu Warszawy, oddzielony od niej długą przestrzenią spacerów, zwanych alejami).

W mieście tymczasem nie udał się zamierzony zamach na koszary rosyjskiej piechoty, bo ta wcześnie jakoś ostrzeżona wyszła w porządku i udała się do Wielkiego Księcia: lepiej za to powiódł się atak na arsenał. Piechota rosyjska szła na jego obronę, ale jedna kompania czwartego pułku piechoty polskiej — (był to pułk wyborowy, miał sławę najlepszego w całem wojsku) — odparła cały pułk rosyjski.

Wojska rosyjskie ściągały się do Belwederu, do Wielkiego Księcia: miasto było prawie całe w rękach Polaków. Ale co będzie, jak się skończy noc a przyjdzie brzask dzienny? Czy Wielki Książę ze swojem wojskiem nie uderzy na wojsko polskie? Zdawało się, że z rankiem rozpocznie się bitwa na ulicach Warszawy.

Tymczasem stało się inaczej. Wielki książę, czy tak stracił głowę i przytomność, czy myślał, że nie ma dość siły, zgromadził koło siebie, co było wojska rosyjskiego, i z niem stanął za rogatkami. Warszawa była wolną, oswobodzoną. Ale co dalej? Kto ma tę sprawę dalej prowadzić? Kto dowodzić wojskiem? Młodzi ludzie, którzy powstanie sprawili, nie byli znani, nie mieli ufności ani wpływu, rządzić nie mogli. Tem bardziej nie byliby umieli prowadzić wojny. To też był ich największy błąd, że podnieśli sprawę, której sami podołać nie mogli, ster jej musieli oddać innym. Ci inni zaś, zaskoczeni niespodziewanym wypadkiem, w jego dobry skutek nie wierzący lub mało wierzący, brali się do rzeczy szczerze, uczciwie, ale miękko. W pierwszej chwili wzięło na siebie ten obowiązek kilku ludzi: książę Adam Czartoryski, stary Niemcewicz, książę Lubecki minister skarbu, jenerał Pac, jenerał książę Michał Radziwiłł. Mieli oni na razie i porządek publiczny w mieście utrzymać, i od szturmu żołnierzy rosyjskich je ochronić.

Dowództwo nad wojskiem objął jenerał Chłopicki, najtęższy niezawodnie z naszych ówczesnych wojskowych, ten, którego wszyscy pragnęli. Ale on obejmował to dowództwo niechętnie i prawie zmuszony, bo w dobry skutek tych wypadków nie wierzył. Zobaczymy później, jakie z tego wynikło złe.

Ludność miasta, wojsko, były w uniesieniu radości; nie widziały znienawidzonych Moskali. Ale ta radość była bardzo niepewną. Cesarz Mikołaj nie przepuści płazem tego, co stało się tej nocy: a czy zwyciężyć go zdołamy? Skutek wojny zawsze niepewny: cóż dopiero z nieprzyjacielem tak potężnym? Z tej obawy wyszła myśl, żeby wojny (jeżeli się tylko da) uniknąć. Udali się zatem członkowie tego tymczasowego rządu do Wielkiego Księcia i oświadczyli, że jeżeli cesarz wycofa z Polski wszystkie wojska rosyjskie, jeżeli przyłączy do Królestwa wszystkie dawniej zabrane kraje polskie (to jest Litwę i Ruś), to rozpoczęty ruch dalej nie pójdzie i Polska pod panowaniem Mikołaja zostanie. Wielki Książę Konstanty sam przyznawał słuszność tych żądań, ale oświadczył, że nie może ręczyć, czy cesarz zechce je przyjąć. Skończyło się na tem, że on jako wódz naczelny uwolnił wojsko polskie od przysięgi: w zamian żądał, żeby wojsk rosyjskich, cofających się pod jego dowództwem, nie zaczepiano; i to mu przyrzeczono. Potem ze swojem wojskiem odszedł od Warszawy i puścił się w pochód ku Rosyi. Królestwo Polskie zostało samo, bez Moskali.


Chłopicki.

Do Warszawy zaczęły teraz ściągać oddziały wojsk polskich z różnych stron kraju; rząd tymczasowy przybrał sobie kilku nowych członków (między tymi bardzo popularnego profesora Lelewela). Rzeczy tak stanęły, że należało prędko, raźnie i wszelkiemi siłami gotować się do wojny, która już teraz była nieuniknioną. Wszystko patrzyło tylko na Chłopickiego. On miał tę wojnę prowadzić! On jeden poprowadzi dobrze, i może szczęśliwie.

On, kiedy go proszono, kiedy mu władzę nad wojskiem dawano, odpowiedział, że władzę przyjmie, ale nie nad wojskiem tylko: nad wszystkiem, nad wojskiem i nad krajem, władzę nieograniczoną, najwyższą, jedyną, czyli dyktaturę [1]).

Chłopicki miał słuszność. W okolicznościach, tak trudnych jak nasze były podówczas, powodzenie zawisło w wielkiej mierze od tego, żeby jeden o wszystkiem stanowił i rozkazywał, a inni żeby go ślepo słuchali. Rozumieli też to wszyscy, i na żądanie Chłopickiego zgodzili się odrazu; dali

[1]) W starym Rzymie, w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, zawieszano wszystkie urzędy wojskowe i cywilne, a całą władzę powierzano jednemu, którego nazywano Dyktatorem.

mu tę dyktaturę. Na nieszczęście on, choć doskonały żołnierz, nie był dość tęgim człowiekiem na to, by taką władzę sprawować.

Jeżeli jego dyktatura miała się udać, to powinien był sam całą władzę dzierżyć, sam rozkazywać. On zatrzymał obok siebie Rząd tymczasowy. To jeszcze nic złego, bo ludzie, którzy ten rząd składali, mogli tylko jego rozkazy wykonywać i pomagać mu, a nie zawadzać. Gorsze było to, że polecił zwołać Sejm. W takich wojennych czasach cała sztuka i mądrość w tem, żeby dużo robić i bić, a nie gadać nic. Sejm zaś każdy musi gadać i radzić, bo od tego jest; radzi, roztrząsa, nieraz się i spiera, z urzędu o wszystkiem chce wiedzieć i we wszystko się mieszać: a skutek z tego ten, że czasu traci się wiele, że wszyscy wiedzą i gadają o tem, co powinno być tajemnicą dla wszystkich prócz dowódców wojska; że ci radzący posłowie nieraz zawadzają tym, co rządzić i wojować mają.

Tak stało się i u nas z tym Sejmem podczas wojny.

To był jeden błąd Chłopickiego. A drugi był gorszy. Można było powstania nie podnosić, na wojnę z Rosyą się nie narażać; ale kiedy to się już stało, to należało czemprędzej z czasu korzystać, i zanim jeszcze Mikołaj miał czas nasłać wielkie wojska na Polskę, napadać na rosyjskie oddziały, iść naprzód, dotrzeć do Litwy, do Wołynia, i tam powstanie rozszerzyć. W pierwszych czasach, kiedy i rząd i wojska rosyjskie były w popłochu, pośpiech taki mógłby im bardzo zaszkodzić, a nam bardzo dopomódz. Oczywiście nie dało się to zrobić z dnia na dzień. Trzeba było wojsko polskie z różnych stron ściągnąć, nowych ochotników uzbroić i trochę wyćwiczyć, składy broni i żywności opatrzyć: ale przy takim zapale, jaki wtedy był, kilka tygodni byłoby na to wystarczyło, a po pierwszych przygotowaniach można było iść naprzód. Tego Chłopicki nie zrobił. Nie wierzył, żeby wojna mogła udać się szczęśliwie, i o tem tylko myślał, żeby na nieprzyjaciela w okolicach Warszawy czekać, tu go raz dobrze pobić, a potem zaraz układać się o pokój. Powiększał więc wojsko i ćwiczył je, ale stał na miejscu. Układów pokojowych tak pragnął, że upoważnił poufnie księcia Lubeckiego, iżby pojechał do Petersburga, i tam cesarzowi postawił te same warunki zgody, które zaraz po wybuchu powstania podawano Wielkiemu Księciu w Warszawie. Mikołaj warunki odrzucił; żądał, żeby Polacy zdali mu się na łaskę lub niełaskę. Skutku więc z tych prób i starań nie było żadnego, a była strata czasu, z której nieprzyjaciel tylko skorzystał, bo wojska zbierał i ku polskim granicom je posuwał.

Rozumiano to u nas, że się marnuje czas do działania sposobny; wiara w Chłopickiego zaczęła słabnąć. Zdarzały się też w skutku tego i powtarzały się nieporozumienia pomiędzy nim a członkami Rządu, albo pomiędzy nim a Sejmem. On, gwałtowny bardzo i w swojem zdaniu uparty, uwagi przyjmował z gniewem; wymagał zupełnego posłuszeństwa, a nie rozkazywał nic. Z tych nieporozumień wynikło, że Chłopicki po miesiącu złożył tę dyktatorską władzę, której naprawdę na nic nie użył. Władza najwyższa powróciła do tego samego Rządu, który był przed dyktaturą, tylko pod odpowiedzialnością Sejmowi. Naczelne dowództwo nad wojskiem oddano Michałowi Radziwiłłowi. Ten, dobry jako podwładny jenerał, na wodza na-

czelnego zdolności nie miał. Sam to czuł, i miejsce to przyjął z obowiązku tylko, dlatego, że innego lepszego jenerała na razie nie było. Chłopicki przyrzekł pomagać mu i radzić.

Sejm tymczasem uroczystą uchwałą ogłosił, że cesarz rosyjski Mikołaj i cały dom jego odpadł od korony polskiej, i że Polska od Rosyi się odrywa i wraca do dawnej niepodległości. Uchwalić to i ogłosić było łatwo, ale wykonać było trudno. Słowa nie kule, Izby sejmowe nie pola bitew, a uchwały nie zwycięstwa. Można było z tą uchwałą się nie spieszyć, odłożyć ją na później. Powzięta i ogłoszona po zwycięstwie byłaby miała taką moc, że cały świat i Rosya sama byłaby musiała ją uznać. Ogłoszona przed zwycięstwem była tylko marnem słowem bez skutku.

Działania wojenne rozpoczęły się dopiero w miesiącu lutym.



JENERAŁ DWERNICKI.

Wojska polskie nie ruszały się z pod Warszawy: rosyjskie przez ten sam czas zbliżały się ku niej coraz bardziej. Pierwsze starcie zdarzyło się dnia 14-go lutego, pomiędzy jedną dywizyą polską, prowadzoną przez jenerała Dwernickiego, a całym korpusem rosyjskim pod dowództwem jenerała Geismara, pod Stoczkiem.

„Grzmią pod Stoczkiem armaty“ — do dziś dnia została w pamięci naszej ta piosnka, która opowiada, jak Kraknsy — (bez rozkazu jenerała) — porwali się jak wściekli, wpadli na rosyjskie armaty, bateryę zdobyli, i rozstrzygnęli zwycięstwo. Ten pierwszy bój był świetny. Wziętych jeńców, zdobyte rosyjskie działa i sztandary odesłano do Warszawy. Dziś i wyobrazić sobie trudno, z jakiem uniesieniem szczęścia widziała ludność stolicy te zdobycze! Zapał rósł; ochotnicy płynęli ze wszystkich części Polski i formowali nowe pułki — (przybywało ich wielu z Galicyi a między tymi wielu z wiejskiego ludu). Niewiasty urządzały szpitale w wielu publicznych gmachach i prywatnych domach Warszawy i służyły rannym. Nadzieja się wzmagała; z nią ochota do wojny. Kiedyśmy ich raz pobili, to pobijemy i więcej! Istotnie, we trzy dni później, 17-go lutego, Skrzynecki stoczył bitwę pod Dobrem z całym korpusem jenerała Rosena. i wstrzymał go w jego pochodzie na Warszawę. 19-go lutego, pod Nową Wsią, znowu Dwernicki napadł na jenerała Kreutza, zabrał mu trzy działa i dwieście ludzi niewolnika. Nie były to wielkie, stanowcze bitwy, ale były bardzo pomyślne, chlubne początki wojny.

Tymczasem zbliżała się i ta stanowcza bitwa. Jenerał Dybicz, najsławniejszy z rosyjskich wodzów, niedawno zwycięzca Turków, posuwał się ku Warszawie na czele stutysięcznej armii.

Naprzeciw niego wyszło wojsko polskie w sile 46 tysięcy ludzi. Stały te dwie armie na prawym brzegu Wisły, niedaleko od Warszawy, pod wsią

Grochowem. Tu zaszła bitwa, na wieki pamiętna, bo choć nie skończyła się stanowczem zwycięstwem, to okryła żołnierza chwałą niezrównanego męstwa, a nieprzyjacielowi takie przyniosła straty, że los wojny mógł był po niej obrócić się szczęśliwie dla naszej sprawy.

25-go lutego, o ósmej zrana, zaczął się wielki bój. Działa polskie dały ognia do korpusu rosyjskiego jenerała Szachowskiego. Na ten znak, drugi, piąty i szósty pułk piechoty polskiej uderza na Szachowskiego, który swoich nie miał jeszcze czasu uszykować do boju. Broni się dzielnie, rzuca swoją jazdę na naszą piechotę; ale napróżno. Wkrótce cały korpus w rozsypce cofa się w lasy, albo grzęźnie w bagnach i idzie w niewolę.


Jan Skrzynecki.

Gdy się to działo na naszem lewem skrzydle, ogromne siły nieprzyjacielskie pod dowództwem Rosena gromadziły się naprzeciw naszego środka. Chodziło im o zdobycie niewielkiego olszowego lasku na wzgórzu, który dlatego był miejscem najważniejszem, że w nim schodziły się trzy gościńce. Ktoby ten punkt trzymał w ręku, mógłby nie dopuścić do złączenia się oddziałów nieprzyjaciela. Na tę Olszynkę tedy skierował Rosen cały ogień swojej artyleryi, i puścił na nią trzy dywizye wojska. Dwa pułki polskie, trzeci i siódmy, odpierają ten nawał po bohatersku, ale nieprzyjacielowi przybywają coraz nowe posiłki; przemódz ich nie sposób, zdaje się, że te dwa pułki legną, i bitwa będzie przegraną.

W głównym sztabie polskim, wódz naczelny Radziwiłł nie wie co począć. Ale jest przy nim na szczęście Chłopicki. Jak przyrzekł go wspierać, tak dotrzymał. Bez munduru nawet, w surducie i w kapeluszu, siada na konia i prowadzi bitwę zamiast naczelnego wodza. Jenerałowi Żymirskiemu posyła rozkaz, żeby ze swoją dywizyą szedł na Olszynkę, choćby miała cała paść co do nogi. Żymirski idzie, sam pada śmiertelnie ranny, Olszynki nie zajmuje. Wtedy Chłopicki wysyła na pomoc Skrzyneckiego. Pułk czwarty (pod dowództwem Bogusławskiego) i ósmy, ze Skrzyneckim na czele, mają uderzyć na Olszynkę. Działa rosyjskie walą ze wzgórzy, piechota przyjmuje naszych ogniem rotowym — oni nie odpowiadają nawet, nie strzelają, tylko z najeżonemi bagnetami idą naprzód. Nieprzyjaciel nie może wytrzymać natarcia, cofa się, Olszynka znowu wzięta.

Wtedy Dybicz, wódz naczelny rosyjski, nakazuje nowy atak. Artylerya jego praży baterye polskie i zmusza je do milczenia, a pod jej zasłoną w trzech kolumnach posuwa się piechota. Ale ta spotyka się z dwoma ko-

lumnami polskiemi — jedną dowodzi Skrzynecki, drugą sam Chłopicki. Odpór był tak silny, po odporze pościg tak szybki, że cała rosyjska piechota w puch rozbita uciekała co sił, i ledwo za linią obronną swoich armat dała się oficerom zatrzymać. Gdyby teraz pogoń, wojsko rosyjskie byłoby zniszczone do szczętu. Ale piechota, zbyt wysilona tem, co już dokazała, gonić nieprzyjaciela nie mogła. Jazdy nie przyprowadził jenerał Lubieński, tłómacząc się, że Radziwiłł nie dał mu tego rozkazu, a Chłopicki nie jest wodzem naczelnym. Nieprzyjaciel w skutku tego zdołał uszykować się na nowo. Idzie do ataku na Olszynkę po raz czwarty. W tej stanowczej chwili pękający granat rani Chłopickiego w obie nogi. Nieprzytomnego odnoszą go żołnierze po za ogień bojowy: wojsko zostaje bez komendy! To nieszczęście sprawiło, że bitwa nie była wygraną. Nieprzyjaciel nabrał ducha, i puścił swoją jazdę w nadziei, że nią wojsko polskie rozbije. Pomylił się! Wojsko nietylko wytrzymało wściekły napad konnicy, ale pułk jej jeden, wyborowy pułk kirasyerów, zwany *Niezwyciężonym*, zniosło tak, że go wcale nie było. Kto nie padł, ten się dostał do niewoli. Ale ta klęska kirasyerów nie mogła już bitwy na naszą korzyść rozstrzygnąć. Nieprzyjaciel się cofnął, ale w porządku. Nasze wojsko także zbliżyło ku Wiśle i Pradze. My mieliśmy straty w zabitych i rannych przeszło pięć tysięcy: nieprzyjaciel sam przyznawał, że stracił czternaście tysięcy ludzi.


CZĘŚĆ OBRAZU W. KOSSAKA, PRZEDSTAWIAJĄCEGO BITWĘ POD OLSZYNKĄ.

Waleczność była taka wspaniała, że po wieki wieków Polak może być dumnym z bitwy Grochowskiej. Ale nieszczęście było równe chwale; bo gdyby jazda Lubieńskiego była na czas stanęła na miejscu, gdyby Chłopicki nie był odebrał rany i mógł był dalej dowodzić do końca, kto wie, może nie ta jedna bitwa tylko, ale cała wojna byłaby się skończyła inaczej.

Z tych powodów świetna bohaterska bitwa pod Grochowem nie była zwycięstwem, nie skończyła się klęską nieprzyjaciela.

Radziwiłł, który sam od początku przestrzegał, że na wodza naczelnego zdolności nie miał, teraz złożył dowództwo. Powierzył je Sejm Skrzyneckiemu, który po świetnym boju pod Dobrem i po swojem zachowaniu się pod Grochowem, cieszył się wielką sławą u wojska i u narodu, i zda-

wał się najdzielniejszym z ówczesnych jenerałów, Chłopicki, ranny, pojechał do Krakowa, i do dalszej wojny już nie należał [1]).

Wypadek bitwy Grochowskiej osłabił znacznie zaufanie ogółu do wodzów; ale tak znowu podniósł zaufanie do wojska, do dzielności i męstwa żołnierza, że duch nie upadł bynajmniej: owszem zapał się podniósł, a ochotników do wojska przybywało coraz więcej. Dobry skutek wojny zdawał się możliwym. Ale zależeć musiał oczywiście od dobrego planu dalszych działań wojennych i od szybkiego sprężystego wykonania tego planu. Najrozsądniejszem (i koniecznem) zdawało się odwrócić siły rosyjskie od Warszawy i rozdzielić je. W tym celu należało z główną siłą zasłaniać Warszawę, a korpusy rosyjskie, ściągające z głębi cesarstwa, napadać i bić po kolei, zanimby zdołały złączyć się w jednę wielką armię. Prócz tego zaś oddzielić od wojska polskiego dwa korpusy, i wysłać jeden na Wołyń a drugi na Litwę, żeby tam powstanie szerzyły i nieprzyjaciela zatrudniały. Do sztabu powołał Skrzynecki dwóch jenerałów, najbieglejszych w sztuce układania planów wojennych, Chrzanowskiego i Prądzyńskiego [2]). Dwernicki dostał rozkaz, żeby z jednym korpusem przez Lubelskie szedł na Wołyń. Wyprawa na Litwę gotowała się pod dowództwem jenerała Gielguda.

Skrzynecki sam nie spodziewał się szczęśliwego końca wojny, i radby był albo z wodzem rosyjskim układać się o pokój, albo z innemi państwami europejskiemi o *interwencyę*, czyli pośrednictwo między Polską a Rosyą. Ale w początkach swego naczelnego dowództwa, prowadził wojnę dobrze. Gdy po bitwie Grochowskiej Dybicz zamiast przypuścić szturm do Warszawy, uląkł się i odstąpił od Wisły, postanowił nasz wódz naczelny uderzyć na niego, zanim nadejdą mu oczekiwane posiłki z Rosyi. W tym celu niespodzianie, w największej tajemnicy wyprowadził wojsko w nocy z Warszawy, ściągnął to, które za Warszawą stało po różnych miejscach, podstąpił pod obóz moskiewski, i o czwartej rano (31-go marca) we środę Wielkiego Tygodnia, zaczęła się bitwa pod Wawrem i Dębem Wielkiem. Bitwa ze wszystkich w owej wojnie najmilsza, najpiękniejsza, bo najzupełniej zwycięska.

Dybicz rozdzielił był swoją armię: chodziło o to, żeby tak rozdzieloną napadać po kolei, korpus za korpusem, i znosić. Stało tak osobno od armii dwa korpusy, Geismara i Rosena: na te miało wojsko polskie uderzyć.

Geismar stał pod wsią Wawrem. Nocą i we mgle, przeszła koło niego cicho dywizya jenerała Rybińskiego, i zajęła mu tył, zanim się spostrzegł. Napadnięty z tyłu, o zmierzchu, Geismar zaczął w nieładzie bronić się i szykować, kiedy z drugiej strony, od frontu, napadł na niego pułkownik Kicki na czele ułanów. W kilka godzin korpus rosyjski rozbity był zupełnie, ze stratą dwóch tysięcy ludzi i czterech dział.

Korpus Rosena stał pod wsią Dębe Wielkie, w pobliżu Wawru; liczył 36.000 ludzi. Napadnięty zrazu przez dwa tylko pułki polskie, bronił się tak, że się z miejsca ruszyć nie dał. Wieczór się zbliżał; wódz naczelny już myślał, że nie zdoła nieprzyjaciela spędzić z pola, i wydał rozkaz, żeby

[1]) Mieszkał odtąd stale w Krakowie, gdzie i umarł we Wrześniu r. 1854.

[2]) Wizerunki obacz na str. 86.

pułki zostały przez noc każdy na swojem miejscu. Ale sławny pułk czwarty stał w błocie. Jego dowódca, pułkownik Bogusławski, powiedział, że oni nie kaczki, w błocie siedzieć nie będą, ale pójdą nocować na wzgórzach, gdzie stoją Moskale. Sformował pułk, zakomenderował „Marsz“ — i pułk tak niespodzianie, tak wściekle natarł, że nieprzyjaciel zaczął się chwiać i cofać. Widząc to Skrzynecki, nie mógł dzielnego pułku zostawić w niebezpieczeństwie, posłał mu na pomoc jazdę. Poszli strzelcy konni i ułani: artylerya zaczęła na nowo strzelać do nieprzyjaciela. Ciemno już było: nagle natarcie, huk armat, tak strwożyło Moskali, że zupełnie głowę stracili. Rosen szykował i wysyłał oddziały przeciw Polakom, a jego właśni żołnierze brali te oddziały za Polaków i tłumnie przed nimi pierzchali. Artylerya rosyjska częścią uciekła, częścią dała się wziąć: jazda cofając się wpadła na pułkownika Dembińskiego, który ją rozgromił do reszty. W zupełnej ciemności, koło 9-tej godziny wieczór skończyła się bitwa. Noc przeszkodziła pogoni za nieprzyjacielem.



OFICER 4. PUŁKU UŁANÓW Z R. 1831.

Sześć tysięcy zabitych i wziętych w niewolę, trzynaście armat, dwa sztandary, mnóstwo broni i amunicyi: takie były straty rosyjskie dnia tego. Radość polska była taka, jak jeszcze nigdy. „Oddawna Warszawa nie obchodziła tak rozkosznie Świąt Wielkanocnych“, pisze jeden z historyków

powstania. „Po uroczystem nabożeństwie w Katedrze, po procesyi, nastąpiło *Te Deum*. Kapłani i lud ze łzami oddawali dzięki Wszechmocnemu za dane zwycięstwo. Żołnierzom do obozu wysłano tysiące szynek i kołaczy, beczek z winem i piwem. Widok zdobyczy obnoszonych po ulicach, i jeńców rosyjskich, budził najpiękniejsze nadzieje".

Zdawało się, że teraz wódz naczelny skorzysta ze zwycięstwa i nie da nieprzyjacielowi spokoju. Z podziwieniem i z pewną obawą zobaczono, że kroki wojenne jakoś nie idą naprzód, a czas się traci. W Skrzyneckim znowu odzywała się obawa o dalszy los wojny, i zaczynała brać górę. Nie próbował iść naprzód, a przynajmniej nie dość raźnie i szybko. Mimo to odniósł jeszcze jedno piękne zwycięstwo, pod Iganiami (10-go kwietnia). Wziął trzy tysiące niewolnika i cztery armaty. Odznaczył się tam głównie jenerał Prądzyński, który w początku bitwy zaszedł tyły nieprzyjacielowi, a ze swoimi znajdował się w wielkiem niebezpieczeństwie; i pułkownik artyleryi (później jenerał) Bem. Niżsi oficerowie i żołnierze bili się, jak zawsze, jak lwy.



JENERAŁ DEZYDERY CHŁAPOWSKI.

Na nieszczęście był to koniec powodzeń. Korpusy rosyjskie zmierzały z różnych stron ku Warszawie. Jeden z nich, jenerała Kreutza, idący przez Lubelskie, miał być zatrzymanym w pochodzie przez jenerała Sierawskiego; ale bitwa (pod Kaźmierzem) wypadła źle. Kreutz bez przeszkody mógł się przybliżać do Dybicza. Dwernicki dostał się na Wołyń; raz nawet pobił nieprzyjaciela pod Boremlem. Ale gdy zobaczył przed sobą przemagające siły rosyjskie, nie śmiał uderzyć ani przyjąć bitwy, cofał się, aż doszedł do granicy galicyjskiej: a gdy Moskale krok w krok za nim postępowali, przeszedł tę granicę, i był przez wojsko austryackie rozbrojony. W ten sposób nietylko przepadły korzyści, spodziewane z powstania na Wołyniu, ale znaczna część naszego wojska była stracona.

Wyprawa na Litwę wyszła, i zrazu wiodła się szczęśliwie. Jenerał Chłapowski dotarł aż pod samo Wilno, które osadzone słabą załogą rosyjską, łatwo mogło być wziętem. Ale Chłapowski nie mógł uderzać bez rozkazu swego zwierzchnika, dowódcy całej wyprawy, Giełguda. Czekał na ten rozkaz, stał pod Wilnem trzy dni. Wysyłał jednego adjutanta po drugim do Giełguda, żeby zdążał sam czemprędzej, albo przynajmniej żeby mu dał rozkaz uderzenia na miasto. Przyszedł nareszcie Giełgud. Ale przez te trzy dni załoga rosyjska miała czas poprawić szańce, ściągnąć posiłki, i czekała szturmu Polaków w sile przemagającej, pewna że go odeprze. Sposobność zdobycia Wilna była stracona!

A tymczasem do obozu Dybicza pod Warszawą zbliżały się coraz bardziej nowe siły rosyjskie, mianowicie gwardye (wyborowa część wojska),

które cesarz Mikołaj z Petersburga na pomoc przysyłał. Cały dalszy los wojny i Polski zależał od tego, żeby armię Dybicza niezbyt silną, a następnie te gwardye, atakować i pobić, zanim zdołają się złączyć.

Takie było powszechne oczekiwanie, i taka nadzieja. To zaś było wielkim błędem Skrzyneckiego, że sposobny czas przepuścił, tych sił nieprzyjacielskich z osobna nie napadł i nie przeszkodził im złączyć się z sobą. Wtedy były one już tak wielkie, że wojsko polskie pokonać ich nie mogło. Wtedy wypadła (26-go maja) bitwa pod Ostrołęką, dla polskiego oręża i sprawy nieszczęsna. Trwała ona cały dzień, męstwa i poświęcenia było w niej może więcej niż kiedykolwiek. Ale skutku nie było! Nieprzyjaciel miał nierównie więcej wojska, i wkońcu zwyciężył. Straciliśmy w tym dniu siedm tysięcy ludzi; najlepsze pułki, między temi sławny *czwarty* piechoty, miały ledwo połowę swoich ludzi. W oficerach straty były i liczne i bardzo dotkliwe. Zginął jenerał Kamieński i dzielny pułkownik Kicki, i innych wielu. Wrażenie tej przegranej było okropne i zgubne. W wojsku i w narodzie nadzieja słabła. Powetować poniesione straty, formować nowe pułki, nam było już bardzo trudno, a nieprzyjaciel miał ogromną armię, i mógł sobie z głębi Rosyi sprowadzać coraz nowe posiłki.

Od bitwy Ostrołęckiej zaczęły rzeczy iść źle. Było jeszcze wojsko i były boje, była i chęć i odwaga w żołnierzu, ale nie było już tej, co przedtem nadziei zwycięstwa, i nie było zdolnego dowództwa.

Dybicz nie skorzystał ze swego zwycięstwa tak, jakby był mógł. Nie poszedł na Warszawę, która w popłochu łatwa była do wzięcia, ale się cofnął. Może przyczyniła się do tego cholera, silnie w wojsku rosyjskiem grasująca, z której też sam wkrótce umarł [1]). Ale jego nieczynność i śmierć nam na dobre nie wyszły. Jak zwykle u ludzi — a cóż dopiero u Polaków! — po klęsce zaczęły się skargi i nieporozumienia, wzajemne wyrzuty i oskarżenia. Jenerałowie podwładni tracili zaufanie do Skrzyneckiego i doszli do otwartej z nim niechęci. Wojsko czuło, że było źle prowadzone, i straciło ufność do jenerałów. W Warszawie, w kraju całym, zaczęły się szemrania na Skrzyneckiego. Zapał, niedawno jeszcze wielki, słabnął, a poczynało się zniechęcenie i niezgoda. Korzystali z tego ludzie próżni a mało warci, jacy są zawsze i wszędzie, i zawsze siebie kosztem drugich wynosić lubią. W niepowodzeniach i zamieszaniach bywają oni szczególnie czynni, bo łatwo im w mętnej wodzie ryby łowić. Rozpuszczają skargi, po części słuszne, podkopują powagę drugich, a dają do zrozumienia, że gdyby oni byli u steru, to wszystko byłoby inaczej i lepiej. Takim człowiekiem był wtedy w Warszawie między innymi jenerał Krukowiecki. Są znowu całe szajki ludzi burzliwych a przewrotnych, którzy w takich nieszczęśliwych wypadkach podnoszą głowę, rozchodzą się między ludem, tłómaczą mu, że jest zdradzony: a naprawdę chcą wywołać rozruch, gwałty uliczne na to, by sami w nich na wierzch wypłynęli, rządzili i obłowili się. Byli tacy i w Warszawie, i po przegranej Ostrołęckiej bitwie zaczęli swoją zwykłą

[1] Pierwszy raz zjawiła się wtedy w Europie ta straszna choroba. Przyniosły ją wojska rosyjskie. Jeszcze jedno dobrodziejstwo, które świat Rosyi zawdzięcza.

robotę. Słowem miasto i wojsko zaczęło być w nieładzie: nie wiedziało, kogo słuchać, komu wierzyć, co robić.

Na domiar złego wyprawa na Litwę skończyła się nieszczęśliwie. Gielgud nietylko Chłapowskiemu przeszkodził do wzięcia Wilna, ale dalej tak nieudolnie rzecz prowadził, że prawie bez boju dał się wojskom rosyjskim wypchnąć do Prus. Tu znowu rozbroili Prusacy cały ten oddział. Jeden tylko jenerał Dembiński na czele 4.000 ludzi zdołał się wymknąć, do Prus wepchnąć się nie dał, i z rzadką zręcznością i walecznością tak się ogromnym siłom rosyjskim wywijał, że z tymi ludźmi szczęśliwie do Warszawy się przedarł. Radość z jego powrotu była wielka, bo i wojska trochę przybywało, i on sam okazał się tak dzielnym, iż przypuszczano, że może potrafi dobrze całem wojskiem dowodzić i sprawę jeszcze uratować. Ale przegrana na Litwie była wielkiem nieszczęściem. Korpus trzydziestu tysięcy Moskali, który tam stał, nie potrzebował już Litwy bronić, i poszedł ku Warszawie.



Po śmierci Dybicza dowództwo nad wojskiem rosyjskiem objął Paszkiewicz. Nie spieszył się. Stał długo na miejscu; zapewne namyślał się, gdzie mu będzie najdogodniej przyjąć bitwę.

Warszawa spodziewała się oblężenia i gotowała się do obrony. Gromadzono żywność, sypano szańce. W obozie pod Bolimowem tymczasem Skrzynecki czując, że coraz bardziej ufność traci, złożył dowództwo. Na jego miejsce mianował Rząd Dembińskiego. Ale po takiej stracie czasu, po takiem wzmocnieniu nieprzyjaciela przez gwardye i przez korpus litewski, poradzić było już bardzo trudno. Paszkiewicz zdołał bez żadnego oporu postawić o kilkanaście mil na północ od Warszawy pięć mostów, i po tych mostach wojsko swoje na lewy brzeg Wisły bezpiecznie i spokojnie przeprowadził.

Teraz oblężenie Warszawy stało się już niechybnem i bliskiem. W ludności rosła rozpacz na widok sprawy straconej, na myśl o tych zgrozach, jakie się niebawem zacząć mogą, jak dziki mściwy wróg zajmie Warszawę. Z tej rozpaczy skorzystała ta szajka złych ludzi, o których wyżej była mowa. Zaczęła coraz bardziej podburzać, jątrzyć, w lud wmawiać, że jenerałowie, że Rząd, zdradzają sprawę, a skrycie Moskalom służą. Lud, zbyt często łatwowierny, czuł żywo nieszczęście ojczyzny, nie rozeznawał dobrze, kto winien a kto nie; doprowadzony do szału prawie przez tych podszczuwaczy, dał się użyć za narzędzie niecnych i brudnych uczynków. Piętna-

stego sierpnia, w sam dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, tłumy ludzi uwiedzione i prowadzone przez mniemanych przyjaciół ludu, a naprawdę przez niegodziwych i podłych, zaczęły przebiegać miasto, szukając zdrajców mniemanych, żeby ich wieszać i tem wieszaniem niby ratować ojczyznę. Powieszono kilkunastu ludzi bez sądu, bez dowodu winy; między innymi jenerała Jankowskiego, który może zawinił tem, że nie tęgo w bitwach dowodził, ale zdrajcą nigdy nie był. Na pociechę i na chlubę warszawskiego ludu powiedzieć sobie możemy, że on do tej niecnej sprawy nie należał. Lud prawdziwy i uczciwy, rzemieślnicy, czeladź, ubodzy wyrobnicy nawet, nie zmazali rąk krwią. Za głosem wichrzycieli szły tylko takie męty i szumowiny, ludzie bez zajęcia, bez zawodu, próżniaki i szubrawcy, jacy wśród każdej ludności znajdować się zwykli. Morderstwa te nie zdały się naturalnie na nic, a na dobrą sprawę rzuciły brzydką plamę. Sprowadziły też gorszy nielad i upadek ducha w Warszawie. Gwałty i mordy trwały wprawdzie tylko dzień jeden; a nazajutrz rano wszedł do Warszawy jenerał Dembiński z wojskiem, i burzyciele nie śmieli już wszczynać rozruchów. Ale miasto było przerażone tem, co się stało, Rząd był rozpędzony. Miejsce jego zajął jenerał Krukowiecki, który przez cały czas wojny najwyższej władzy pragnął; a jak jej użyć umiał, to zaraz zobaczymy.

Paszkiewicz, przeszedłszy Wisłę, zbliżał się pomału do Warszawy. Oblegać jej i szturmu przypuszczać nie chciał; bał się silnego oporu, nie był pewien, czy miasto zdobędzie. Przysłał jednego ze swoich jenerałów z warunkami układów; chciał, żeby się miasto poddało. Sejm, który zawsze obradował, odrzucił te warunki. Istotnie miasto mogło się bronić; w wojsku i w ludności był jeszcze taki duch i zapał, że nieprzyjaciel mógł ponieść klęskę pod murami stolicy. Że się tak nie stało, to wina Krukowieckiego, który się do dowództwa rwał, przyrzekł że Warszawy wziąć nie da, a obrony jej ani przygotować, ani prowadzić nie umiał.

Szóstego września, rano, Paszkiewicz zaczął przypuszczać szturm do szańców. Dwieście armat rosyjskich zaczęło walić. Pod ich osłoną piechota szła na szańce; naprzód na dwa usypane pod Wolą (na tem samem miejscu, gdzie niegdyś odbywały się elekcye królów). Jeden z nich, kiedy już nieprzyjaciel był blizko, wyleciał w powietrze. Dowódca, Ordon, podpalił prochy ukryte pod ziemią, i wszyscy, oblegający i obrońcy, Moskale i Polacy, znaleźli śmierć w tym wybuchu. Drugi szaniec zdobyli, ale po obronie tak dzielnej, że cała polska załoga tego szańca poległa co do nogi. Potem mieli drogę otwartą do Woli. Ale przed tą był nowy szaniec, największy ze wszystkich. Bronił go stary jenerał Sowiński, kulawy, o drewnianej nodze. Ludzi nie miał dosyć do obrony, ale przez dwie godziny w półtora tysiąca ludzi odpierał piechotę i jazdę rosyjską, i wytrzymywał ogień armatni. Wreszcie z boku zaszedł jeden oddział rosyjski i wdarł się do środka. Szaniec był stracony: resztki obrońców skupiły się na cmentarzu. Krok za krokiem musiał nieprzyjaciel ten cmentarz zdobywać. Naszych było coraz mniej, garstka tylko została przy życiu; ta z Sowińskim schroniła się do kaplicy, i tam się broniła. Nieprzyjaciel wpada, po trupach żołnierzy dostaje się do ołtarza. Przed ołtarzem siedział stary Sowiński, biały jak gołąb, z karabi-

nem w ręku. „Poddaj się jenerale", wołają oficerowie rosyjscy. Sowiński w odpowiedzi pchnął bagnetem najbliższego żołnierza — potem sam poległ....

Tego dnia, 6-go września, stracone były najważniejsze szańce obronne. W mieście, w Sejmie, popłoch. Co począć? czy się układać o poddanie? Wojsko i miasto chcą się bronić: Sejm i prezes Rządu (Krukowiecki) chcą się układać, ale nie śmią znowu wziąć na siebie tej odpowiedzialności i podpisać układów. Nazajutrz, 7-go września, z drugiej strony miasta nowy szturm; Dembiński odpiera go dzielnie. Nieprzyjaciel wdziera się na wał miejski, cofa się raz w nieładzie, idzie znowu do szturmu.... obrony już nie spotyka. Wojsko dostało rozkaz zaprzestania bitwy, i przeprowadzone zostało na Pragę.

Krukowiecki wysłał do Paszkiewicza jenerała Prądzyńskiego z listem, w którym wyrażał poddanie się cesarzowi Mikołajowi.

Warszawa była wzięta!

Był jeszcze jeden korpus wojska, pod dowództwem jenerała Ramorino (Włocha z pochodzenia), który pomiędzy Warszawą a Brześciem Litewskim wstrzymywał idącego ku Warszawie jenerała Rosena. Ramorino, na wiadomość o oblężeniu Warszawy szedł jej na odsiecz. Ale gdy się dowiedział o dokonanej już kapitulacyi, zamiast udać się do Modlina, gdzie reszta wojska była zgromadzona, zaczął brzegiem Wisły cofać się ku południowi. Postępował za nim rosyjski jenerał Rüdiger. Ramorino czy przez nieudolność, czy jak inni sądzili przez złą wolę i zdradę, nie próbował się bronić, aż wreszcie znalazł się pod Zawichostem, na galicyjskiej granicy. Przeszedł tę granicę, i tu został rozbrojony.

Równocześnie to wojsko, które wyszło z Warszawy, ciągnęło ku Modlinowi, twierdzy trzymanej przez polską załogę. Sejm, który z Warszawy przeniósł się do Zakroczymia, i tam obradował, mianował wodzem naczelnym jenerała Rybińskiego. Ale ten nowy wódz nietylko sprawy, ale i sławy nie poprawił. Prawda, że w trzydzieści tysięcy, i po wzięciu Warszawy, trudno było myśleć o zwycięztwie: ale można było przynajmniej przegrać z honorem. Zamiast tego, wojsku kazano iść ku pruskiej granicy, bez wystrzału; aż nareszcie pewnego dnia musiało tę granicę przejść, i tam broń złożyć.

Tak się skończyła wojna roku 1831.

Człowiek, który w tej wojnie służył jako prosty żołnierz, i pod Warszawą się bił, zmarły w roku 1892 Paweł Popiel, tak mówi w jednem ze swoich pism o ówczesnem wojsku polskiem:

„Wątpię, czy kiedy co podobnego w Polsce widziano, jak wojsko roku „1831. Szedł dziedzic, szli jego synowie i włościanie, z ochotą, bez przymusu, „bez nawoływania, na ochotnika. Wyrobiło się z tego wojsko niezrównane: „nic wspanialszego, jak ówczesny prosty żołnierz. Nie wiedział o stronni-„ctwach, nie szukał zaszczytów, ale miał polskiego ducha, i ten w nim „cudów dokazywał. Czasem, i to nierzadko, nie dopisała komenda; ale żoł-„nierz gdzie i kiedy się cofnął? On uratował honor pod Ostrołęką, a pod „Warszawą kładł się trupem jak zboże na łanie, w poczuciu miłości Ojczy-„zny i obowiązku. Po dwóch tysiącach lat z górą wspominamy bitwę sta-

„rych Greków z Persami pod Termopilami; nie mniejsza była ofiara i od-„waga naszego żołnierza. Gorżkiemi łzami płakać nam trzeba, że się taki „żołnierz zmarnował.“

Dlaczego z takiem wojskiem ta wojna skończyła się źle? Kto temu winien? Wszyscy — oprócz żołnierza. Naprzód ci, co powstanie między sobą ułożyli, a na prawdę go nie przygotowali. Obmyśleli i przygotowali wybuch,



WOJSKO POLSKIE Z R. 1831.

pierwszą chwilę powstania: a co potem robić, jak wojnę prowadzić, kto ma ją prowadzić, kto rządzić — o tem nie pomyśleli, tego nie przygotowali. Z tego wynikło to zamieszanie, ta niepewność, ta strata czasu, w początkach powstania. Dalej winien, i bardzo winien, Chłopicki, że kiedy raz najwyższą władzę wziął, to jej sam nie dzierżył, a niebawem ją złożył. Winien, że zwołał Sejm, zamiast sam rządzić; winien, że dużo czasu stracił i nieprzyjacielowi dał się wzmocnić, zamiast iść naprzód. Winien Sejm, że gadał, radził, i myślał, że gadanie stanie za działanie, a uchwała za zwycięstwo. Winien Skrzynecki, że wojsk rosyjskich nie uprzedził i nie rozbił, zanim się połączyć zdołały. Winni ci, co z zawiści czy próżności rwali się do władzy, jak Krukowiecki, a w niepowodzeniu zamiast się skupiać i łączyć, jątrzyli tylko, i drugich oskarżali o zdradę. Winni i ci pokątni, ukryci burzyciele, co od początku do końca szerzyli i utrzymywali nieufność i nie-

chęć wszystkich przeciw wszystkim, a w końcu gwałtami i mordami czystą sprawę splamili. Winni jenerałowie, częścią niezdolni, częścią opieszali i obojętni dla sprawy, jak Giełgud i Ramorino. Ale wszyscy oni byliby lepsi, nie byliby mogli błądzić, a byliby i umieli bić się i zwyciężać, gdyby ci, którzy powstanie gotowali i zaczęli, byli między sobą mieli jednego dzielnego człowieka, zdolnego wojnę prowadzić, albo gdyby takiego byli zawczasu do swoich zamiarów skłonili. Z dzielnym człowiekiem na czele, z szybkiem działaniem wojennem, powstanie mogło od początku iść lepiej, a po paru bitwach pomyślnych mogło było wzmocnić się tak, że w końcu byłoby wygrało. Ale tego nie było, i wojna przegrana stała się strasznem dla Polski nieszczęściem, źródłem niezliczonych nieszczęść na przyszłość.



VI.

## Od roku 1831 do 1863.

Skutki przegranej wojny roku 1831 były straszne. Rząd rosyjski powiedział sobie teraz, że zdobył Polskę swojem wojskiem, i że może z nią robić, co mu się podoba. Postanowił naprzód zemścić się srogo, a potem robić tak, żeby całą odrębność Polski zagładzić do szczętu i obrócić ją w część rosyjskiego cesarstwa. Na to trzeba było trzymać ją w strachu pod żelaznym uciskiem, zubożyć ją majątkowo, młode pokolenia chować tak, żeby nietylko o swojej ojczyźnie zapomniały, ale żeby nie miały sposobności wykształcić się na ludzi rozumnych i zdatnych: wreszcie wiarę katolicką albo wprost tępić, albo podkopywać stopniowo na to, by ten kraj kiedyś mógł stać się syzmatyckim.

Tak postanowił Mikołaj, a cały naród rosyjski myślał tak jak on, i pomagał mu z całych sił swoich.

Zaczęło się więc dzieło burzenia, niszczenia, prześladowania wszystkiego co polskie. Konstytucya Królestwa i jego odrębny rząd zniesione; zniesione wojsko. Najwyższe władze w sprawach administracyi, skarbu, wyznań i wychowania, sprawiedliwości, zniesione: zarząd tych spraw przeniesiony do Petersburga i przyłączony do tamtejszych Ministeryów, pod nazwą departamentu dla spraw Królestwa Polskiego. Uniwersytet warszawski zniesiony; wileński zniesiony; Lyceum krzemienieckie zniesione; a do wszystkich szkół wprowadzony język rosyjski. Wyroków śmierci kilkaset, a wyroków na więzienie, na ciężkie roboty w kopalniach sybirskich bez liku. Kto mógł, ratował się ucieczką za granicę, ale wywiezionych było tysiące. Pod pozorem opieki i miłosierdzia nad sierotami po poległych żołnierzach polskich, zabrano i wywieziono kilkanaście tysięcy dzieci (chłopców), z któremi Bóg jeden wie, co się dalej stało: to pewna, że przechrzczono ich na syzmę, a potem prawdopodobnie oddano w sołdaty. Majątki zabierano na skarb: kto tylko więcej znaczył w wojsku lub w rządzie polskim,

podlegał konfiskacie. Tak przepadły ogromne fortuny Czartoryskich, Sapiehów, Paców, a innych wielkich i średnich bez liku. Dobra koronne, własność kraju i źródło znaczne jego dochodów, rozdawano między jenerałów rosyjskich. Urzędnicy rosyjscy nasłani do wszystkich urzędów, i pomieszani z Polakami, których mieli szpiegować i donosić. Zbiory i biblioteki warszawskie, krzemienieckie, i wiele prywatnych, zabrane i wywiezione do Petersburga. Nad duchowieństwem katolickiem, zwłaszcza nad Biskupami, dozór najściślejszy, iżby z Papieżem nigdy znosić się nie mogli inaczej, jak przez pośrednictwo petersburskiego, umyślnie na to ustanowionego urzędu, który ich listy czytał: zatem otwarcie nigdy prawdy pisać nie mogli, i do dziś dnia nie mogą. Klasztory niektóre, zwłaszcza na Litwie i Rusi, zamknięto jako niby niepotrzebne: był to początek późniejszego, otwartego już prześladowania, i tłumienia życia katolickiego. Zniesiono dawny podział kraju na województwa, a nazwano je po rosyjsku *guberniami*. Zakazano liczyć pieniądze na polskie złote i grosze, a zaprowadzono rosyjskie ruble i kopiejki. Jednem słowem od najważniejszych rzeczy aż do drobnych, wszędzie niszczenie wszystkiego co było polskiem, a usiłowanie, żeby ten kraj przerobić na rosyjski. Ile przytem nieszczęść i łez ludzkich, ile śmierci, wygnań, więzień i nędzy, ile spełnionych okrucieństw, to Bóg jeden wie. On jeden może zliczyć — i kiedyś pomścić, bo sam rzekł, że takie czyny do Niego o pomstę wołają.

Z początku przecie Rosya zachowywała jakieś pozory. Nie bała się państw zagranicznych, bo wiedziała dobrze, że te państwa wojny o Polskę jej nie wydadzą: ale bała się opinii ludzkiej, miała trochę wstydu. Królestwo Polskie było utworzone i zabezpieczone na Kongresie wiedeńskim, uznane i poręczone tym traktatem, podpisanym przez wszystkie państwa europejskie. Rosya kiedy je znosiła sama, bez wiedzy i woli tamtych, gwałciła ów traktat i obrażała wszystkie tamte państwa. Więc choć się nie bała wojny, chciała jednak udawać, że jakieś prawa szanuje i zachowuje. Mikołaj ogłosił nowe prawo dla Królestwa, które nazwał *Statutem Organicznym*. Ten *Statut* zaręczał Polakom wolność osób i wolność wyznań, własność majątkową, język w szkołach i urzędach, miejsca we wszystkich gałęziach służby rządowej, i niektóre jeszcze prawa polityczne. Naprzykład miały być Rady gminne i powiatowe do zawiadowania swojemi sprawami. Dla całego kraju miała być tak zwana Rada administracyjna, która obok innych praw sobie przyznanych, miała przedstawiać cesarzowi kandydatów na wyższe urzędy administracyjne i sądowe. Ale ten *Statut Organiczny*, ogłoszony dla oka świata, został na papierze i nigdy nie wszedł w życie. Zamiast przyrzeczonej wolności osób, były samowolne uwięzienia, śledztwa i wywożenia na Sybir; zamiast bezpieczeństwa własności, konfiskaty majątków; zamiast wolności wyznań, prześladowanie Kościoła.

Na czele rządu w Warszawie stał Feldmarszałek Paszkiewicz, z tytułem namiestnika: za zwycięzką wojnę i za wzięcie Warszawy szczególnie przez Mikołaja ceniony, obsypany zaszczytami i darami. Ten pełnił swój urząd ściśle podług rozkazów cesarza, i w jego duchu: o godziwość, nawet o ludzkość nie pytał, przed okrucieństwem się nie wahał. Ale był ze swego

wysokiego stanowiska bardzo rad i dumny, a bał się, żeby mu go nie okrojono. Więc kiedy w Petersburgu ministrowie starali się nieraz cesarza skłonić, żeby do reszty zrównał Królestwo Polskie z Cesarstwem, Paszkiewicz bronił resztek i pozorów odrębności Królestwa, nie przez uczciwość i sprawiedliwość, nie przez miłość do tego kraju, ale z obawy, żeby sam nie stracił swego stanowiska namiestnika, samowładnego prawie i nieograniczonego wielkorządcy tego kraju.

Jakkolwiekbądź, te czasy Mikołajowskie były straszne, ale nie były jeszcze tak złe, jak późniejsze. Wiele urzędów obsadzono Rosyanami, wrogami kraju, ale zostało przecie wielu urzędników Polaków. W szkołach zaprowadzono język rosyjski, ale niektóre nauki dawane były po polsku. Dawne prawo cywilne (kodeks Napoleona) zostało w swojej mocy; a sądownictwo, w rękach Polaków zostawione, odznaczało się prawością i biegłością, co oczywiście nie było zasługą rządu, tylko tych sędziów. Kraj był nieszczęśliwy i ciemiężony okropnie, ale nie tak jeszcze, jak teraz.

Srogość rządu rosyjskiego względem Polaków odbiła się zaraz na postępowaniu dwóch innych rządów. Austryacki, który patrzał dość przychylnie na wojnę roku 1831, i poddanych swoich, idących do wojska bardzo licznie przez granicę przepuszczał, po nieszczęśliwym końcu wojny, wojskowych polskich, którzy się schronili do Galicyi, wydalał za granicę: w Galicyi surowiej niż przedtem zakazywał polskich książek i polskiego języka: w Wolnem Mieście Krakowie zwłaszcza, zaprowadził swoją policyę, która śledziła i prześladowała nieznośnie. Rząd pruski, dotąd łagodny, teraz przedsięwziął zamiar zniemczenia Wielkopolski, a w zamiarze tym wytrwał dotąd i postępował stale coraz dalej.

Tak było na ziemi polskiej. Za granicą była tak zwana *Emigracya*, która w naszych dziejach i losach znaczyła bardzo wiele. Czemże ona była, zkąd się wzięła, i czego chciała?

Wzięła się ztąd, że po wzięciu Warszawy i po końcu wojny, kilkanaście tysięcy ludzi wyszło z kraju (*emigrowało*) za granicę, a głównie do Francyi. Byli to naprzód ci, których rząd rosyjski skazał na śmierć albo na Sybir, i którzy zdołali umknąć. Potem wojskowi wszystkich stopni, od jenerałów do prostych żołnierzy, którzy nie chcieli złożyć broni przed nieprzyjacielem, a obawiali się jego zemsty. Potem ci, którzy za powstania pełnili jakąkolwiek służbę cywilną. Dalej pisarze lub uczeni, którzy wiedzieli, że w kraju pod rosyjską cenzurą nie będą mogli swobodnie oddawać się swojej pracy. Za mężami wyjeżdżały żony i dzieci. Wyszło też dużo księży; później, kiedy zaczęto zamykać klasztory na Litwie i Rusi, szły na tułactwo i zakonnice. Słowem ludzie wszelkich powołań i zawodów, wszelkich stopni i majątków, od najbogatszych aż do najuboższych. Było ich razem do trzydziestu tysięcy.

Dlaczego oni tak poszli w świat? Przecież nie wszystkim groziła śmierć albo Sybir. Poszli dlatego, że nie chcieli się nieprzyjacielowi poddać; mieli zaś tę nadzieję, że prędzej czy później nastąpi jaka wojna przeciw Rosyi, a oni wtedy z bronią w ręku do ojczyzny powrócą. Myśleli oni, że wielka

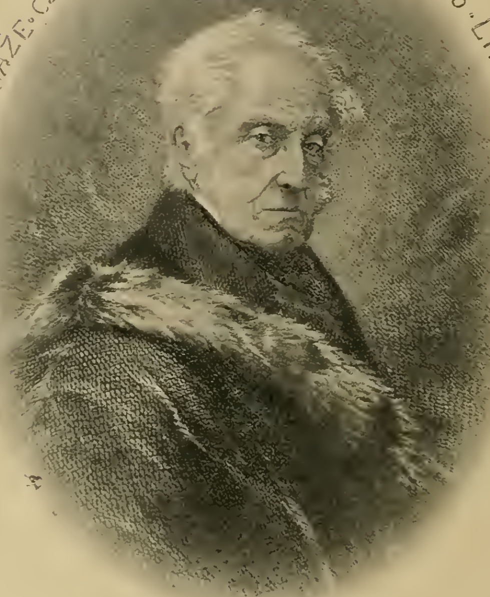
i całemu światu groźna potęga Rosyi, obudzi wreszcie czujność i obawę państw europejskich, dbałych o swoje własne bezpieczeństwo. Wzgląd na własne dobro powinienby przekonać Francyę, Anglię i innych, że muszą albo zawczasu Rosyę ukrócić i umniejszyć, albo ona tak urośnie w przestrzeń i w siłę, że później nie będą już mieli mocy jej się opierać, i będą musieli jej słuchać. Tak myśleli Polacy; i myśleli jeszcze, że ktokolwiek w przyszłości miałby spór i wojnę z Rosyą, ten będzie musiał użyć przeciw niej Polski, bo tem osłabi się Rosyę najpewniej i najłatwiej. Oprócz tego ufali Polacy i w swoją dobrą sprawę: czuli, że oni mają słuszność za sobą, bo oni przecie (a nie Rosya) mają prawo do swojej ziemi. Tego istotnie nie zaprzeczał wtedy nikt, ani we Francyi, ani w Anglii, ani w Niemczech (oprócz Prus). Liczyli więc Polacy na to, że ta dobra sprawa będzie miała za sobą sumienie i opinię całego świata, i że prędzej lub później nadarzy się sposobność do nowej wojny, i do wojny zwycięzkiej.

Rzeczywiście sumienie i opinia całego chrześcijańskiego świata były za nami, a przeciw Rosyi. Kiedy emigranci ciągnęli przez Niemcy do Francyi, we wszystkich miastach niemieckich przyjmowano ich z zapałem, uroczyście, jak bohaterów, którzy za dobrą sprawę walczyli. W sejmach francuzkich i angielskich odzywały się co roku głosy za nimi, i uchwalały się oświadczenia, że Polska praw swoich nie straciła. Rządy tamtejsze obawiały się Rosyi, nie chciały wejść z nią w zatargi, więc zachowały się obojętnie. Ale dały wszystkim emigrantom polskim przytułek, wielu zajęcie i sposób do życia; takim, którzy żyć nie mieli z czego, dawał rząd francuzki stałe wsparcia.

Zaczął się więc ten tłumny pobyt Polaków we Francyi, który przez lat trzydzieści wywierał wielki wpływ na to, co się działo u nas w kraju. W kraju bowiem był ucisk taki, że nikt nie mógł się ani sprawami publicznemi zajmować, ani mówić lub pisać jak chciał, ani dzieci chować podług swojej woli i w swoim języku. Swobodnie o naszych sprawach myśleć i mówić, dla nich pracować, mogli tylko ci, co byli za granicą. Z tego wynikło, że uważali oni sami siebie, i ludzie ich uważali za stróżów i kierowników spraw polskich w Europie.

*Emigracya* ta, jak dziś, po wielu latach i smutnych doświadczeniach widzimy, miała wiele złych skutków. Wyciągnęła z kraju mnóstwo ludzi, między tymi najtęższych i najznakomitszych, przez co życie polskie w kraju straciło wiele na sile i na rozumnym kierunku. Powtóre, ta nadzieja wojny z Rosyą, na której emigracya opierała swoje rachuby, zawiodła, a przez to wszystkie jej starania i prace były daremne. Wreszcie w tych zawodach i niepowodzeniach, w tęsknocie za krajem, często w niedostatku i nędzy, rozwijała się w sercach gorycz, a rosła nasza zwykła, nieszczęsna wada, niezgoda. Jedni chcieli ratować ojczyznę w ten sposób, drudzy w inny: jedni drugim wzięli zarzucać, że z ich winy sprawa upadła w roku 1831, zaczęły się w emigracyi swary i nienawiści, które nas przyprawiły o ciężkie klęski. Ale nie można się dziwić, że w owym czasie nie mieli tego doświadczenia, jakie my dziś mamy: a nie godzi się zaprzeczyć, że choć byli między nimi ludzie źli i czyny nieroztropne, a nawet niegodziwe, to miłości

ojczyzny i prawdziwego poświęcenia było więcej, i dużo ludzi, którym się od nas cześć i wdzięczność należy, bo byli znakomici cnotą, zasługą i rozumem.




Katolicyzm nie powinien być z miłości Ojczyzny, ale Patriotyzm z miłości Boga. Czartoryski.

BĄDŹ CO BĄDŹ

U Polaków i u cudzoziemców największą powagę na emigracyi miał książę Adam Czartoryski.

Był młodym chłopcem, kiedy po ostatnim rozbiorze Polski Katarzyna zażądała, żeby go rodzice na jej dwór posłali. Wspominaliśmy już wyżej, że to żądanie było rozkazem; w razie nieposłuszeństwa byłaby spadła na rodzinę zemsta, zabór majątku. Był więc młody Czartoryski na dworze w Petersburgu, niby jako towarzysz młodego wielkiego księcia Aleksandra (później cesarza), naprawdę jako zakładnik. Ale tego Katarzyna nie przewidywała, że ten towarzysz, którego dała swemu wnukowi, stanie się przyjacielem przyszłego następcy tronu. Tymczasem oba młodzieńcy przywiązali się do siebie nawzajem. Aleksander był pod wpływem Czartoryskiego, przejmował jego niektóre uczucia i pojęcia. We dwóch marzyli oni i układali zamiary na przyszłość. Aleksander, jak kiedyś zasiędzie na tronie, uszczęśliwi świat panowaniem sprawiedliwem i szlachetnem; a w szczególności względem Polski naprawi zbrodnię Katarzyny. Rzeczywiście jak został

cesarzem, zrobił Czartoryskiego swoim ministrem spraw zagranicznych, a prócz tego pozwolił mu urządzić szkoły na Litwie i Rusi. Jako minister Czartoryski radził Aleksandrowi dobrze: wstrzymywał go naprzykład od tej wojny z Napoleonem, w której Rosya poniosła klęskę pod Austerlitz. Ale krótko na tem stanowisku zostawał, bo Rosyanie zazdrościli mu, a cesarzowi powtarzali, że niebezpiecznie jest powierzać Polakowi sprawy tak ważne. Za wojen napoleońskich Czartoryski chciałby był całą Polskę przeciągnąć na stronę Aleksandra; myślał, że to dla niej pewniejsze, niż trzymać się Napoleona: ale nie przekonał nikogo. Podczas Kongresu wiedeńskiego był ciągle przy boku Aleksandra, i otrzymał dla Polski to, co wówczas otrzymać się dało: Królestwo Kongresowe. Zdawało się, że jemu, jako przyjacielowi, jako



WOJCIECH CHRZANOWSKI, JENERAŁ DYWIZYI, GUBERNATOR M. WARSZAWY
(według spółczesnej litografii).

człowiekowi znanemu całej Europie, a w Polsce niezmiernie poważanemu, odda cesarz urząd namiestnika Królestwa. Ale wpływy i zazdrości rosyjskie stanęły temu na przeszkodzie. Czartoryski nie miał w Królestwie urzędu żadnego, miał tylko miejsce w Senacie. Na Litwie i Rusi był zawsze kuratorem szkół. Ale gdy cesarz zamiast dotrzymać dawne obietnice, zaczął coraz widoczniej cofać się i dane swobody ukrócać, gdy gwałtowność Wielkiego Księcia Konstantego wywoływała w Polsce coraz większe oburzenie, gdy szpiegostwa i prześladowania zaczęły się mnożyć, Czartoryski przekładał cesarzowi, że takiem postępowaniem

odstręczy od siebie Polaków, i doprowadzi ich kiedyś do zbrojnego wybuchu. Te uwagi nie podobały się cesarzowi; dawna przyjaźń z Czartoryskim ostygała i słabła. Wreszcie kiedy coraz mniej zważano na jego rady i zdania nawet w tych sprawach (szkolnych), których był z urzędu najwyższym dozorcą, gdy zaczęto szpiegować i prześladować uczniów wileńskich, Czartoryski, widząc, że wpływ swój traci i złemu przeszkadzać już nie zdoła, złożył urząd kuratora szkół. Od tego czasu siedział u siebie na wsi w Puławach, albo podróżował za granicą, do spraw publicznych się nie mieszał. Gdy wybuchło powstanie roku 1830, on, uważany powszechnie za pierwszego obywatela kraju, zajął miejsce Naczelnika Rządu. Powstania nie chciał, a w jego szczęśliwy koniec nie bardzo wierzył. Ale sądził, że nie godzi mu się odstępować sprawy, którą w sumieniu swojem miał za dobrą, choć w rozumie swoim miał ją za podniesioną nie w porę. Spodziewał się też, że swojem doświadczeniem i wpływem potrafi kierować nią roztropnie. Przystąpiwszy do powstania, oddał mu się całą duszą. Choć sam nie żołnierz, dobrze umiał radzić wojskowym; Skrzynecki mianowicie, jako wódz naczelny, byłby mniej błędów popełnił, gdyby był więcej na rady księcia zważał. Po wzięciu Warszawy, skazany na śmierć, uszedł za granicę, i osiadł w Paryżu z żoną i małemi dziećmi. Ogromny jego majątek zabrano na skarb lub rozdano jenerałom rosyjskim: został mu tylko jeden klucz Sieniawski w Galicyi, i te fundusze, które w gotówce mógł mieć złożone w bankach zagranicznych. Na emigracyi gromadzili się około niego wszyscy roztropniejsi i lepsi. Francuzi, Anglicy, i ich rządy, uważali go za wyobraziciela i naczelnika sprawy polskiej; żaden z Polaków nie miał u nich tyle powagi co on. Rozum jego był niepospolity, a cnota do podziwienia. W całem swojem życiu nie pomyślał on nigdy o sobie; nie robił nic dla własnego wyniesienia, pożytku lub sławy. Ojczyznę tylko kochał, jej służył, a siebie i wszystko swoje dla jej dobra poświęcić był gotów i poświęcał. Teraz wziął sobie za zadanie podawać do wiadomości całego świata gwałty, spełniane na Polsce przez Rosyę; ostrzegać państwa i ludy



IGNACY PRĄDZYŃSKI, JENERAŁ KWATERMISTRZ
(według sztychu S. Łukomskiego).

europejskie o niebezpieczeństwie, jakiem im samym grozi ta wielka rosyjska potęga; wreszcie upatrywać chwili, kiedy wybuchnie jaka z Rosyą wojna, i starać się, żeby z niej wynikła wojna o Polskę. Wśród emigracyi dostarczał ile mógł zajęcia i utrzymania ludziom, wpływem swoim wyrabiał im miejsca, a powstające w Paryżu polskie zakłady wspierał, prowadził, niektóre własnym kosztem utrzymywał — (naprzykład w domu swoim szkołę dla dziewcząt, córek emigrantów). Był to człowiek tak czystej i nieskazitelnej cnoty, tak wielkiego serca i miłości ojczyzny, jak mało mieliśmy w całych naszych dziejach. Do ostatka czynny, z umysłem żywym, z sercem gorącem, umarł w późnej starości, mając lat 91, w roku 1861.

Poszedł na wygnanie po raz drugi, i ostatnie dziesięć lat swego życia na niem przebył, stary Niemcewicz, który podczas powstania posłany był do Anglii, żeby tam jakieś poparcie dla sprawy polskiej wyjednał. Z nim najściślejszą przyjaźnią złączony jenerał Kniaziewicz, umarł prawie równocześnie. Obu złożono w tym samym grobie na cmentarzu, który wychodźcy polscy w Montmorency pod Paryżem dla swoich zmarłych założyli. Jenerałowie byli na emigracyi prawie wszyscy. Skrzynecki wstąpił do służby belgijskiej; w późnej starości dopiero dostał pozwolenie przyjazdu do Krakowa, gdzie przeżył swoje ostatnie lata, i umarł (w r. 1860) [1]. Bem, najtęższy między nimi dowódca artyleryi; Chrzanowski znakomity w sztuce wojennej (zwłaszcza w układaniu planów bitwy); Dembiński wsławiony swoją wyprawą na Litwę; stary Kazimierz Małachowski, Dwernicki, Pac (na emigracyi rychło zmarły). Oficerów niższego stopnia, od pułkownika na dół liczba bardzo wielka. Między takimi odznaczał się młody Władysław Zamoyski, przed powstaniem adjutant Wielkiego Księcia Konstantego, w powstaniu za wspaniałą odwagę i waleczność posunięty na stopień pułkownika, kilka razy ranny. Ten był siostrzeńcem księcia Adama Czartoryskiego, jego najzaufańszym przyjacielem, i najgorliwszym, najwierniejszym pomocnikiem. Umysł miał niezmiernie bystry, i tak nim na ludzi działał, że między cudzoziemcami, zwłaszcza w Anglii, zjednał sobie wielu gorących przyjaciół i wielbicieli, których starał się na korzyść spraw polskich używać. Przy świetnych zdolnościach miał on energię, wytrwałość, czynność niezrównaną. Ze zdrowiem (w skutku ran) na całe życie zepsutem, w cierpieniach często nieznośnych, nie wypoczął nigdy; gdzie było coś dla sprawy do zrobienia, tam on zawsze brał się do rzeczy pierwszy, ustępował ostatni. Był też między emigrantami świeckimi jednym z najgoretszych katolików: wiarą, przywiązaniem do Kościoła, odznaczał się już za młodu, i wielu słowem swojem i przykładem do Kościoła pociągnął.

Na emigracyi także była większa część najzdolniejszych naszych pisarzy, zwłaszcza poetów: a między tymi największy z nich, Mickiewicz. Ten w powstaniu nie był, broni nie nosił, więc mógł niby bezpiecznie w kraju zostać. Ale nie byłby mógł swobodnie pisać co czuł i myślał, a za dawniejsze swoje pisma mógł się dostać do więzienia lub na Sybir. Oprócz tego myślał i on, jak wszyscy, że to wygnanie nie potrwa długo, a za jakiś czas wróci się do ojczyzny szczęśliwie i zwycięsko. Został więc

[1] Pomnik jego zobacz na str. 88.

za granicą, zamieszkał w Paryżu i tam napisał najpiękniejsze swoje dzieło, najpiękniejsze w całej poezyi polskiej, *Pan Tadeusz*. Ale na tem przestał, i wierszy już więcej nie pisał. Zbolały ostatnią klęską narodu, o tem tylko myślał, jak i kiedy skończy się to nieszczęście. Za co Bóg Polskę doświadcza tak ciężko? co jej w przyszłości przeznacza? jakim sposobem ona może zasłużyć na Jego zmiłowanie? To on rozważał, w tem rozmyślaniu zatopił się całą duszą. A wtedy wiersze i pisanie wydały mu się rzeczą błahą i marną. „To tylko pismo coś warte“ — mawiał wtedy — „które ludzi mądrości uczy i do Boga ich prowadzi.“ Przypatrując się swoim współziomkom, dostrzegł u nich wiele złego: pychy, niezgody, zazdrości, nienawiści, i powiedział sobie, że Polacy, jeżeli chcą odzyskać i odbudować ojczyznę, to muszą naprzód siebie poprawić, bo inaczej Bóg nie da im swojej łaski, i zamiarom ich nie pobłogosławi. W tej myśli ułożył małe pisemko, *Księgi Pielgrzymstwa Polskiego*, w którem uczył emigrantów, jak mają się zachować cnotliwie i godnie, żeby i na zmiłowanie Boskie zasłużyć, i ludziom być zbudowaniem i przykładem.




POMNIK SKRZYNECKIEGO.
dłuta Oleszczyńskiego w kościele OO. Dominikanów w Krakowie.

Nie poprzestawał na książkach: życiem samem usiłował zachęcać i prowadzić wygnańców do dobrego. Od wszystkich sporów i zatargów trzymał się zdala, karcił je przy każdej sposobności. Głęboko wierzący i pobożny z kilkoma przyjaciółmi rozmyślał nad sposobami, jakby Polskę

poprawić. Powtarzał zawsze, że brak jej duchownego, pobożnego życia, i twierdził, że na to potrzebaby jakiego między nami zgromadzenia zakon-



ADAM MICKIEWICZ.

nego. Gdy się znaleźli młodzi ludzie z takiem powołaniem (powiemy o nich niżej), zachęcał ich i utwierdzał w gorliwości.

Wśród takich zajęć i myśli ożenił się z panną Szymanowską, sierotą, córką dawnej swojej, już zmarłej przyjaciółki. Pożycie było zgodne i szczę-

śliwe; ale że oboje majątku nie mieli, było im ciężko, zwłaszcza gdy przybywało dzieci, a często zdarzały się choroby. Smutno to powiedzieć, ale bywały tam czasy zupełnego niedostatku tak, że Mickiewicz musiał rzeczy zastawiać, żeby dostać trochę pieniędzy na codzienne wydatki. W takiem będąc położeniu odebrał z miasta Lozanny (w Szwajcaryi) wezwanie na profesora języka łacińskiego. Przyjął, pojechał, i rad był z tego miejsca i zatrudnienia, ale zabawił niedługo. W Paryżu — (za staraniem Polaków a mianowicie ks. Czartoryskiego) — utworzono przy jednym z najznakomitszych zakładów naukowych katedrę literatur Słowiańskich. Był to sposób oświecenia cudzoziemców o tem, co się u ludów słowiańskich działo dawniej, i o tem co się dzieje dziś: cudzoziemcy zaś wiedzieli o tem bardzo mało, tak dobrze jak nic. Chodziło teraz o to, żeby na to miejsce dostał się profesor najlepszy, jakiby się dał znaleźć, a lepszego od Mickiewicza być nie mogło. On nie miał ochoty wracać do Paryża, ale rozumiał, że rzecz była ważna, że gdyby on nie przyjął, to miejsce to mógł zająć jaki człowiek głupi albo przewrotny i nauczać fałszów: wrócił więc do Paryża, i zaczął lekcye. Należą one do rzeczy najmędrszych i najpiękniejszych, jakie były powiedziane o polskich rzeczach i pisarzach, o ludach i stosunkach słowiańskich w ogólności. Ale podczas tej pracy Mickiewicza zdarzyło się wielkie nieszczęście. Przyjechał do Paryża niejaki Andrzej Towiański, Litwin, który sobie uroił, że ma rozkaz od Boga poprawiać wiarę i zakładać nowy kościół. Ludzi z podobnemi urojeniami zdarzało się w owych latach dość dużo w różnych krajach: u nas zdarzył się Towiański. Próbował on wykładać swoją nową wiarę różnym, jenerałowi Skrzyneckiemu naprzykład; ale ci poznali zaraz, że to nieprawowierne i podejrzane. Udał się wtedy do Mickiewicza. Ten był właśnie przygnębiony domowem nieszczęściem, umysłową chorobą żony, a od lat całych dręczony nieszczęściem ojczyzny. Czekał i czekał jakiegoś nad nią zmiłowania Bożego, a zawsze nadarmo! W takim stanie zastał go ów Towiański. Zaczął mu mówić, że czas zmiłowania już blizki, że Bóg zbawi Polskę a ludzkość całą pocieszy, jeżeli się do Niego szczerze nawrócą: i że na znak swojej łaski zsyła im Bóg nowe objawienie, nową naukę wiary. Na dowód niby, że jest przez Boga posłany, obiecał Towiański Mickiewiczowi, że uzdrowi jego żonę. W takich chorobach zdarza się to nieraz, że jakieś silne wrażenie przywraca choremu równowagę umysłu. Towiański przemawiał do pani Mickiewiczowej, rozczulił ją, trochę i przestraszył: i istotnie sprawił to, że się rozstrojone nerwy uspokoiły.

Mickiewicz uwierzył niestety w nowego proroka. Zaczął innych do jego nauki nawracać, zaczął ją publicznie ze swojej katedry wykładać. Napróżno przyjaciele błagali, napróżno księża upominali: on się nie dał przekonać ani ubłagać, owszem coraz silniej i gorliwiej przy owej nauce obstawał. Wreszcie Kościół musiał ogłosić, że nauka to z wiarą katolicką niezgodna, heretycka. Rząd francuzki znowu nie mógł pozwolić na to, by w jego zakładzie głoszono publicznie nauki przeciwne religii narodu i króla, i usunął Mickiewicza z katedry, zostawiając mu połowę profesorskiej pensyi. Po kilku latach Mickiewicz otrzeźwiał, stracił ufność do Towiańskiego;

pojechał do Rzymu, tam odbył spowiedź i pojednał się z Kościołem. Ale pisać już przestał: jego czynność była skończona, a z nią ta ozdoba i chwała, jaką były dla Polski jego wiersze.

Ale pomimo tego piśmiennictwo polskie rozwijało się świetnie na emigracyi, i nigdy jeszcze nie stało tak wysoko jak w tych latach. Oprócz Mickiewicza byli za granicą najzdolniejsi, najznakomitsi nasi poeci. Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński: z mniejszych Bohdan Zaleski, Konstanty Gaszyński, Stefan Witwicki, Lucyan Siemieński. Piszących prozą i uczonych było wielu: między tymi sławny historyk Joachim Lelewel [1]), za powstania roku 1831 członek Rządu, do spraw publicznych niezdatny i w nich raczej szkodliwy, ale jako uczony i badacz dziejów bardzo niepospolity.



ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Emigracya, która myślała zawsze o powrocie do ojczyzny, a nie chciała uważać się za obywateli tego kraju, w którym przebywała, dbała też o to, żeby miała dla siebie takie zakłady polskie, jakie jej mogły być potrzebne, i zakładów takich stworzyła sobie nie mało. Przedewszystkiem chodziło o to, żeby dzieci chować w polskim duchu i języku. Założono więc (głównie funduszem i zasługą doktora Seweryna Gałęzowskiego) szkołę polską w Paryżu: drugą, mniej liczną, dla wyższych nauk wspomagał książę Czartoryski, a jego żona utrzymywała szkołę dla dziewcząt. Dla starców i sierot założono szpital św. Kazimierza (do dziś dnia istniejący), i oddano go w zarząd Sióstr Miłosierdzia, wygnanych przez rząd rosyjski z litewskich i wołyńskich klasztorów. Utworzono stowarzyszenie, zwane *Czci i Chleba*, którego każdy członek wkładał małą roczną opłatę, a za to na przypadek choroby, starości, lub braku zajęcia, dostawał wsparcie i opiekę. Towarzystwo to trwa dotąd, ma nawet fundusze dość znaczne, i potrzebnym świadczy wiele dobrego. Dla celów i spraw naukowych znowu zawiązano Towarzystwo Historyczne, które z biegiem lat doszło do znacznego zbioru ksiąg polskich, i do dziś dnia nauce polskiej oddaje niemałe usługi.

---

[1]) Portret tegoż był na str. 47,

Ale wśród tych na emigracyi stworzonych polskich zakładów, na szczególną pamięć i cześć zasługuje nowy zakon przez Polaków założony.

Od swego chrztu, przez wszystkie te wieki, Polska miała u siebie te zakony, które były założone gdzieindziej, ale sama z siebie nie wydała żadnego nowego. Teraz dopiero, na emigracyi, przybyła jej ta zasługa w Kościele Powszechnym. Ludzie wielkiego serca i niepospolitego rozumu, przekonali się dokładnie na emigracyi, że niedowiarstwa i bezbożności było u nas dużo, a służby Bożej i chwały Bożej nie dosyć. Zrozumieli więc, że pierwszą potrzebą tego narodu było pobudzenie w nim wiary i pobożności, przywiązanie go do Kościoła. Rozumieli też, że w nieszczęściach tego narodu ratunek jedyny w łasce i pomocy Bożej: tę łaskę i pomoc trzeba uprosić, na nią zasłużyć, wiarą, gorliwością, poświęceniem. Oprócz tego jeszcze czuli oni, że potrzebni są za granicą księża polscy, którzyby ostrzegali Stolicę Apostolską o zamachach i zdradach wymierzonych na Kościół przez Rosyę, a którzy Polakom znowu przypominaliby ciągle obowiązek wierności i miłości dla Kościoła. Mickiewicz mawiał — jak się wyżej wspomniało — że emigracya wtedy tylko nawróci się szczerze do Boga, jeżeli z niej i pośród niej utworzy się jakiś nowy zakon. Tak samo myśleli jego przyjaciele, katolicy gorliwi; ale jedni byli żonaci, inni nie mieli duchownego powołania, nie mogli zrobic tego co uważali za potrzebne. Znaleźli się przecież tacy, których Bóg do tej służby powołał. Byli to dwaj młodzieńcy, oba żołnierze w ostatniem powstaniu, Hieronim Kajsiewicz i Piotr Semeneńko. Kajsiewicz dostał w jednej bitwie cięcie przez twarz i oko, po którem została wielka szrama na całe życie. W miłości ojczyzny byli gorący, ale o Panu Bogu nie myśleli wcale; tem mniej o powołaniu duchownem. Ale byli szlachetni bardzo i dzielni, i Bóg upatrzył ich sobie wtedy, kiedy oni jeszcze Go nie szukali. Człowiek jeden świątobliwy, choć świecki, Bogdan Jański, zaprzyjaźnił się z nimi, i pierwszy rozniecił w sercach uśpioną iskrę wiary i pobożności. Kiedy już zaczęli modlić się gorąco i Sakramenta przyjmować, rosła w nich tak miłość Boża i żarliwość, że niebawem uczuli w sobie powołanie zakonne. Powiedzieli sobie, że nie dosyć jest służyć Bogu na świecie przez pół, ale że trzeba oddać Mu się całą duszą i na Jego chwałę wyłącznie się poświęcić. Rozpoznawali reguły różnych zakonów z myślą, żeby do jednego z nich wstąpić. W biedzie, żyjąc z tego co się przyjaciołom dla nich zebrać udało, uczyli się tak teologii przez parę lat w Paryżu; potem wybrali się na dalsze nauki do Rzymu, jako do stolicy katolickiego świata. Tu nieznanych, skromnych, ubogich młodzieńców dostrzegło zaraz bystre oko nieprzyjaciela. Poselstwo rosyjskie robiło tysiączne starania, żeby tych Polaków do żadnego seminaryum nie przyjęto i do święceń nie dopuszczono. Szczęściem na ich wartości i szczerem powołaniu poznało się kilku znakomitych duchownych w Rzymie, i ci wzięli biednych kleryków pod swoją opiekę. Gotowali się więc do święceń kapłańskich w Rzymie, a tymczasem w Paryżu zdarzało się między Polakami coraz więcej powołań duchownych. Śladem Kajsiewicza i Semeneńki udał się do Rzymu Hube, Kaczanowski, Duński, Terlecki, później Jeło-

wieki; wszyscy mieszkali razem, razem odbywali nauki i ćwiczenia duchowne, i razem rozmyślali, do jakiego zakonu mieliby wstąpić. Aż wreszcie, już po odebraniu święceń kapłańskich, uczuli wszyscy zgodnie, silny popęd i wolę, żeby się związać w osobne zgromadzenie zakonne. Przepisali sobie tymczasową regułę, wybrali przełożonego, szukali tylko stósownego dla siebie nazwiska. Było to w sam dzień Wielkiej Nocy (w roku 1842), i nagle przyszła im myśl, żeby od tego święta nazwać się *Zgromadzeniem Zmartwychwstania Pańskiego*. Tak powstał pierwszy zakon polski, zakon *Zmartwychwstańców*, początkowo z kilku ludzi złożony, dziś liczący i braci wielu, i wiele w Kościele zasług. Oni to — ze szczególnym przywilejem Piusa IX-go mając księży łacińskiego i greckiego obrządku — poszli do schyzmatyckiej Bulgaryi, i wielu Bulgarów do Unii z Kościołem (przy obrządku greckim) nawrócili. Oni i za morza przeszli do Ameryki, gdzie ich Biskupi katoliccy do posługi dusz po miastach i wiejskich parafiach wzywali. Oni, gdy im z czasem Rząd austryacki na to pozwolił, osiedlili się w Galicyi, i otworzyli we Lwowie zakład wychowawczy dla młodych Rusinów, drugi w Krakowie (dla Polaków). Oni wreszcie w Rzymie, pod okiem Głowy Kościoła, mają zakład, w którym młodzi księża z Polski uzupełniają swoje nauki. Oni świadczyli i świadczą dotąd o wierności polskiego narodu, a prześladowania polskiego Kościoła do wiadomości Ojca św. podają. Emigrantów zaś słowem i przykładem do wiary i służby Bożej, do poprawy, do rzetelnej, prawej miłości ojczyzny nawracali, i w wielu sercach wiarę i przywiązanie do Kościoła pokrzepili lub nawet zgoła odrodzili. Wszyscy pracowali około tego z równą gorliwością; ale z największym skutkiem ksiądz Kajsiewicz, któremu Bóg dał taki szczególny dar kaznodziejski, że po Skardze nie było i niema w Polsce kazań tak pięknych jak jego [1]).



X. HIERONIM KAJSIEWICZ.

Ale kiedy się działy na emigracyi rzeczy bardzo dobre i piękne, to, jak zwykle u ludzi, działy się także i złe. O zgodę u nas zawsze trudno:

[1]) Ksiądz Kajsiewicz umarł w r. 1873; ksiądz Semeneńko w r. 1886.

a po takiem nieszczęściu, na wygnaniu, często w niedostatku, zbierało się w sercach goryczy więcej niż zwykle. Zaczęli się więc między sobą swarzyć, zarzucać jedni drugim, że z ich winy ostatnia wojna była przegrana. Zarozumiałość, pycha, zazdrość, unosiła wielu, i nie dała im dobrze widzieć ani dobra ojczyzny, ani własnej powinności. Wszyscy myśleli o tem, żeby Polskę oswobodzić i do niej powrócić. Ale jedni sądzili, że trzeba na to czekać jakiej wielkiej wojny z Rosyą, i do tej wojny się przyłączyć; drudzy chcieli próbować coraz nowych powstań. Ci ostatni mówili, że ostatnie powstanie upadło dlatego, bo nie było dość liczne. Gdyby cały lud wiejski był się porwał do broni, to Rosya nie byłaby mu dała rady. Żeby zaś lud poruszyć i za sobą pociągnąć, trzeba mu obiecać zniesienie pańszczyzny, i równy podział gruntów pomiędzy wszystkich. O zniesieniu pańszczyzny nie potrzebowali oni szlachty uczyć, bo sama tego chciała. W Galicyi były wtedy tak zwane *Stany*, rodzaj Sejmu, na których zasiadała tylko szlachta. Nie miały one prawa ani uchwalać ani stanowić, ale miały prawo Cesarza prosić. Otóż te *Stany* trzy razy prosiły o zniesienie pańszczyzny, i zawsze bez skutku. Co do równego podziału gruntów, to myśl była niesłuszna i zła, bo nie godzi się jednemu zabierać co jest jego, żeby to drugiemu dać. Oprócz tego zaś, że niesłuszne i złe, było to i niedorzeczne. Naprzód gdyby każdy człowiek miał dostać po kawałku ziemi, toby i ziemi dla wszystkich nie starczyło. Gdyby zaś każdy miał po małym jej kawałku i z tego musiał żyć; to nikt nie mógłby się sposobić do innego zawodu, i wszystkie inne zawody i prace: rzemiosła, handel, przemysł, nauka, musiałyby ustać. Byliby tylko rolnicy na kilku zagonach, nie byłoby ani rękodzielników, ani urzędników, ani sędziów, ani nauczycieli: życie świata musiałoby ustać, bo ono potrzebuje koniecznie rozmaitości zawodów, prac, obowiązków i zarobków. Wreszcie taka równość majątków, gdyby nawet raz gwałtem zaprowadzić się dała, to nie dałaby się stale utrzymać. Bo na to nikt i nic nie poradzi, że jeden człowiek jest zdatny, drugi niedołężny; jeden pracowity, drugi leniwy; jeden skrzętny i oszczędny, drugi marnotrawca. A w skutku tych przymiotów jeden powiększałby swój majątek, drugi traciłby go w skutku tych wad, i znowu nie byłoby równości majątków.

Kilka razy próbowało to emigracyjne stronnictwo wywołać powstanie w Królestwie. Naczelnicy siedzieli bezpiecznie w Paryżu czy w Londynie; do kraju przedzierali się ludzie, których umysł był niedojrzały albo słaby, ale odwaga wielka, zapał wielki, i poświęcenie wielkie. Ważyli życie, i najczęściej je też oddawali. Usiłowania ich były zawsze daremne. Udało im się zebrać kilkudziesięciu, najwięcej pareset ludzi; z tymi zaczynali jakiś rozruch, gdzieś po lasach; najmniejsza garstka wojska wystarczała, żeby ich otoczyć, ująć i powiązać. Potem jedni ginęli na szubienicy, inni przez rozstrzelanie: kto nie stracił życia, ten szedł na całe życie do sybirskich kopalń, albo gnił w więzieniu. Kto tylko był podejrzany o jakie z tymi emisaryuszami stosunki, brany był do śledztwa, a śledztwa te były tak okrutne, tak męczono głodem, pragnieniem, biciem, że więźniowie z roz-

paczy, inni ze strachu żeby drugich nie wydać, nieraz zadawali sobie śmierć. Tak jeden młody uczeń, Lewittu, męczony w cytadeli warszawskiej, podpalił w nocy swoją pościel i zgorzał, bo się bał, że dłużej tych mąk nie wytrzyma, wypowie wszystko i innych o nieszczęście przyprawi.

Srożył się Mikołaj okrutnie, a nie nad Polakami tylko, nad katolikami także. Teraz, kiedy Polskę zgnębił a Europy się nie obawiał, postanowił znieść Kościół katolicki greckiego obrządku na Litwie i Rusi. Znalazł dogodne, prawdziwie piekielne narzędzie, w Siemaszce, biskupie zdrajcy, który się wiary wyparł, na schyzmę przeszedł, i to dzieło ucisku, gwałtu, oszukaństwa prowadził. Krwią i łzami oblana ta schyzma, i kiedyś się Bóg u niej o te łzy i tę krew upomni. Duchowni i lud opierali się długo, rozpaczliwie: najwytrwalsi, najodważniejsi przypłacili opór życiem lub Sybirem, słabsi ulegli wreszcie, i w roku 1839 nie było już Unii na Litwie i Rusi [1]).

W Austryi tymczasem umarł cesarz Franciszek I w roku 1835; nastąpił po nim jego syn Ferdynand. Ten miał dobre serce, ale sam przez się nie rządził, dawał się powodować. Prawdziwą władzę sprawował książę Metternich. I tu do Galicyi dochodziły starania różne z emigracyi; między młodzieżą zawiązywały się czasem spiski. Nie były one silne ani groźne dla państwa, ale prześladowane i karane były srogo. Więzienia pełne były ludzi oskarżonych i trzymanych pod śledztwem: skazanych odsyłano do strasznych dwóch fortec, Spielbergu (na Morawie) i Kufsteinu (w Tyrolu). Te cierpienia wywoływały nienawiść do ówczesnego rządu i sprawiały, że ludzie tem chętniej dawali posłuch i wiarę rozszerzanym z Paryża zamiarom i nadziejom. Tam teraz ta partya, która chciała Polskę zbawiać ustawicznemi zaburzeniami i rozruchami, postanowiła próbować w Poznańskiem, w Galicyi i w Królestwie Polskiem naraz.

Zaniosło się tym razem nie na mały nieznaczny rozruch, ale na rzecz większą.

W Królestwie nie przyszło do żadnego wybuchu; w Poznańskiem był tak słaby i nieznaczny, że go prawie nie było. W Krakowie i w Galicyi dał się wykonać.

Przychodzimy do tego, co w całych tych naszych stuletnich dziejach prawie najboleśniejsze: do wypadków roku 1846.

18-go lutego tego smutnej pamięci roku począł się rozruch w Krakowie. Wojsko austryackie, które stało w mieście, cofnęło się na Podgórze. Sprzysiężeni utworzyli jakiś rząd niby, postanowili jakiegoś dyktatora — (nazywał się Tyssowski) — i ogłosili, że wydają wojnę wszystkim trzem państwom: Rosyi, Austryi i Prusom. Zdawało im się, że na to ogłoszenie chwyci za broń każdy, kto tylko żyje, ogromne masy wiejskiego ludu, i że zaraz stanie potężne wojsko.

Na czem opierali taką nadzieję? Oto na tem, że od lat paru już chodzili po kraju ludzie z Paryża wysłani, i do powstania namawiali. Mówili

---

[1]) Szczegóły w książeczce „O Rusi i Rusinach“, wydanej w Krakowie w r. 1891.

oni szlachcie, że powinna znieść pańszczyznę: do tego była ona cała i od dawna chętna i gotowa. Mówili jej dalej, że powinna zrobić powstanie: na to znowu odpowiadała ogromna większość, że bez wojska i pieniędzy wojny się nie wygrywa, tylko klęski na kraj sprowadza. Byli jednak tacy, którzy uwierzyli, że rzecz udać się może, i przyrzekli wziąć za broń. Ludowi wiejskiemu znowu tłómaczyli ci tak zwani *emisaryusze*, że powinien powstać, bo jak będzie niepodległa Polska, to nie będzie ani pańszczyzny ani żadnych uciążliwości: dodawali, że *panowie* powstaną także, a którzy z nich nie chcieliby do powstania przystać, to takich włościanie powinni zmuszać, choćby przestrachem i groźbą, choćby śmiercią zadaną opornym.

Lud wiejski słuchał, nie odpowiadał; o powstaniu nie myślał. Wiedział dobrze, że nie zrobi tego, do czego go namawiano.

Ale w ślad za tymi emisaryuszami, namawiającymi do powstania, chodzili po wsiach inni ludzie, przewrotni i niegodziwi, i co innego znowu mówili ludowi.

„Oto panowie się burzą: chcą robić jakieś powstanie. A wiecie wy, co będzie, jeżeli oni na swojem postawią i dawną Polskę przywrócą? Będzie ich panowanie, a wasz ucisk i niewola bez ratunku. Nietylko wasza praca, ale wasze życie, wasze rodziny, wasze mienie, wszystko będzie do *panów* należeć, a wy będziecie na ich łasce jak niewolnicy, jak bydło. Nie dajcie się, brońcie się, uprzedźcie ich; a jak zaczną się zbroić i gromadzić, uderzcie na nich i bijcie. Was więcej, i dwory się nie obronią, jak je napadniecie. Kogo wyrżniecie, to wyrżniecie; ale będziecie mieli już na zawsze spokój i bezpieczeństwo od *ciarachów*, i wolność, i ziemię"...

Takie mowy, powtarzane długo, na wielu miejscach, odniosły swój skutek. Nie odrazu przecież; ludzie się wahali, sumienia się odzywały i ostrzegały, że to zbrodnia; piąte przykazanie stawało niejednemu w pamięci. Ale takim wahającym odpowiadano, że przykazania Boskie zawieszone są na trzy dni, i że przez trzy dni każdemu wolno je gwałcić. A lud oszukany wierzył, jak żeby to być mogło! jakżeby ktokolwiek mógł naruszyć lub wstrzymać przykazania, których sam Bóg ani zmienić ani zawiesić nie może, jak je raz w mądrości Swojej i w miłości dla rodu ludzkiego wydał!

Znalazł się człowiek jeden, nazwiskiem Jakób Szela, gospodarz ze wsi Siedlisk w obwodzie Jasielskim, który się podjął tą gotującą się rzezią kierować. Dobrał sobie pomocników, którzy się po różnych stronach rozeszli, wszędzie to samo powtarzali, i pocichu tak rzecz między ludem ułożyli, że jak *panowie* zaczną się zbierać na powstanie, to wtedy na nich...

Tak się też stało. Kilkunastu szlachty, którzy chcieli robić powstanie, jechało do Tarnowa. We wsi Lisiej Górze, o milę od miasta, zastąpił im drogę tłum ludzi i zatrzymał. Nie bronili się nawet, bo się niczego złego nie spodziewali. Napadnięci znienacka, cepami bici, kosami pokaleczeni, ci, co nie zginęli na miejscu, byli związani i odstawieni do Tarnowa.

Na to hasło zaczęła się rzeź szlachty w trzech obwodach: Tarnowskim, Bocheńskim i Jasielskim. Rozwścieklone, wódką opojone gromady, chodziły od wsi do wsi, napadały na dwory, mordowały, często nie prze-

puszczając ani starcom, ani dzieciom, ani niewiastom. Okrucieństwa, pastwienia się nad nieszczęśliwymi było bardzo wiele. Nie opowiadamy ich tu umyślnie, bo nie o to nam chodzi, by złe wspominać i jątrzyć. Wiele ludzi zginęło w tej rzezi? mówiono, że parę tysięcy. Być może, bo nie samych panów zabijano, ale i domowych służących, i gospodarskich oficyalistów, i księży wielu. Człowiek jak raz o Bogu zapomni, a krwi zakosztuje, staje się krwiożerczym jak dziki zwierz, przywyka do okrucieństwa, i bez upamiętania brnie na oślep w zbrodni. Tak było w niejednym kraju podczas rozruchów i wojen domowych, we Francyi naprzykład podczas tak zwanej wielkiej Rewolucyi; tak było i u nas podczas tej nieszczęsnej rzezi. W niektórych miejscach do dziś dnia można widzieć ślady ówczesnej zaciekłości i zatwardziałości. Brama klasztorna Panien Benedyktynek w Staniątkach jeszcze nosi na sobie znaki siekier, któremi napastnicy chcieli ją wyrąbać. Ale te szczegóły pomijamy. Kto zginął, w jaki sposób, jak się nieraz nad ofiarami pastwiono, opowiadać nie chcemy. Za to wolimy przypomnieć parę przykładów szlachetności, poświęcenia włościan dla szlachty w tych smutnych czasach. W obwodzie rzeszowskim, w lasach, leżą wielkie dobra Mokrzyszowskie. Właściciel, Niemiec, mieszkał na Morawach. Rzeź tu nie doszła. Ale gdy doszła o niej wiadomość, trzy wsie: Mokrzyszów, Stale i Cygany, jednej nocy nasadziły kosy, narządziły cepy i siekiery, i już wybierały się w pochód, żeby bić „rabusiów i rozbójników". Wstrzymała ich rada z sąsiednich dworów, żeby nie szli, bo złemu nie poradzą, a sami na siebie mogą ściągnąć nieszczęście. W tej samej okolicy, kiedy w popłochu i trwodze nikt nie wiedział, co się dzieje, czy rzeź jest naprawdę, czy się w te strony zbliża, a dowiedzieć się trzeba było koniecznie, żeby w złym razie bronić się i ratować, przyszło do dworu dwóch gospodarzy i ofiarowali się, że pójdą na zwiady. „Panowie nie chodźcie", mówili, „ani dworskich ludzi nie posyłajcie, bo może być źle. Ale nam nic nie zrobią". Poszli, i nie wrócili. Oba byli zamordowani o dwie mile od swojej wsi.

Były i przykłady miłosierdzia nad żonami i dziećmi pomordowanych; były też przykłady wielkiej zgryzoty i skruchy. W Grodkowicach, w obwodzie bocheńskim, porwano ze dworu pana Marcyana Żeleńskiego, zbitego, pokaleczonego, ledwo żywego, jego żonę i czworo małych dzieci, zawleczono do Bochni. Tam na rynku domordował go jeden w oczach żony i dzieci. Potem przez długie lata mieszkali obok siebie, on w chacie, oni we dworze. Rozchorował się wreszcie i był bliski śmierci. Otaczający uważali, że się dręczy bardzo, że go coś gryzie i straszy. Zapytywany, długo nie chciał mówić, co mu jest: wkońcu powiedział: „idźcie do Pani co prędzej i proście, żeby tu przyszła, bo umieram". Przyszła zaraz; a on wtedy: „Niech mi Pani przebaczy śmierć męża, bo bez tego jak ja stanę przed sądem Boga!" Przebaczyła, i umarł spokojny.

Można powiedzieć śmiało i z czystem sumieniem, że takie uczucia jak ta pani, miała po rzezi cała szlachta. Ból był wielki i żal, ale nie było w niej ani na chwilę goryczy, nienawiści do ludu, ani mściwości. Dla winnych, dla tych, co zabijali, było przebaczenie i wyrozumienie, że uwiedzeni,

oszukani, nie wiedzieli co robili. Dla całego narodu, dla ludu i szlachty razem, było tylko pragnienie i gorące prośby do Boga, żeby nas wszystkich ustrzegł od złych uczuć i złych czynów.

Ale nieszczęście było straszne. Nietylko dla rodzin, które w rzezi potraciły ojców, braci albo synów, ale dla całego kraju. Jeżeli przedtem była w ludzie wiejskim niechęć i podejrzliwość względem szlachty, to potem wzmogła się ona bardziej. Nastała obawa, że *panowie* zechcą się mścić, że gdyby mieli sposobność, toby się mścili. O tem, Bóg widzi, nie myślał nigdy nikt, nikt tego nie chciał: ale w sercach ludu ta obawa była, a w skutku tego był wielki rozbrat, wielka niejedność między dziećmi jednego Boga i jednej ziemi, między częściami jednego narodu, które Bóg na to przeznaczył, żeby w zgodzie obok siebie żyły i razem Jego chwale i dobru Ojczyzny swojej służyły. Nieszczęściem dalej była ta rzeź dla kraju, bo jest nieszczęściem każda zbrodnia. Każdego, ktokolwiek ją popełni, Bóg w sprawiedliwości Swojej karać musi. Krew zaś przelana woła o pomstę do Boga. Któż wie, czy wiele z tych klęsk, co później na nas spadały, nie było karą za to, co stało się wtedy. W następnym zaraz roku 1847, był w tych obwodach tarnowskim i bocheńskim straszny głód a w skutku głodu straszny pomór na tyfus. Ludzie z innych okolic mówili, że to kara.

Jedna jeszcze o tej sprawie uwaga. Podburzono lud wiejski do rzezi, na pomstę krzywd i ucisków, jakich doznawał od panów. Poddaństwo jego było rzeczą złą, a gdzie pan był twardy, tam były ucisKi i krzywdy. Ale o tem wiedzieć trzeba, i to w rachubę wziąć, że poddaństwo i robocizna były wtedy nie w Polsce jednej, ale na całym świecie, a ucisk poddanych był u nas mniejszy, ich los nie taki smutny jak w innych krajach. W Rosyi poddany był własnością swego pana, i mógł być sprzedanym jak bydlę. We Francyi i w Niemczech pan miał prawo miecza w swoich dobrach i mógł poddanego skazać na śmierć. Miał też w tych krajach prawo do dziewcząt wychodzących za mąż, na pierwszą dobę po ich ślubie. W Polsce tego barbarzyństwa, takich okropności nie było. A gdyby Polska była została niepodległą, gdyby była mogła robić u siebie co chciała, to byłaby wykonywała to, co postanowiła w Konstytucyi 3-go maja: i w roku 1846 z pewnością nie byłoby już na ziemi polskiej ani poddaństwa ani pańszczyzny.

W jesieni tego samego roku 1846, Wolne Miasto Kraków ze swoim okręgiem wcielone zostało do państwa austryackiego.

W dwa lata później, 1848 r., zaczęły się zaburzenia w całej Europie. Naprzód w Paryżu, gdzie wypędzono króla Ludwika Filipa, a ogłoszono Rzeczpospolitą. Następnie w Wiedniu, w Berlinie, i po różnych mniejszych miastach niemieckich. Tu chodziło o więcej wolności, o konstytucyę. We Włoszech znowu chodziło po części o to samo, a po części o odebranie Austryi jej posiadłości włoskich: Lombardyi i Wenecyi. W Berlinie król pruski Fryderyk Wilhelm IV zrzekł się zaraz swoich rządów absolutnych i dał konstytucyę. W Wiedniu, jak tylko zaczęły się zaburzenia z tem samem żądaniem, uciekł zaraz kanclerz, książę Metternich i ukrył się za

granicą, a Cesarz Ferdynand przyrzekł swobody obywatelskie wszystkim swoim poddanym, a prawa i swobody narodowe wszystkim narodom, należącym do jego państwa. Radość była powszechna. Cesarz ułaskawił zaraz wszystkich tych, co za polityczne sprawy siedzieli w więzieniach. Witano ich u nas z wielką pociechą i zapałem. Do Wiednia udała się zaraz deputacya, złożona z ludzi wszelkich stanów, żeby Cesarzowi przełożyć potrzeby kraju. Po wszystkich większych i mniejszych miastach tworzyły się różne Rady i gwardye narodowe [1]); zapowiedziane były wybory do Parlamentu czyli Wielkiego Sejmu wszystkich krajów austryackich.

Pomiędzy temi zmianami, których kraj teraz przy pierwszem zebraniu jakiegoś Sejmu żądać chciał i postanowił, w pierwszym rzędzie stało zniesienie pańszczyzny i przyznanie włościanom własności posiadanej ziemi. Ale rząd nie chciał, żeby obywatele kraju, Polacy i szlachta, wystąpili z tem żądaniem, i przez to swojej dobrej woli ludowi dowiedli, i zasługę sobie w jego oczach zrobili. Oni oczywiście mogli to zrobić prawnie, tylko na jakimś sejmie: przedtem nie mieli ani sposobności, ani prawa do powzięcia uchwały. Rząd skorzystał z tego i postanowił ich uprzedzić. W kwietniu roku 1848 obwieścił każdej wsi przez wysłanych na to komisarzy obwodowych, że Cesarz daruje włościanom pańszczyznę i posiadane grunta, a dawnych dziedziców za ten uszczerbek w ich własności wynagrodzi. Tym sposobem stało się, że pańszczyznę zniosła nie szlachta, która miała do tego prawo, ale Rząd, który nie był właścicielem tych gruntów i tego prawa do robocizny. Czy lud wiejski wyszedł na tem dobrze, to rzecz wątpliwa. Szlachta, do szlachetnych popędów skora, pragnąca ludowi wiejskiemu ulżyć, a w owym czasie pokazać mu, że nie chowa do niego żalu za to co się stało w r. 1846, byłaby z pewnością darowała pańszczyznę bez okupu. Rząd, znosząc pańszczyznę, obiecał wynagrodzenie, i musiał dotrzymać; summy zaś potrzebne na te wynagrodzenia, mógł wziąć tylko z podatków. Ztąd te wielkie podatki na *Indemnizacyę*, które płacimy wszyscy do dziś od lat przeszło czterdziestu.

Burzliwe czasy mają to do siebie, że z jednego rozruchu rodzi się drugi, po jednych żądaniach przychodzą nowe; i robi się z tego zamięszanie coraz gorsze, które trwa, dopóki go wreszcie ktoś silny wojskiem nie stłumi. Tak bywa zwykle, tak było i w tym roku 1848.

U nas, na wieść, że w Wiedniu była rewolucya, a odtąd w Austryi będzie wolność, zjechało się wielu emigrantów, którzy już od tylu lat tęsknili za ojczyzną. Byli między nimi i ci, co urządzali mniemane powstanie roku 1846, a przez rozruchy i zawichrzenia chcieli zbawić ojczyznę. Znaleźli i na miejscu takich, co im wierzyli i myśleli jak oni. Zaraz też, zamiast roztropnie korzystać z pomyślnej zmiany, jaka w Austryi zaszła, zaczęli głośno gadać, radzić o rzeczach, których zrobić nie mieli siły, grozić, burzyć się. Rząd czekał tylko na sposobność, żeby się ich pozbyć, a polski kraj trzymać jak dawniej w ucisku i w strachu. W kwietniu, w same Wielkanocne

[1]) Gwardya Narodowa składała się nie z żołnierzy, ale z obywateli samych, i wybierała sobie dowódców i oficerów. We Francyi trwała dość długo, w Austryi tylko kilka miesięcy.

Święta, zaszła w Krakowie jakaś bójka między kilkoma żołnierzami a robotnikami. Publiczność zaczęła się ujmować za robotnikami; władze wojskowe widziały w tem bunt, i nastąpiło bombardowanie miasta, szczęściem nie długie i nie bardzo szkodliwe. W jesieni znowu bombardowany był Lwów, i z równie błachych powodów. W Poznańskiem jeden z przywódców emigracyjnej burzliwej partyi (nazywał się Mierosławski), próbował zrobić jakieś nowe powstanie, ale był przez wojsko pruskie pobity.

W krajach austryackich wrzało wszędzie, i wybuchły rozruchy groźne. Praga była zbombardowana, a na ulicach były walki dość krwawe. Włosi w Lombardyi i Wenecyi gotowali się do powstania, a na pomoc im szedł sąsiedni król Sardyński z swojem wojskiem. Węgrzy, oddawna krzywdzeni w swoich narodowych prawach, upominali się o nie, i grozili, że oderwą się od Austryi — podnieśli też w końcu wojnę.

Nie dość na tem, w samym Wiedniu powtarzały się raz po razu groźne zaburzenia. Cesarz Ferdynand schronił się do Tyrolu. Pod jesień stan rzeczy tak się pogorszył, że na ulicach Wiednia były walki; tłum ludzi wpadł do gmachu Ministeryum wojny i powiesił Ministra wojny Latoura; a że wojska w Wiedniu było mało, bo było we Włoszech i na Węgrzech, sprowadzono posiłki zdaleka, aż z Kroacyi. Własną stolicę Cesarza musiało wojsko dla niego zdobywać; po zdobyciu (jak zwykle) srogi odwet, wyroki śmierci, rozstrzeliwania, więzienia.

Takie były skutki długich, niesumiennych, a, jak się pokazało i nieroztropnych rządów księcia Metternicha.

W takim stanie rzeczy, dla państwa austryackiego bardzo niebezpiecznym, Cesarz Ferdynand nie czuł się na siłach rządzić dłużej, i złożył koronę na rzecz swego synowca, dziś panującego Cesarza Franciszka Józefa. Wstąpił on na tron 2-go grudnia 1848 roku, mając zaledwo lat ośmnaście. W tym wieku nie mógł mieć potrzebnego do rządów doświadczenia, musiał spuszczać się na starszych, a ci nie zawsze dobrze radzili. Rozumieli oni słusznie, że trzeba pokonać powstanie we Włoszech i na Węgrzech; ale tego nie rozumieli, że jeżeli zaczną rządzić po dawnemu, to zamiast spokoju przygotują tylko nowe zaburzenia. We Włoszech wojska cesarskie, prowadzone przez Radeckiego, pobiły króla Sardyńskiego pod Nowarą, a potem nastał tam pokój. Ale na Węgrzech było trudniej. Rok prawie trwała tam wojna — było w niej po stronie węgierskiej dużo Polaków w osobnych pułkach, pod dowództwem jenerałów, jeszcze z 1831 roku, Bema i Dembińskiego. Wojska cesarskie nie mogły zwyciężyć tego powstania. Dopiero na pomoc (w lecie roku 1849), przyszły wojska rosyjskie (ciągnęły wtedy do Węgier przez Galicyę). Wtedy Węgrzy pod przemagającemi siłami złożyli broń.

Spokój był przywrócony, ale ze spokojem wróciły dawne błędy rządu; dawne złudzenia, że można Węgrów, Włochów, Polaków, i wszystkich innych przerobić na Niemców. Metternicha nie było, ale jego duch został, i jego sposób rządzenia. A z tego wynikła ciągła, choć tłumiona niechęć w poddanych, nienawiść do rządu, a przez nią nowe dla Austryi niebezpieczeństwa, na które później dopiero Cesarz, gdy do lat mezkich doszedł,

sprawiedliwością i mądrością swoją poradził. W Niemczech i we Włoszech były takie same zaburzenia we wszystkich mniejszych państwach, ale najgorsze były w Rzymie.

Tam od roku 1846 siedział na Stolicy Apostolskiej Pius IX. Wiedział on dobrze, że dawny sposób rządzenia był zły, i od tego zaczął, że poddanym swoim w państwie kościelnem z własnego popędu dał więcej praw i wolności. Nieszczęściem, w tych ludziach którzy robią zaburzenia, była (i jest) nienawiść nietylko świeckich rządów, ale i chrześcijaństwa samego: a przedewszystkiem Kościoła katolickiego. Mówią oni i uczą, że wiara jest przeciwna rozumowi i z postępem rozumu upaść musi, a posłuszeństwo Kościołowi, że się nie zgadza z wolnością! To też w nich jest najgorsze. Dlatego oni nic nie naprawiają nigdy, tylko ludzi i społeczeństwa całe psują; nigdy nic nie budują, tylko zawsze burzą i walą.



OJCIEC ŚWIĘTY PIUS IX.

Gdy więc zaczęły się rewolucye w całej Europie, zaraz ci burzyciele podnieśli głowę i w Rzymie. Chodziło im niby o to, żeby Papież oświadczył się za niepodległością Włoch i wydał wojnę Austryi: naprawdę o to, żeby państwo kościelne zabrać, a Kościół sam do upadku doprowadzić. Pius IX odpowiadał, że jest ojcem wszystkich wiernych, i wojny żadnemu z nich wydawać nie może. Wtedy powstał w Rzymie rozruch wściekły i krwawy. Minister Papieża, Rossi, zamordowany: Papież sam oblegany w swoim pałacu, strzeżony przez swoich żołnierzy (bardzo nielicznych), łatwo mógł być uchwyconym i zabitym. Umknął w nocy, w przebraniu, i schronił się w Gaecie, mieście należącem do królestwa Neapolitańskiego. W Rzymie obwołano Rzeczpospolitą, bezbożna rewolucya szalała; żołnierze jej zatykali komunikanty na kaski i chełpili się tem świętokradztwem. Aż we Francyi obudziło się chrześcijańskie sumienie. Rząd wysłał wojsko; wojsko zajęło Rzym, którego rewolucyjni żołnierze nie bardzo odważnie bronili, i wtedy Pius IX do Rzymu powrócił. Ale taka była w tych wichrzycielach włoskich nienawiść Kościoła i papiezkich rządów, że bezpiecznym od nich Pius IX nie był nigdy. Dlatego kilka tysięcy francuskiego wojska stało w Rzymie zawsze przez lat przeszło dwadzieścia.

W samej Francyi, po wypędzeniu króla Ludwika Filipa, obwołano Rzeczpospolitą; ale po kilku tygodniach radości, zaczęły się tam rzeczy psuć. Bezrząd i zniszczenie, czyli tak zwana Rewolucya, nie przestaje na tem, że rząd monarchiczny zmieni na republikański: ona chce walić wszelki rząd, który utrzymuje w kraju porządek i prawo. Podniosła też w Paryżu srogi bunt, w miesiącu czerwcu, który wojsko po trzech dniach boju na ulicach z trudem stłumiło. W jesieni drugi taki bunt, drugie bitwy i nieszczęścia. Wtedy wypłynął na wierzch człowiek, którego dotąd mało znano, a nawet lekceważono, książę Ludwik Napoleon Bonaparte, synowiec cesarza Napoleona I-go. Ten marzył od młodości o tem, żeby we Francyi przywrócić cesarstwo, i osiąść na tronie stryja. Teraz skorzystał zręcznie z powszechnego zamięszania. Wojskowym przypominał zwycięstwa i chwałę Napoleona; obywatelom obiecywał wolność i równość przy porządku: i tak sobie ludzi pozyskał, że wybrano go Prezydentem Rzeczypospolitej. Ostrożny i wyrachowany, nie zmienił formy rządu, nie śpieszył się z ogłoszeniam cesarstwa, czekał dobrej sposobności. Tej dostarczyli mu znowu wichrzyciele i burzyciele. Jątrzyli oni umysły, szerzyli niepokój, wywoływali rozruchy, wreszcie pod koniec roku 1851 podnieśli nowy bunt w Paryżu. Spokojni i porządni obywatele byli tem oburzeni i przerażeni. Skorzystał z tego Prezydent Rzeczypospolitej. Bunt stłumił; ale oświadczył, że przy tej formie rządu spokój utrzymać się nie da, że trzeba silniejszej władzy w ręku jednego, i ogłosił się cesarzem, pod imieniem Napoleona III-go.

Tego nowego cesarstwa we Francyi przestraszyły się wszystkie państwa w Europie. Anglia jedna była nowemu cesarzowi przychylną: wszystkie inne państwa bały się, że synowiec zechce je zaczepiać i najeżdżać, jak niegdyś stryj. Napoleon III nie był wojowniczy, owszem ostrożny raczej i spokojny. Ale wyniesiony na tron przypadkiem i zręcznym wybiegiem a nie prawem, potrzebował jakoś to swoje panowanie usprawiedliwić i utrwalić. Francuzi byli upokorzeni tem, że za króla Ludwika Filipa powaga ich w świecie była trochę upadła: Napoleon III myślał, że zwycięstwo i chwała uradują naród, pogłaszczą jego dumę, i przywiążą go do Cesarstwa. Chciał więc wojny i potrzebował jej. Powód do wojny i zaczepkę dała mu Rosya.

W Ziemi świętej, gdzie jest grób Chrystusa Pana i wszystkie miejsca pamiętne z Pisma św., Francya od wieków miała opiekę nad prawami katolików, ich kościołami, klasztorami i zakładami. Rosya ma znowu taką opiekę nad schizmatykami; ale wykonując tę opiekę, wdziera się ustawicznie w prawa katolików, i krzywdzi ich, a chce ponału z czasem wszystkie święte miejsca dla siebie zagarnąć. Właśnie zaszedł taki przypadek. Francya upomniała się o katolickie prawa i interesa: Rosya odpowiedziała hardo i po grubijańsku. Począł się spór, zrazu na słowa i pisma. Że zaś Francya i Anglia bały się Rosyi i jej potęgi, zwłaszcza gdyby zabrała Turcyę (do czego Rosya zawsze dąży), więc ze sporu słownego zrobiła się (w roku 1854) wojna. Po jednej stronie Francya, Anglia i Turcya, po drugiej Rosya. Nazywa się ta wojna *Krymską*, bo toczyła się w Krymie, półwyspie na morzu Czarnem, w posiadaniu Rosyi.

Łatwo pojąć, jak w Polsce serca zabiły od radości i nadziei. Teraz stanie się to, czego kraj i emigracya wyglądały od tak dawna: Napoleon III




GROBOWIEC (SARKOFAG) A. MICKIEWICZA W PODZIEMIACH KATEDRY NA WAWELU.

zrozumie to, czego Pierwszy nie pojął, i zrobi to, co tamten zaniedbał: zabezpieczy świat od Rosyi, przez przywrócenie niepodległej Polski. Tak u nas myślano; i naprawdę, jeżeli Francya i Anglia chciały, żeby Rosya światu

groźną nie była, to powinny były uderzyć na nią w Polsce. Wojna prowadziła się nad morzem Czarnem, chodziło bowiem o to, żeby Turcyę od Rosyi zabezpieczyć. Cesarz francuski miał ten zamiar, żeby pobiwszy Rosyę w Krymie, przejść potem na Ukrainę, a ztamtąd do środka ziem polskich. W tej myśli i nadziei formowały się osobne pułki polskie w Turcyi. Ale Anglicy bali się, że odbudowana Polska wzmocniłaby bardzo Francyę, zazdrościli, i chcieli poprzestać tylko na niszczeniu rosyjskich miast portowych i okrętów. Napoleon III kiedy to spostrzegł, powiedział sobie, że dla tak małego skutku długo wojować nie warto, i zaczął myśleć o pokoju. Jego wojsko już odniosło kilka świetnych zwycięztw, okryło się chwałą, w końcu zdobyło Sebastopol, rosyjską twierdzę w Krymie, która uchodziła za niezwyciężoną, mógł więc cesarz wojnę skończyć bez upokorzenia, a nawet z chwałą.

W Rosyi cesarz Mikołaj już nie żył. Umarł po bardzo krótkiej chorobie w początkach roku 1855. Mówiono wtedy, że nie umarł naturalną śmiercią, ale się sam otruł. Widział się pobitym we wszystkich bitwach; miarkował, że zwyciężyć nie zdoła, i że chcąc Rosyę uchronić od zguby, będzie musiał prosić o pokój. Jego duma nie mogła znieść tego upokorzenia, i dlatego odebrał sobie życie. Nastąpił po nim jego syn, Aleksander II-gi. Ten zaczął zaraz okazywać się skłonnym do zawarcia pokoju; Napoleon po wzięciu Sebastopola pragnął go także, i zawarto też pokój w Paryżu, w roku 1856.

Dla Polaków był to zawód wielki i nieszczęście. Spodziewali się oni, że przynajmniej w traktacie pokojowym umieszczony będzie warunek, że Rosya dochowa Polsce praw, przyznanych na Kongresie wiedeńskim w roku 1815; ale Rosya nie chciała o tem słyszeć, Francya nie nalegała, i skończyło się na ustnych obietnicach, że cesarz Aleksander los Polaków poprawi.

Dwadzieścia pięć lat emigracyjnych starań i zabiegów, żeby sprawę polską przyłączyć do wielkiej wojny z Rosyą i w ten sposób ją rozwiązać, skończyło się na niczem.

Obok tego nieszczęścia spadła na nas wtedy ciężka strata. Adam Mickiewicz, który pojechał do Konstantynopola, żeby tam formacyi polskich pułków pomagać, zachorował na cholerę i umarł 28-go listopada 1855 r. [1]).

Młody cesarz rosyjski Aleksander II nie był z natury taki srogi, jak jego ojciec Mikołaj; był raczej łagodny, ale przytem był słaby i chwiejny. A zwykle ludzie słabi, jak się raz uprą i zatną, to idą już na oślep, zatrzymać się nie mają mocy, i wtedy w srogości nieraz przechodzą złych. Pokazało się to z czasem i na Aleksandrze II.

W pierwszych latach jego panowania rządy rosyjskie w Polsce były cokolwiek lżejsze. W prawach nie zmieniło się nic; a nowy cesarz za pierwszego pobytu w Warszawie powiedział głośno do przyjmujących go oby-

[1]) Ciało jego przewiezione do Francyi, złożone było na cmentarzu w Montmorency, obok wielu polskich wygnańców. Ztamtąd sprowadzone do Krakowa, pochowane było uroczyście pod Kościołem na Zamku 4-go lipca 1890 roku.

wateli, że „wszystko, co jego ojciec zrobił, było dobre i słuszne, a gdyby „wam jeszcze chciało się *marzyć*, jak dawniej, to ja potrafię być srogim, „i będę się srożyć". Ale pomimo tej groźby srogość rządu zwolniała cokolwiek. Prześladowań nowych nie było; książki i dzienniki miały więcej wolności. Pozwolono na zawiązanie w Królestwie *Towarzystwa rolniczego*, w którem wszyscy obywatele zajmowali się sprawami gospodarstwa wiejskiego. Prezesem Towarzystwa był Andrzej Zamoyski, człowiek używający słusznie największej w kraju powagi i ufności. Po paru latach, kiedy we wszystkich krajach polskich pod rządem rosyjskim, coraz częściej i coraz głośniej panowie domagali się zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia włościan, rząd pozwolił Towarzystwu rolniczemu obmyśleć i przygotować sposób tej poprawy. Wzięło się też ono do dzieła; a dlaczego go nie dokonało, to zaraz zobaczymy.

Było więc pod rządem rosyjskim lżej i znośniej niż za Mikołaja. Pod jednym wszakże względem nie było lżej, owszem było tak srogo i krwawo jak za niego, to pod względem religijnym. Na Litwie, kilka wsi niegdyś unickich, a za Mikołaja gwałtem zmuszonych do schizmy, słysząc, że nastał cesarz nowy i lepszy, podało prośbę, żeby im wolno było wrócić do katolickiego Kościoła. Zapłacili ciężko to zuchwalstwo biedni męczennicy. Krew znowu lała się strumieniami, więzienia i sybirskie kopalnie znowu zaludniły się nieszczęśliwymi; *Sprawa Dziernowicka* głośną się stała w świecie, i powiększyła długi szereg okrucieństw spełnianych przez Rosyę na Kościele i Jego wiernych [1]).

Cesarz Napoleon tymczasem, trochę z przekonania, a trochę dlatego, żeby niespokojnych Francuzów zatrudnić i olśnić chwałą, wdał się w nową wojnę. Myślał on i wierzył szczerze, że każdy naród ma prawo do swojej ziemi i do niepodległości. Do tego jego przekonania umieli trafić Włosi, a głównie król Sardyński, Wiktor Emanuel, i jego minister, hrabia Cavour. Tłómaczyli oni Napoleonowi, że panowanie Austryi w Lombardyi i Wenecyi sprzeciwia się tej zasadzie *narodowości*, którą cesarz uznawał i głosił. Pocichu zaś obiecywali sobie, że, jeżeli Francuzi zdobędą i im oddadzą Lombardyę, to potem oni już wypędzą wszystkich mniejszych książąt włoskich, a zrobią jedno wielkie królestwo włoskie pod królem Sardyńskim.

Napoleon dał się nierozważnie w tę wojnę wciągnąć. Prowadził ją z wielkiem powodzeniem; zwyciężył wojska austryackie w kilku bitwach (największe były pod Magentą i pod Solferino); Cesarz Franciszek Józef widział się zmuszonym dalszej wojny zaniechać, zawarł pokój (w Villa Franca w roku 1859), i Lombardyę odstąpił. Wenecya przy nim została na czas jakiś.

Francya nie wyszła dobrze na tej sprawie. Zyskała wprawdzie dwie prowincye, Sabaudyę i Niceę, które jej Sardynia za pomoc odstąpić musiała; ale zamiast kilku małych i słabych książąt, miała teraz w sąsiedztwie

---

[1]) Szczegółowa wiadomość o tej sprawie w książeczce wydanej w r. 1891 w Krakowie p. t. „O Rusi i Rusinach".

swojem wielkie Królestwo włoskie, które nietylko Francyi nie pomagało gdy ona była w potrzebie, ale jeszcze łączyło się zaraz i stale z jej nieprzyjaciółmi.

Zaledwie zaś skończyła się ta wojna, pokazały się nowe i bolesne zawikłania we Włoszech. Księstwa: Toskanii, Parmy, Modeny, Królestwo neapolitańskie, uznały króla Sardyńskiego swoim monarchą, i dokonały zjednoczenia Włoch. Ale w samym środku tego kraju leżało państwo Papieskie. Włosi zaczęli żądać, żeby i to było zabrane: że Rzym powinien być stolicą ich Królestwa. Król wstydził się trochę takiej oczywistej grabieży, a więcej bał się zaczepiać Francuzów, którzy zawsze trzymali Rzym i jego najbliższą okolicę. Na Rzym więc nie szedł: ale ulegając niby przemożnej woli poddanych, zabrał większą część państwa kościelnego. Papieżowi został tylko Rzym i kilka mil ziemi dokoła. Pius IX ogłaszał przed całym światem, że dzieje się gwałt, przestrzegał, że to zamach nie na państwo kościelne tylko, ale na sam Kościół katolicki i na wiarę. Jeżeli Papież nie będzie udzielnym panem w swoim kraju, to król, w tym kraju panujący, będzie mógł jak zechce uciskać go i w sprawowaniu władzy duchownej go krępować. Ale na to nie zważał nikt. Rząd włoski w zabranym papieskim kraju grabił dobra duchowne, zamykał klasztory, zaprowadzał szkoły, w których nauka była wprost niechrześcijańską, młodych kleryków zmuszał do służby wojskowej: słowem pokazało się, że, jeżeli królowi chodziło o zjednoczenie Włoch, to innym chodziło nie mniej ale chyba więcej, o obalenie Kościoła i zniszczenie wiary. Ale oprócz wojska francuskiego, które strzegło Rzymu, nie miał Papież pomocy ani opieki żadnej. Rządy katolickie, z wyjątkiem francuskiego, nie troszczyły się o niego wcale; protestanckie i rosyjski cieszyły się z jego nieszczęścia. W społeczeństwach zaś jedna część, bezbożna, tego tylko chciała; druga mówiła lekkomyślnie, że jak Papież nie będzie miał władzy świeckiej, to dopiero będzie mógł oddać się zupełnie sprawom duchownym.

Mała liczba tylko oświadczała się za Papieżem. Z tej ludzie młodzi wstępowali do papiezkiego wojska; najwięcej było w niem Francuzów. Wojsko to musiało się bić i biło się walecznie. Rząd włoski bowiem sam się na Rzym nie wyprawiał, ale patrzał przez szpary, jak jego jenerał Garibaldi zbierał ochotników i wyprawy takie urządzał. Było ich parę; a Papież zaczepiony bronić się musiał. Za każdym też razem wojsko jego pobiło i odparło ochotników Garibaldego [1]). Tak stała podówczas ta sprawa władzy świeckiej Papieża, która później skończyła się zaborem Rzymu i obróceniem go na stolicę Królestwa włoskiego.

W Austryi tymczasem po nieszczęśliwej wojnie włoskiej, rzeczy stały źle. Skarb był pusty, kredyt zachwiany, u poddanych niechęć do rządu. W Węgrzech zwłaszcza usposobienie od roku 1848 bardzo nieprzychylne.

[1]) W jednej z tych bitw odznaczył się i dostał krzyż wojskowy Jan Popiel (syn ś. p. Pawła Popiela), oficer zrazu w wojsku austryackiem, potem w papiezkiem, a w końcu w powstaniu roku 1863.



HR. ANDRZEJ ZAMOYSKI
(podług stalorytu A. Oleszczyńskiego).

z którego w danym razie nieprzyjaciel jaki łatwo mógłby był skorzystać. Wtedy Cesarz Franciszek Józef rozważył i uznał, że sposób najlepszy, żeby państwu przywrócić jedność i siłę wewnątrz, a powagę u obcych, jest ten, iżby ludziom przyznać więcej obywatelskiej wolności, a ludom więcej wolności narodowej. Z własnego popędu, bez żadnych zaburzeń i żadnego nacisku postanowił Cesarz nadać konstytucyę, czyli władzę prawodawczą powierzyć posłom, przez lud do sejmów wybranym. Ministrem Cesarza był wtedy hrabia Agenor Gołuchowski [1]) (przedtem i potem Namiestnik w Galicyi), i ten utwierdzał Cesarza w tym zamiarze, i ułożył (w październiku roku 1860-go) manifest, którym Cesarz tę wolę swoją poddanym swoim oznajmiał.

Na wiosnę następnego roku, 1861, zebrał się po raz pierwszy Sejm galicyjski, i wszystkie inne sejmy krajowe, a po nich Rada państwa w Wiedniu.

W całym tym przeciągu czasu, od roku 1831, aż do 1863, najznośniej było Polakom pod rządem pruskim. Król Fryderyk Wilhelm IV był człowiek rozumny i uczciwy; urzędnicy, choć niemczyć chcieli, jednak praw swoich pruskich trzymali się ściśle, i nie naciągali ich na szkodę Polaków. Powinności poddańcze zniesione były oddawna, i szybko; przez to usunięty był powód do niechęci między uboższym a bogatszym Polakiem. Raz zrobił rząd pruski zamach na Kościół: żądał, żeby przy zawieraniu małżeństw między katolikami a protestantami, Kościół odstąpił od warunku, pod którym jedynie na takie małżeństwa zezwala, to jest, żeby dzieci były katolikami. Na to oczywiście władze kościelne przystać nie mogły. Arcybiskup gnieźnieński i poznański, Marcin Dunin, poszedł do więzienia; taksamo arcybiskup koloński (Kolonia, miasto w Niemczech nad Renem). Ale to prześladowanie złączyło tylko ściślej wiernych z Biskupami, i posłużyło do rozbudzenia i ustalenia ducha katolickiego w Wielkopolsce, do zjednoczenia duchownych, szlachty i ludu wiejskiego w miłości i Kościoła i Ojczyzny.

Nie brakło też w owym czasie ludzi dzielnych, którzy obu tym sprawom dobrze służyli. Oprócz pomienionego świątobliwego Arcybiskupa, była młodszych duchownych znakomitych liczba znaczna. Tak ksiądz Jan Janiszewski, później sufragan poznański, kaznodzieja, mówca świecki, pisarz wyborny, do nauki niemniej jak do działania zdolny, a kapłańskiego ducha i stałych przekonań pełen, żarliwy uczuciem, potężny umysłem. Ksiądz Aleksy Prusinowski, kaznodzieja nie małej sławy. Ksiądz Korytkowski, prałat kapituły gnieźnieńskiej, ksiądz Rzeźniewski, Respadek, i wielu innych, z pośród których dziś jeszcze żyje i święci zasługą ksiądz Edward Likowski, sufragan poznański. Między Jezuitami (w Śremie), Filipinami (w Gostyniu), było też wielu takich, którzy religijne życie tego kraju rozwijali gorliwie, a życie polskie utrzymywali. Odznaczał się w tem duchowieństwie poznańskiem szczególną zdolnością i gorliwością ksiądz Jan Koźmian. Ten bił się w roku 1831, a potem na emigracyi należał do tych, co pierwsi zaczęli

[1]) Portret zobacz na str. 145.

wyznawać i szerzyć przekonania katolickie. Z czasem dostał pozwolenie osiedlenia się w Poznańskiem; ożenił się (z córką jenerała Chłapowskiego), i zajmował się czynnie gospodarczemi i politycznemi sprawami, i piśmiennictwem. Ale po kilku latach stracił żonę, a wtedy porzucił świat i wyświęcił się na księdza. Służył odtąd Panu Bogu i Kościołowi jeszcze gorliwiej i czynniej, stał się prawie duszą rządów dyecezyi; ale świeckich spraw kraju dlatego nie zaniedbywał. Ze szczególnem staraniem wychowywał młodzież na dobrych katolików i Polaków; urządził w tym celu zakład, którym kierował. Przez to wszystko należał do najpotrzebniejszych i najzasłużeńszych ludzi w kościele polskim i w kraju. Umarł w roku 1877.



X. JAN KOŹMIAN.

Jego brat Stanisław, towarzysz w wojnie, na wygnaniu, i we wszystkich pracach późniejszych, był człowiekiem świeckim, żonatym, a odznaczył się jako pisarz, poeta, uczony i dziennikarz. Pisał i dobrze i pięknie, razem z bratem wydawał pismo miesięczne *Przegląd Poznański*, w katolickich zasadach najstateczniejsze, a w świeckich sprawach bardzo rozumne. Zasłużył się, między innemi pismami, przekładem na język polski dzieł największego angielskiego poety Szekspira. Był przez długie lata prezesem, i rzec można duszą poznańskiego *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*. Umarł w roku 1885.

Wielką ozdobą i chwałą Wielkopolski byli dwaj jenerałowie: Dezydery Chłapowski[1]) i Franciszek Morawski. Oba odbyli świetnie wszystkie wojny napoleońskie. Za Królestwa Kongresowego Chłapowski nie mógł znosić dziwactw Wielkiego Księcia Konstantego i po kilku latach wystąpił z wojska[2]) i gospodarował u siebie w Turwi. Co robił podczas wojny roku 1831, a mianowicie w wyprawie na Litwę, to wspomnieliśmy wyżej. Po wojnie wrócił do domu, a że przez czas młodości był na wojnach, więc majątek bardzo był zaniedbał. Wziął się teraz do pracy ziemiańskiej i go-

[1]) Portret tegoż był na str. 74.

[2]) Był szwagrem Wielkiego Księcia, miał za sobą Antoninę Grudzińską, najmłodszą siostrę wspomnianej wyżej Księżnej Łowickiej.

spodarskiej. Surowy dla siebie, siebie i drugich trzymający w żołnierskiej karności, oszczędny bardzo, był jednym z tych, co zrozumieli najlepiej, że jeżeli chcemy utrzymać swój byt narodowy, to musimy zatrzymać ziemię w swojem ręku; a na to, żeby jej nie wypuścić, musimy z nią obchodzić się mądrze, czyli dobrze gospodarować. Jenerał nietylko dawał przykład umiejętnego gospodarstwa, i podniósł je przez to w całej prowincyi, ale przez książki które pisał [1]), uczył wszędzie, gdzie po polsku czytano. Lepsze, światlejsze pojęcia i wiadomości o uprawie roli szerzyły się w Polsce przez jego pisma. Katolik twardy a gorący, żołnierz, ziemianin wzorowy. Jenerał Chłapowski umarł w późnej starości w Turwi, w roku 1879.



JENERAŁ FRANCISZEK DZIERŻYKRAJ MORAWSKI
(według sztychu M. Jaroczyńskiego).

Jenerał Morawski nie wystąpił z wojska za Królestwa Kongresowego. W roku 1831 był ministrem wojny; po wzięciu Warszawy wywieziony w głąb Rosyi. Uwolniony po kilku latach osiadł na ojczystej wsi Luboni i gospodarował. Ale o ile jenerał Chłapowski był surowy, o tyle ten łagodny, wesoły, dowcipny. Był też jednym z najlepszych pisarzy swego czasu. Wiele wierszy, powiastek, bajek [2]), których uczymy się w dzieciństwie, a z przyjemnością czytamy przez całe życie, są jego pióra. Umarł w roku 1862.

Edward Raczyński, właściciel Rogalina, był człowiek rozumny, Polak gorący, który całą duszą chciał swemu krajowi służyć, i wiele mu dobrego zrobił. Tytus Działyński z Kórnika, zebrał u siebie bardzo znaczną bibliotekę, a co ważniejsze, wydawał swoim kosztem historyczne dokumenta, odnoszące

[1]) Czwarte wydanie dziełka Chłapowskiego p. t. „O rolnictwie", wyszło w roku 1875. (Cena 50 ct.).

[2]) Bajki Fr. Morawskiego, Poznań 1860. (Cena 60 ct.).

się do spraw polskich. Na szczególną pamięć i wdzięczność zasługuje doktor Karol Marcinkowski. Był on synem mieszczanina z Poznania, wykształcił się na lekarza, służył chlubnie w roku 1831; potem przez resztę życia o tem tylko myślał, nad tem pracował, żeby ten kraj polski podnosić, a ludność jego oświecać i dobrze chować. Największą jego zasługą było *Towarzystwo Pomocy Naukowej*, które dotąd działa, a od założenia swego tysiące już może ubogich młodzieńców wyprowadziło na tęgich i pożytecznych ludzi.



DR KAROL MARCINKOWSKI
(według współczesnego sztychu).

August Cieszkowski, uczony bardzo, jeden z najuczeńszych ludzi w Polsce w naszym wieku (zwłaszcza w filozofii), choć uczony, był i do spraw praktycznych bardzo zdatny, i w politycznem życiu Wielkopolski bardzo zasłużony. Umarł w r. 1894. Karol Libelt, jak tamten, miał naukę filozofii za główne powołanie, ale, jak on, także należał czynnie i nieraz świetnie do wszystkich spraw krajowych. Maciej Mielżyński, za młodu świetny żołnierz z roku 1831, był przez całe życie wzorem obywatela; podobnie Gustaw Potworowski; wielu pominąć musimy dla braku miejsca. Dość, że i religijne, i polityczne życie, i piśmiennictwo, i gospodarstwo rolne, dzięki tym ludziom, trzymało się dobrze w Wielkopolsce, tak że inne części Polski stawiały ją sobie za przykład. Co zaś było najlepsze, i w czem oni nas wszystkich bardzo wyprzedzili, to że tam lud wiejski najwcześniej

obudził się w swoich uczuciach polskich, i w nich się ze szlachtą, z duchowieństwem tak złączył i razem trzymał, że żadne namowy, podstępy, sztuki, pruskie czy inne, jedności tej zerwać nie zdołały.

Król pruski nie cofnął Konstytucyi po roku 1848, były więc zawsze sejmy w Berlinie, a posłowie polscy zachowywali się w nich mądrze. Oni pierwsi zrozumieli, i nas w Galicyi swoim przykładem nauczyli, że kilkunastu czy kilkudziesięciu posłów Polaków, w wielkiem mnóstwie innych, nic znaczyć nie może, jeżeli każdy z nich będzie głosował inaczej. Ale gdyby szli wszyscy zawsze kupą, i głosowali zawsze wszyscy jednako, to takie skupione grono w każdym sejmie coś znaczyć, a czasem i sprawić potrafi. Od nich poczęła się ta solidarność posłów polskich, której trzymają się wiernie i nasi posłowie w wiedeńskiej Radzie państwa.

Posłowie Wielkopolscy im więcej okazywali rozumu i jedności, tem więcej burzyli przeciw sobie zaciekłą nienawiść pruską. Do jakich uczynków ta nienawiść nie wstydziła się dojść, to pokaże następujący przykład. W roku 1860 rozchodzi się po świecie wieść, że odkryto wielki niebezpieczny spisek polski; który ma swoje rozgałęzienie i w Poznaniu. Piszą o tem wszystkie dzienniki zagraniczne. Nie wiedzą tylko Polacy w Poznaniu, i zaczynają dochodzić, co to jest i zkąd. I cóż się pokazało? Oto że dyrektor policyi pruskiej w Poznaniu, Bärensprung, i drugi urzędnik Post, sami pisali rewolucyjne odezwy niby polskie, drukowali je zagranicą, potem do różnych osób rozsyłali, a potem niby znajdowali i oddawali rządowi jako dowód polskich spisków. Wszystko to wykrył, w Sejmie w Berlinie opowiedział, własnoręcznemi listami tego Bärensprunga i Posta dowiódł Władysław Niegolewski, długoletni, wymowny, zasłużony poseł. Zawstydzenie było wielkie; można powiedzieć, że pół Europy śmiało się z Prusaków, a oburzało na taki podły podstęp. Ale rozumie się, że ich to nie poprawiło.

Od wojny włoskiej, jak wspomnieliśmy wyżej, zaczęły między Polakami budzić się nadzieje, że po wojnie o Włochy prędzej czy później nastąpi wojna o Polskę. Ludzie rozumni, choć taką nadzieję w sercu mieć mogli, to wiedzieli dobrze, że ruszać i zrywać się na niepewne jest źle. Doświadczenia przegranej wojny roku 1831, i nieszczęśliwego usiłowania z roku 1846, dla roztropnych stracone nie były. Ale młodym, płochym i do zapału skłonnym, wszystko wydaje się łatwo. W Paryżu zaś, na emigracyi, było jak wiemy jedno stronnictwo, które myślało, że coraz nowemi rozruchami trzeba Polskę światu przypominać; a jeżeli nawet z tych rozruchów wynikną klęski i nieszczęścia, to zawsze będzie z nich choć ten pożytek, że nienawiść do Rosyi będzie w Polsce tem większa. Myśleli oni przytem, że kiedy Włochom się udało, to i im udać się może; a i na to liczyli, że gdy w Polsce zacznie się powstanie, to w Rosyi samej wybuchnie rewolucya. Byli tam ludzie, którzy rząd cara chcieli zrzucić, i Polakom przyjaźń i pomoc swoją obiecywali.

Dość, że z tego stronnictwa na emigracyi zaczęły dochodzić do Warszawy zachęty, żeby też Polacy nie spali, o sobie zapomnieć nie pozwalali, ale dawali (jak to wtedy nazywano) znaki życia.

Młodzi wierzyli ślepo; starsi zrazu nie widzieli, iżby w tem mogło być co złego.

Zaczęło się od rzeczy małych, od cichych obchodów narodowych, rocznic i pamiątek. 25go lutego (w roku 1861) gromadzili się ludzie licznie po kościołach, jako w rocznicę bitwy pod Grochowem. Powtórzyło się to na trzeci dzień, 27 lutego. Wtedy jeden oddział wojska, widząc tłum zebrany na Krakowskiem Przedmieściu przed kościołem Bernardynów, dał ognia: padło pięciu ludzi!



MARGRABIA ALEKSANDER WIELOPOLSKI.

Gwałt i zgroza w całem mieście. Wojsko strzela do ludzi bezbronnych, którzy nic złego nie robią! Tych pięciu zabitych wzięto na ręce i zaniesiono ze skargą do Towarzystwa Rolniczego, które właśnie odbywało swoje coroczne posiedzenia. Komitet Towarzystwa, jego Prezes Andrzej Zamoyski, najznakomitsi obywatele miasta, udali się do Namiestnika księcia Gorczakowa z zapytaniem, co to ma znaczyć, że skargą na taki gwałt i okrucieństwo.

Namiestnik — który strzelać nie kazał — przestraszył się tego co zaszło, a widząc całą ludność miasta wzburzoną, bał się, że może przyjść do zajść ważniejszych. Żeby więc uspokoić umysły, rozporządził, żeby aż do pogrzebu owych pięciu zabitych wojsko i policya nie pokazywały się na ulicach, a porządek i bezpieczeństwo miasta oddał w ręce tych obywateli. Do cesarza zaś wysłał zaraz raport, że chcąc kraj uspokoić, trzeba mu wiele ustąpić, i przywrócić część tych praw, które mu Mikołaj był odjął.

Pogrzeb odbył się w największym porządku. W Warszawie i w kraju był spokój, i było przekonanie, że teraz coś zmienić się musi. Ale w jakiej mierze?

Żądać od Moskali, żeby dobrowolnie Polskę oddali, to rzecz próżna i niedorzeczna. A więc czego od nich żądać?

Był w Królestwie człowiek jeden, niepospolicie zdolny i mądry, nazywał się margrabia Aleksander Wielopolski. Mieszkał od roku 1831 u siebie na wsi w Chrobrzu, ale w głowie rozważał głęboko wszystkie sprawy krajowe. Ten teraz przybył do Warszawy i wyjawił takie zdanie, że o niepodległości Polski z Rosyą mówić nie można, ale można z nią mówić o Królestwie konstytucyjnem, takiem, jakie ona sama utworzyła w roku 1815, a do jakiego była obowiązana ówczesnym traktatem wiedeńskim. Chciał tedy Wielopolski, żeby tego w adresie od cesarza się domagać, ale zarazem wyrazić żal za powstanie roku 1830.

Ta myśl nie była przyjętą. Jedni sądzili, że nie godzi się potępiać wojny roku 1830, która miała prawo i słuszność za sobą; inni, że nie można prosić o Królestwo konstytucyjne przy Rosyi, bo to wyglądałoby tak, jak żeby Polska żadnych większych praw nie miała, i na tem poprzestawała.

W Petersburgu cesarz Aleksander o konstytucyi dla Polaków słyszeć nie chciał, ale rozumiał, że coś dla nich zrobić będzie musiał. Rozkazał tedy swemu Namiestnikowi w Warszawie, żeby się z Wielopolskim układał. Wielopolski oświadczył, że trzeba cały zarząd kraju oddać w ręce polskie, znieść poddaństwo, poczynając od oczynszowania włościan, zaprowadzić dobre szkoły i uniwersytet w Warszawie, Radę stanu dla wypracowywania praw, Rady powiatowe dla spraw powiatowych, a przedewszystkiem, na początek, przyznać język i szkoły. W Petersburgu zgodzono się po części na te żądania, i Wielopolski wtedy przyjął miejsce Naczelnika komisyi wyznań i oświecenia zrazu, później miejsce Naczelnika całego Rządu cywilnego w Królestwie.

To nie podobało się bardzo tej partyi, która myślała o powstaniu. Mogła bowiem wyniknąć z tego zgoda między krajem polskim a rządem rosyjskim: a im właśnie o to chodziło, żeby nie do zgody przyszło, ale do nieprzyjaźni i do zerwania. Zaczęli tedy zaraz działać przeciw Wielopolskiemu i jego zamiarom.

On zaraz w początkach swego urzędowania rozwiązał Towarzystwo Rolnicze. Towarzystwo to, przez swoje zasługi i w skutku okoliczności, doszło do wielkiej w kraju powagi. W ostatnich wypadkach zwłaszcza, po owych strzałach w miesiącu lutym, kiedy Rząd stracił głowę, ono prawie zastępowało rząd w kraju. Wielopolski rozumiał, że taka silna powaga obok rządu znajdować się nie powinna, i rozwiązał Towarzystwo. Ostatnią jego czynnością było ogłoszenie oczynszowania włościan.

Wielopolski, jeżeli nawet miał słuszność, to postąpił niezręcznie. Kraj był bardzo przywiązany do Towarzystwa; rozwiązaniem tem zraził się do Wielopolskiego i zaczął go posądzać o jakieś ukryte, nieszczere zamiary. Skorzystali też z tego zaraz ci, którzy zgody z rządem nie chcieli, ale chcieli przygotowywać powstanie. Jakoż zaraz po rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego, powtórzyły się nowe zbiegowiska na ulicach Warszawy i (dnia 8-go kwietnia) nowe strzały. Wielopolskiego, kiedy jechał do Namiestnika, żeby strzały wstrzymać, obrzucono kamieniami.

Od tej chwili poczynają się w Królestwie dwa działania obok siebie. Wielopolskiego, który chce od Rządu jak najwięcej wydobyć i kraj dobrze, a po polsku, urządzić: i tego spisku, który pomału gotuje powstanie.

Obrał ten spisek sposób zręczny, ale nieuczciwy, i nie bez obrazy Boskiej. Sposobem tym były nabożeństwa i śpiewy pobożne a patryotyczne po kościołach. A cóż w tem złego? w nabożeństwie i śpiewie, nic. Ale kiedy prości i szczerzy ludzie modlili się i śpiewali w dobrej wierze i z całego serca, to dla tych, co urządzali te tak zwane wtedy *demonstracye*, był to środek nie uproszenia łaski Boskiej, ale drażnienia ludności i rządu. Ludność przez te ciągłe śpiewy i modły wpadała w jakieś usposobienie nietrzeźwe; myślała, że jakąś pomoc Boską, jakiś cud, rychło wyprosi i wymodli. Rząd znowu, widząc powtarzające się ciągle w całym kraju te śpiewy, tracił cierpliwość. Spiskowym też było to wcale na rękę. Gdyby się wojsko dopuściło jakiego nowego gwałtu, to w takim razie ludność oburzona tem łatwiej da się pociągnąć do wybuchu.



X. Z. S. FELIŃSKI, ARCYBISKUP WARSZAWSKI

W jesieni roku 1861 umarł Arcybiskup warszawski, ksiądz Fiałkowski. Po jego pogrzebie nowe śpiewy; i tym razem nowy gwałt. Wojsko wpadło do kościoła Bernardynów, kaleczyło ludzi, przelało krew w kościele; wreszcie otoczyło kościół i trzymało w nim ludzi zamkniętych całą noc. Po rozlewie krwi władze duchowne musiały zamknąć ten kościół i inne w Warszawie.

Wielopolski tymczasem wiele otrzymał, wiele dobrego rozpoczął. Szkoły urządził doskonale, a Szkołę Główną (Uniwersytet) w Warszawie otworzył. Urzędy poobsadzał dzielnymi, tęgimi ludźmi. Rada stanu pracowała nad zniesieniem poddaństwa, nad prawem o stosunku duchownych do rządu (z większą dla nich swobodą); Rady powiatowe zaczęły wchodzić w życie. Ale spisek szerzył się coraz bardziej. Tak był urządzony, że jeden zwerbowany miał werbować pięciu innych, którzy tylko jednego znali; kto stał nad nim, kogo on słuchał, tego już nie wiedzieli. Kierowała tem wszystkiem utajona władza, złożona z ludzi niewiadomych, która się nazywała komitetem centralnym.

Kiedy Wielopolski wrócił z Petersburga jako naczelnik Rządu cywilnego, z Wielkim Księciem Konstantym, bratem cesarza, jako namiestnikiem, zamierzono obu zgładzić; zamachy te się nie udały. Kiedy Papież Pius IX zamianował nowego Arcybiskupa warszawskiego, księdza Feliń-

skiego, a ten, jak był powinien i jak mu Papież polecił, kościoły otworzył, a w katedrze z ambony ludność do spokoju upominał, zaczął się gwar i padły przeciw niemu słowa zniewagi.

Wtedy już wszyscy miarkowali, że się zanosi na rzeczy ważne, a że ich skutki mogą być bardzo złe. Nietylko rozważniejsi, ale wielu z zapalonych nawet zaczęło upominać i zaklinać, żeby się zatrzymać: ale było już za późno. Spisek rozszerzył się bardzo, ów komitet centralny rządził; a choć sam miarkował że będzie źle, to powstrzymać już nie miał mocy.

Trzeba było zacząć wcześniej, i zaraz po pierwszych *demonstracyach* powiedzieć dosyć! Nie damy się prowadzić tam, gdzie nie chcemy, do zguby a nie do zwycięztwa. Trzeba było oświadczyć głośno i licznie, że się nie chce *demonstracyi*, a około Wielopolskiego się skupić, i jego popierać. Dlaczegośmy tego nie zrobili? Dlatego — mówią jedni — że on był nielubiany, a nieraz niezręczny. Dlatego — dodają drudzy — żeśmy nie mieli odwagi powiedzieć, iż nie chcemy robić powstania, bo to mogłoby być tak rozumiane i tłómaczone, jak żebyśmy samej Polski nie chcieli. Jest prawda i w jednem i w drugiem; ale przecie główny powód był ten, żeśmy nie chcieli przestawać na jakiejś ugodzie z Rosyą, bo nam się zdawało, że prędzej czy później przyjdą takie wypadki, które nas od niej oderwą. Ale wyrachowanie było złe. Takie wypadki, jeżeli w przyszłości przyjść miały, to byłyby przyszły i tak; a cobyśmy byli przez te lata sił i znaczenia zyskali, ile klęsk i wyniszczenia uniknęli, to byłoby naszym zyskiem.

To złe wyrachowanie opłaciliśmy też rychło i srogo.

Wielopolski, widząc wzburzenie w całym kraju, i widząc, że cała młodzież szkolna i rzemieślnicza jest pod rozkazami komitetu centralnego, osądził, że najpewniejszym sposobem uspokojenia kraju będzie, wziąć tę wzburzoną młodzież do wojska. Rozpisał brankę. Ci młodzi, którzy mogli być wzięci, ich rodziny, wpadli w oburzenie tem większe. Rząd, widząc to, przyspieszył termin branki. Zagrożeni zaczęli uciekać, kryć się po lasach, zbierać się w większe kupy. Komitet centralny zapowiedział, że ich wziąć nie da, że obroni. Sposobu po temu nie miał. Zawierzyli; wyszli z Warszawy do lasów. Od tego, w styczniu roku 1863, zaczęło się powstanie, którego skutki zobaczymy w ostatnim rozdziale tych naszych stuletnich dziejów.



VII.

## Polska po roku 1863.

Nie będziemy tu opowiadali samego powstania roku 1863. Trwało ono mniej więcej rok. Zaczęło się w styczniu 1863, a ostatnie, bardzo już rzadkie utarczki, zdarzały się jeszcze w początkach roku 1864. Większych bitw nie było, ani większych połączonych sił zbrojnych. Małe oddziały

powstańców, rozmaicie uzbrojone, gromadziły się po lasach, łączyły się z sobą, wymykały się przed wojskiem rosyjskiem, kiedy to było w większej sile, napadały na mniejsze oddziały i takie nieraz rozbijały. Ale zwykle tak się kończyło, że nieprzyjaciel ściągał parę lub kilka pułków z armatami; oddziały powstańcze nie mogły takiej sile dać rady, i bywały rozbite. Rozbite schodziły się znowu, i zjawiały się w innej okolicy. Jeżeli to było blizko granicy galicyjskiej, to ludzie przechodzili tę granicę potajemnie, i tu zaopatrzeni w broń wracali znowu. Było takich oddziałów powstańczych najwięcej w Królestwie Polskiem; ale były i wszędzie indziej, na Litwie, na Żmudzi, na Wołyniu, na Ukrainie. Odwagi i waleczności było wiele ze strony polskiej; bili się nieraz i ginęli jak bohaterowie; a kto na polu bitwy nie zginął a był wzięty do niewoli, ten albo był rozstrzelany, albo powieszony, albo zagnany na Sybir. Okrucieństwa, jakich w tym czasie dopuszczał się rząd rosyjski, nie dadzą się ani zliczyć ani spamiętać. Kto tylko był posądzony, że coś o powstańcach wiedział, szedł do więzienia, a z więzienia wielu na szubienicę, więcej na Sybir. Jeżeli w czyim lesie byli powstańcy, albo z folwarku wzięli żywność dla siebie i paszę dla koni, tam potem wpadali kozacy, rabowali, palili, ludzi nieraz mordowali, lub związanych odstawiali do więzienia. W Królestwie Polskiem pastwili się tak tylko nad dworami; ale na Litwie, gdzie się jaki oddział pokazał, tam wsie całe i zaścianki równali z ziemią, a ludność z kobietami i dziećmi pędzili gdzieś w głąb Rosyi, albo na Sybir.

Ostatnie zwycięstwo musiało zostać przy tych, którzy mieli większą siłę: kilkadziesiąt, choćby kilkaset małych oddziałów rozprószonych po wielkiej przestrzeni kraju, nie mogło przemódz ogromnego wojska, regularnego, wyćwiczonego, i opatrzonego we wszystkie wojenne przybory i potrzeby. Dobry koniec powstania był możliwy tylko w takim razie, gdyby za niem, a przeciw Rosyi, były się oświadczyły wielkie państwa europejskie. Tego się Rosya bała bardzo: a to przez jakiś czas wydawało się możliwem. Sumienie ludzkie było wtedy czulsze jak dziś: opinia publiczna w Europie była uczciwsza. Dobre prawo Polski, a niegodziwe postępki Rosyi, były powszechnie rozumiane i uznane. To też kiedy powstanie wybuchło, wszyscy ludzie uczciwi życzyli mu dobrze, a objawiali to tak wyraźnie i silnie, że nawet rządy musiały pójść za ich głosem. Trzy państwa: Francya, Anglia, i Austrya, robiły Rosyi uwagi i przedstawienia, w tym samym duchu i prawie w tych samych słowach. Po takich przedstawieniach (zwanych urzędownie notami) zwykle dzieje się tak, że albo ten rząd, który je odbiera, ustąpi, i robi to czego od niego żądają, albo odpowiada odmownie, a wtedy ci drudzy grożą mu wojną, a jeżeli jeszcze nie ustąpi, wojnę mu wypowiadają. Zdawało się więc, że po trzech notach (francuskiej, angielskiej i austryackiej) Rosya ustąpi, i zgodnym sposobem przyzna Polsce jakiś byt narodowy, odrębny. Ale ona odpowiedziała hardo, że to jej wewnętrzne sprawy, do których inni nie mają prawa się mieszać. Po takiej odpowiedzi dla tych trzech państw obraźliwej, świat czekał co one zrobią, i myślał, że wyślą do Rosyi noty nowe, ostrzejsze, przed któremi ona się cofnie. Ale zeszło na tem czekaniu parę miesięcy, a te państwa nie robiły żadnego

wspólnego kroku. Jeden cesarz francuski, Napoleon III-ci wydał odezwę do wszystkich państw europejskich, w której mówił, że wiele spraw ważnych, Polska między innemi, potrzebuje rozwiązania i wnosił, żeby wszystkie wysłały swoich pełnomocników na wspólny zjazd (kongres), celem zgodnego, pokojowego ułożenia tych spraw. Ale od wszystkich odebrał odpowiedź odmowną; nawet od Anglii, która aż dotąd postępowała z nim zgodnie.

Jaki był powód, że się tak Anglia i Austrya cofnęły? Że im się nie chciało podejmować wojny z Rosyą za Polaków, to łatwo zrozumieć. Wojna jest rzecz trudna, kosztowna, straszna, a zawsze niepewna; nie dziw, że nikt nie rad jej prowadzić, a kto ją prowadzi, to dla własnego interesu albo bezpieczeństwa, nie dla miłości drugich. Ale, że te państwa, upomniawszy się raz u Rosyi za Polską, potem z ujmą swojej powagi i godności zniosły dumną odpowiedź rosyjską, i schowały tę obelgę do kieszeni, to było dziwniejsze.

Sprawił to człowiek, o którym teraz wspomnieć wypada, bo swoją śmiałością i zręcznością przemienił zupełnie stosunki polityczne w Europie, a teraz właśnie przy tem powstaniu polskiem doszedł do wielkiego znaczenia i wpływu.

Nazywał się Otto Bismarck; był posłem pruskim zrazu we Frankfurcie przy Rzeszy niemieckiej, potem przy dworze rosyjskim w Petersburgu.

Prusy były z pięciu wielkich państw europejskich [1]) najmniejsze i najsłabsze. Ale zawsze o tem marzyły i po cichu do tego dążyły, żeby Austryę osłabiać, jej wpływ i przewagę w Niemczech podkopywać, z czasem ją ze związku Rzeszy niemieckiej wyrzucić, a potem dokonać zjednoczenia Niemiec pod zwierzchnictwem protestanckich Prus. Ale pokusić się o wykonanie tego zamiaru Prusy nie śmiały; nie czuły się na siłach do tak wielkiego przedsięwzięcia.

Bismarck, powołany właśnie przez króla Wilhelma I-go na pierwszego ministra, z dziwną przebiegłością ocenił, że teraz może być dobra sposobność do zrobienia pierwszych kroków ku temu wyżej opisanemu celowi. Zawarł naprzód tajemną umowę z Rosyą, przez którą Prusy obowiązały się popierać Rosyę wszelkiemi siłami w sprawie polskiej, a Rosya nawzajem przyrzekła nie przeszkadzać Prusom w ich zamysłach na Niemcy a przeciw Austryi. Wiedział on dobrze, że Francya i Anglia do wojny nie skora, i liczył na to, że się od niej dadzą odstraszyć. Ale wiedział także, że jeżeli ustąpią a wojny nie wydadzą, to Prusy w połączeniu z Rosyą, zdławiwszy ostatecznie Polskę, będą nierównie silniejsze i groźniejsze niż przedtem, a wtedy Prusy zrobią w Niemczech co zechcą. Rosya, która podówczas obawiała się naprawdę wmieszania się trzech państw w sprawę polską, rada była tej pruskiej pomocy i zgodziła się chętnie na warunki. Zapewne nie przewidywała w owym czasie, jakie będą skutki tego przymierza i jakie będzie dalsze powodzenie Prus.

Dość, że silny swoim układem z Rosyą Bismarck wziął się do dzieła. Wiedział, że Francyę i Napoleona III-go trudno mu będzie odstręczyć od

[1]) Francya, Anglia, Austrya, Rosya i Prusy.

ujęcia się za Polską; ale obiecywał sobie, że z Anglią pójdzie mu łatwiej. Tam więc skierował swoje starania. Zagroził rządowi angielskiemu wojną, jeżeli ten dalej będzie się upominał u Rosyi za prawami Polaków. Ta groźba nie była naprawdę straszna, bo cóż Prusy mogły zrobić Anglii na morzach? Ale zarazem zagroził pruski minister, że jeżeli państwa zachodnie uznają Rosyę za odpadłą od wszelkich praw do Polski, to on ogłosi, że że Dania straciła prawa do Szlezwiku i kraj ten przyłączy do Niemiec. Tego Anglia się bała, bo posiadanie Szlezwiku byłoby Niemcom dało znaczną przestrzeń wybrzeży morskich i kilka dobrych portów. To był więc powód, że Anglia w jesieni roku 1863 wycofała się ze sprawy polskiej [1]).

Kiedy tak zamiar kongresu spełzł na niczem, nie było już żadnej nadziei dobrego końca dla powstania i sprawy polskiej. Rosya wiedziała, że państw zagranicznych nie potrzebuje się obawiać, a prędzej czy później zgniecie powstańcze oddziały, które też od tej chwili coraz rzadziej się pokazywały, coraz krócej walczyły.

Z tego tylko zostaje ta nauka, że kto się chce bić, ten niech się nie zrywa lekkomyślnie ze słabemi siłami, ale niech cierpliwie czeka, a roztropnie upatruje chwilę, kiedy przeciwnik będzie osłabiony. Druga nauka ta, żeby nigdy na obcą pomoc nie liczyć, ani się na nią oglądać, bo ona zwykle zawodzi. Ludzie jeżeli pomogą, to mocnemu jeszcze czasem, ale słabemu nigdy. Na siebie tylko można liczyć śmiało i pewnie; dlatego swoich sił trzeba i oszczędzać i przysparzać, a nigdy losów swoich nie robić zawisłymi od woli, pomocy, czy łaski drugich.

Jeden był w Europie, który dobrej sprawy do końca nie odstąpił, ale zbrojną siłą dopomagać jej nie mógł, to Papież Pius IX. Ogłosił on po całym katolickim świecie jubileuszowe odpusty i modły na intencyę Polski: w Rzymie w uroczystej procesyi obnieść kazał wizerunek Chrystusa Pana, o którym jest podanie, że sięga jeszcze apostolskich czasów, a który rzadko bardzo i tylko w szczególnie wielkich potrzebach i uciskach wystawiany bywa na widok publiczny. Ale i Bóg tym razem pomocy Swojej nie dał: sprawie naszej nie błogosławił. Znać winy nasze stawały na przeszkodzie Jego miłosierdziu; a nie według Jego woli, nie w chwili przez Niego przejrzanej i wybranej chwyciliśmy za broń.

Po upadku powstania roku 1863 zaczęły się nieszczęścia największe ze wszystkich, jakie na Polskę od rozbiorów spadły.

Rosya teraz dopiero przestała się opinii świata bać, i przestała ją szanować. Widziała, że ujmowano się za Polską, a więc uznawano jej prawo: ale przekonała się, że za słowami czyny nie poszły, i powiedziała sobie, że kiedy tak, to ona może śmiało robić, co jej się podoba. Powiedziała sobie, że teraz ona górą, ona mocniejsza, ona straszniejsza, i może z tego korzystać. Sto lat blizko, jak ta zabrana Polska nie daje jej spokoju, stoi na świecie jak żywe świadectwo i skarga, przypomina jej zbrodnie: trzeba z tem raz skończyć. Teraz, albo nigdy! Teraz Polska ruszyć się nie

[1]) Nie wiele na tem zyskała. W rok później Prusy wydały Danii wojnę o ów Szlezwik, zamieszkały przez ludność niemiecką, i przyłączyły go do Niemiec.

może, a za nią nie ujmie się nikt. Druga taka sposobność może się nie zdarzyć. Trzeba ją zgładzić ze świata raz na zawsze, i tak, żeby ani ślad po niej nie został!

Zaczęło się więc dzieło zagłady, nie już praw albo instytucyj polskich, ale po kolei wszystkiego, czem narody i społeczeństwa na świecie żyją. Religia, język, szkoły, prawa, zamożność i bogactwo, wszystko to jedno po drugiem ma być obrócone w niwecz — wszystko ma się stać rosyjskiem.

I tego jeszcze nie dosyć! Ziemia karmicielka niech do samych tylko Rosyan należy. I to za mało! Niech Polak nie ma żadnego urzędu, żadnej posady, żadnego sposobu do życia i utrzymania. A jeżeli będzie chciał żyć, rodzinę swoją wyżywić, dzieci wychować i los im zabezpieczyć, to niech przestanie być Polakiem, a zostanie prawosławnym i Moskalem!

Takie dzieło prowadzi się od lat już trzydziestu, bez wytchnienia i folgi: postępuje coraz dalej, sięga coraz głębiej. Każdy rok przynosi z sobą jakiś nowy wymysł, nowy ukaz cesarski, obliczony przebiegle na zagładę tego narodu. Takiego ucisku, takich krzywd, nie doznał żaden naród w chrześcijańskim świecie.

Z tych oprawców, jakich cesarz rosyjski wysłał wtedy na Polskę, wsławił się przed wszystkimi krwawem okrucieństwem Michał Murawiew. Był gubernatorem wileńskim przez niecałe dwa lata: a jak sam w swoich pamiętnikach i w raportach do rządu przyznaje, rozstrzelał i powiesił ludzi 128, do ciężkich robót w Syberyi wysłał 972, do rot aresztanckich (kompanij karnych) 1.427, na osiedlenie w Sybirze 1.529, na osiedlenie w Rosyi europejskiej 4.696. Osad zrównał z ziemią na samej Litwie (z Inflantami) trzydzieści kilka, a dworów szlacheckich więcej. W tych zaś liczbach podaje Murawiew tylko tych, którzy byli skazani na śmierć lub wygnanie za wyrokiem sądów: tych nie liczy, których wojsko doraźnie po dworach i wsiach mordowało. A gdy Murawiew odszedł, to jego następca Kaufmann skazywał dalej na śmierć i wygnanie tak, że liczba okrucieństw jest daleko większa niż ta, do której się ten rząd przyznaje. A dopiero pastwienie się nad nieszczęśliwymi! Pędzonych do więzienia bili knutami, księży porywali od ołtarza, kobiety gwałcili; dobytek, co nie zrabowali, palili, a bydło zabijali; palili i zboże na pniu; chaty i zabudowania równali z ziemią, a miejsca po nich zaorywali, żeby i ślad nie został po polskiej ludności. Tak łączy z sobą Litwę Rosya! Polska przed pięcioma wiekami złączyła ją z sobą wodą chrztu, dobrodziejstwem wiary i oświaty, równością praw, bez jednego gwałtu, bez jednej kropli krwi, bez jednej ludzkiej łzy! Po tem każdy może poznać, jaka jest różnica między Polską a Rosyą, różnica w duchu, w sumieniu, w obyczaju, w bojaźni Bożej a miłości bliźniego.

Kiedy Murawiew po tych swoich rządach wrócił do Petersburga, Rosyanie sami, co uczciwsi, nazywali go *Wieszatelem* i ręki mu podawać nie chcieli. Ale cesarz przyjął go z wielkiemi oznakami łaski i wdzięczności, a za pozwoleniem i zachętą rządu zbierają się do dziśdnia po całej Rosyi składki, żeby temu krwawemu katowi postawić pomnik w Wilnie! Zapomnieli widać, że krew przelana woła o pomstę do Boga, kiedy tym pomni-



POCHÓD POWSTAŃCÓW NA SYBIR. (RYCINA ARTURA GROTTGERA).

kiem, stawianym za tyle krwi, sami tę pomstę niejako wyzywają: jakżeby chcieli Bogu przypomnieć, że pomstą swoją za takie zbrodnie ludziom zagrozil, a jeszcze jej nie wykonal.

W Kijowie był generalnym gubernatorem na Wołyń, Podole i Ukrainę, Bezak, z pochodzenia Tatar podobno czy przechrzta. Ten krwi nie wylal tyle co Murawiew, bo w tamtych krajach mniej było oddziałów powstańczych niż na Litwie. Ale więzień i wygnań, zsyłek na Sybir, zniesienia kościołów, zaboru majątków, nie było mniej, a wszystko dlatego, żeby ludność polską z korzeniem z tej ziemi wydrzeć, żeby i ziemia i wiara i język i prawo, i wszystko było rosyjskie.

W Królestwie Polskiem, gdzie cała ludność jest jednostajnie polska i katolicka, Rosyanie nie mogli udawać, że to kraj odwiecznie i czysto rosyjski — jak to kłamliwie twierdzą o Litwie i Rusi. Nie było też tu tak wiele wyroków śmierci i takich gromadnych wywożeń na Sybir (z wyjątkiem chełmskich i podlaskich Unitów). Ale było ich zawsze wiele; a główne staranie rządu skierowane było do tego, żeby obalić i zatrzeć wszelkie ślady prawnej odrębności tego kraju. W tej robocie odznaczyło się zwłaszcza dwóch ludzi, Milutyn i książę Czerkaski, których cesarz posłał do Warszawy, żeby obmyślili i ułożyli najlepszy plan przerobienia tego kraju na rosyjski.

Zaczęli oni od tego — chytrze — że znieśli pańszczyznę, a włościanom oddali na własność grunta przez nich zajmowane. Jak długo Polacy o to uwłaszczenie włościan prosili, to rząd na nie pozwalać nie chciał. Teraz, kiedy powstanie stłumił, zrobił to jako swoją niby łaskę i dobrodziejstwo, w nadziei, że przez to ludność wiejską na zawsze do siebie przywiąże. Wysyłali też gubernatorowie deputacye włościan do Petersburga z podziękowaniem cesarzowi, a w Częstochowie na Jasnej Górze obok cudownego kościoła Matki Boskiej postawili posąg cesarza Aleksandra II-go, niby to z włościańskich składek sprawiony. Ale i to nieprawda, i nieprawda żeby oni to uwłaszczenie byli zrobili z miłości ludu wiejskiego, albo ze sprawiedliwości! Zrobili w nadziei, że ten lud przez to przestanie być polskim, a stanie się pomału rosyjskim; a wszystko, co od tego czasu robili i robią, to zawsze tylko w tym jednym celu.

Królestwo Polskie miało swoją odrębność zapewnioną w prawie publicznem Europy, na kongresie wiedeńskim roku 1815. Mikołaj po roku 1831 odebrał konstytucyę, wojsko, osobne ministerya, ale na wszystko targnąć się przecież nie śmiał. Rząd Królestwa był od rządu całej Rosyi oddzielny. W Warszawie stał na czele kraju Namiestnik cesarski, a pod nim były komisye do poszczególnych spraw, złożone przeważnie z Polaków. Urzędnicy niżsi byli prawie wszyscy Polacy. W Petersburgu miał cesarz osobną kancelaryę do spraw Królestwa polskiego. W szkołach uczono języka rosyjskiego, ale wszystkich nauk udzielano po polsku. Prawo cywilne i karne było inne jak w Rosyi, to, które jeszcze Napoleon za Księstwa Warszawskiego wprowadził. Sądownictwo było polskie i wzorowe pod względem sprawiedliwości swoich wyroków, a łatwości i szybkości postępowania.

Teraz to wszystko miało runąć podług planu Milutyna i Czerkaskiego, który to plan oni wykonywać zaczęli, a który po ich śmierci wykonywa się dotąd coraz dalej i coraz ściślej.

Naprzód zniesiono urzędową, prawną odrębność Królestwa polskiego. Na czele rządu nie stał już *Namiestnik* jak dawniej, tylko zwykły *jenerałgubernator*, jaki w Rosyi większemi przestrzeniami kraju zarządza. Przestali nawet nazywać ten kraj *Królestwem Polskiem*, a nazywają go *krajem Nadwiślańskim*, albo *krajem Zachodnim*. Potem wzięli się do burzenia wszystkiego: Kościoła, rządu, sądownictwa, prawa, wychowania i szkół, słowem wszystkiego.

Najtrudniejszym do zburzenia jest Kościół; jednym zamachem zrobić się to nieda, trzeba robić podstępnie, pomału, stopniowo. Ale też ten cel, najtrudniejszy do osiągnięcia, jest i najważniejszy; jeżeli to się uda, a Polacy z czasem przestaną być katolikami, to wtedy już łatwo Moskalami zostaną. Wzięto się tedy do Kościoła.

Rosyanie nie mogą tego nigdy zrozumieć, że Kościół to nie jest tosamo co państwo, i że jest od niego niezależnym. Ich schyzmatycka wiara powstała właśnie z buntu przeciw jedności władzy duchownej, czyli przeciw najwyższemu zwierzchnictwu Głowy Kościoła, Papieża; a bez tej jedności władzy i zwierzchnictwa nie byłoby ani jedności wiary, ani jej niezmienności po wszystkie czasy i wieki. Patryarchowie carogrodzcy nie chcieli być niższymi od rzymskiego Papieża; carogrodzcy cesarze nie chcieli Papieża słuchać, bo prawa Boże przez Papieży przypominane, zawadzały im w różnych popędach namiętności lub zamysłach pychy. Zgodzili się więc między sobą, oderwali się od Kościoła, i utworzyli sobie swój osobny, czyli *schyzmę*, którą Rosyanie nazywają *prawosławiem*.

Ale ledwo się to stało, zaraz ten kościół oderwany, który nie chciał znosić zwierzchnictwa apostolskiego następców św. Piotra, popadł zaraz w zupełną i sromotną zależność od świeckich panujących. Co cesarz, pan świecki, nakazał, to patryarcha, zwierzchnik duchowny, zawsze posłusznie za dobre uznawał i wiernym swoim wierzyć lub robić polecał. Tak było w Konstantynopolu, jak długo trwało tamtejsze (greckie) cesarstwo (aż do przyjścia Turków 1453). Tak było i jest zawsze w Rosyi, która z Konstantynopola przyjęła chrzest, a z błędami tamtejszej wiary przyjęła i tę zależność władzy duchownej od świeckiej. Słuszna to i zwykła kara na wszystkie chrześcijańskie wyznania, które się od Rzymu oderwą, że ci, którzy nie chcieli uznawać władzy duchownej przez Chrystusa Pana postanowionej, poddają się w niewolę świeckim panom i ich świeckim celom służą.

W Rosyi, skutkiem nieograniczonej władzy nad poddanymi, ta zależność schyzmatyckiego kościoła od władzy świeckiej stała się większą niż gdziekolwiek; zwłaszcza od panowania cesarza Piotra Wielkiego. Ten nieszczęśliwy kościół rosyjski tak przywykł do swojej niewoli, że nie przypuszcza nawet, iżby mogło być złem, z prawem i wolą Boga niezgodnem, to, co cesarz nakaże; a naród od wieków w takich wyobrażeniach chowany nie ma obudzonego sumienia, nie odróżnia co złe a co dobre; myśli i wierzy, że wszystko jest godziwe i dobre co cesarz każe; a kto robi to co on każe, ten nie grzeszy i Boga obrazić nie może.

W tem jest zasadnicza różnica między schyzmatyckiemi i katolickiemi sumieniami, ludźmi i społeczeństwami: i w tem też także główny powód, dla którego Rosya nienawidzi Kościoła katolickiego i stara się, jak może, o jego zgubę.

Kościół katolicki uznaje władzę i powagę rządów świeckich, nakazuje wiernym i duchownym, żeby tym rządom byli we wszystkich sprawach świeckich posłuszni. Ale uczy zarazem, że Prawo Boże jest wyższe od wszystkich praw ludzkich: że największy mocarz tego prawa słuchać powinien, a poddany nie powinien słuchać swego zwierzchnika, jeżeli ten nakazuje mu coś z Prawem Bożem niezgodnego. U katolików więc władza świecka nie ma władzy nad sumieniami; a posłuszeństwo poddanych względem panującego jest ograniczone właśnie tymi względami bożych przykazań i sumienia.

Łatwo zrozumieć, że ta zupełna, niewolnicza zależność sumień schyzmatyckich daje cesarzom rosyjskim ogromną władzę nad poddanymi i ogromną siłę w wykonaniu wszystkich zamiarów i przedsięwzięć. A przeciwnie, przyrodzona wolność sumienia katolickiego, jego niezależność od władzy świeckiej, i katolicka wyższość władzy duchownej od świeckiej w rzeczach wiary i sumienia, jest dla nich nieznośna, bo jest zaporą, którą w tych zamiarach i przedsięwzięciach zawsze mogą napotkać.

Dlatego to oni w swoich krajach prawdziwie rosyjskich katolickiej wiary nie znoszą i nie dopuszczają. Rosyanin, kiedy się nawróci na katolika, albo się wynosi za granicę, albo się starannie ukrywa, bo inaczej poszedłby na Sybir. Dlatego w krajach polskich z ludnością ruską, odrazu po rozbiorach wzięli się do prześladowania, krępowania, burzenia Kościoła w obrządku łacińskim także, z tą nadzieją, że z czasem potrafią zniszczyć go do szczętu.

Zaczęło się od wywożenia Biskupów, a Rosya — zuchwała i bezczelna w kłamstwie, tak jak chytra i sroga w postępowaniu — głosiła, że ci Biskupi politycznie coś przeciw rządowi zawinili. Nieprawda! W rzeczach i prawach świeckich wszyscy byli zawsze powolni; z ostatniem powstaniem żaden nie miał nic do czynienia. Wszyscy oparli się rządowi wtedy dopiero, kiedy w rzeczach kościelnych zażądał od nich rzeczy, których oni ze swojem kapłańskiem i biskupiem sumieniem pogodzić nie mogli. Wszyscy byli wywiezieni w głąb Rosyi. Arcybiskup warszawski, ksiądz Zygmunt Feliński [1]), do Jarosławia. Jego sufragan, Biskup Paweł Rzewuski, do Kaługi. Biskup płocki, ksiądz Popiel, do Nowogrodu. Biskup podlaski, Benjamin Szymański, i sejneński, Konstanty Lubieński, wywiezieni także, ostatni umarł w drodze. Administrator dyecezyi lubelskiej (Biskup był właśnie umarł) umknął przed wywiezieniem za granicę. Biskup chełmski, unicki, ksiądz Kaliński, gdy odmówił nakłaniać wiernych do schyzmy, porwany i wywieziony, umarł w drodze. Tak, że na wszystkie dyecezye w Królestwie Polskiem został na miejscu jeden tylko Biskup w Sandomierzu, ksiądz Juszyński, taki stary i chory, że zupełnie już niedołężny. W krajach zabranych było to samo. Biskup wileński, Adam Krasiński, wywieziony do Wiatki. Biskup łucki,

[1]) Portret był na str. 115.

Kasper Borowski, do Permu. Dyecezya kamieniecka zniesiona. Znowu jeden tylko Biskup żmudzki, ksiądz Wołonczewski, pozostał na miejscu.



X. BISKUP PAWEŁ RZEWUSKI.

Skutki zrozumieć i ocenić łatwo. Gdzie niema Biskupa, tam nie może być święcenia księży: zatem nowych księży nie przybywa, a starych ciągle ubywa; zatem wiele parafij bez księdza, a tysiące katolików bez nabożeństw, bez Sakramentów. Gdzie niema biskupa, tam niema Sakramentu Bierzmowania; tam Duchowieństwo pozbawione swego zwierzchnika, nie wie, jak i kogo ma słuchać; dyecezya, pozbawiona Pasterza, podupada w swojem katolickiem życiu. Kiedy taki stan trwa długo, to łatwo poznać, jakie ztąd szkody dla Kościoła i Wiary. Tam zaś były bez Biskupów jedne dyecezye przez lat dwadzieścia, inne po kilkanaście, aż do roku 1883, w którym dzisiejszy Papież Leon XIII uzyskał wreszcie od rządu rosyjskiego, że nowych Biskupów zamianować pozwolił. Ale choć w tem rząd ustąpił, to od prześladowania Kościoła nie odstąpił, ani go nie zaprzestał, jak o tem zaraz powiemy.



X. BISKUP ADAM KRASIŃSKI.

Po wywiezieniu Biskupów wzięto się do niższego Duchowieństwa, świeckiego i zakonnego. Mnóstwo księży wywieziono na Sybir albo w głąb Rosyi. Tym, co zostali na miejscu, nie wolno się ruszyć z miejsca bez pozwolenia naczelnika powiatu: tak, że gdzie jest odpust naprzykład i zgromadzi się dużo ludzi, tam nigdy niema dość księży do ich duchownej posługi. Taksamo Biskup

nie może objeżdżać dyecezyi bez pozwolenia gubernatora. Nie może też, pod groźbą więzienia i Sybiru, znosić się z Papieżem, pisać do Rzymu wprost, tylko przez pośrednictwo władz rządowych, a w takiem piśmie naturalnie nie może pisać prawdy, bo gdyby napisał co się dzieje, to zaraz poszedłby na wygnanie. Klasztory prawie wszystkie, męzkie jak żeńskie, pozamykane. Zakonnikom i zakonnicom rozkazano mieszkać w pewnych oznaczonych miejscach, i wyznaczono im pewne ubogie utrzymanie, dopóki żyją. Ale niewolno im trzymać nowicyuszów, czyli przyjmować do zakonu; a wskutek tego gdy ci starzy wymrą, nie będzie już żadnych zakonów w Polsce. Wiadomo zaś, jak w życiu katolickiem zakony wiele znaczą przez swoje modlitwy, umartwienia, kazania, i uczynki miłosierne. Ich brak jest ogromnym ubytkiem sił dla Kościoła. A właśnie o to temu rządowi chodzi; zamyka je dlatego, bo się spodziewa, że jak zakonów nie będzie, to i wiara katolicka łatwiej ostygnie i upadnie.

Tak było tam, gdzie jest lepiej, w Królestwie Polskiem. A na Litwie i Rusi jeszcze nierównie gorzej. Tam gubernator, kiedy mu się podoba, znosi parafię katolicką, zamyka kościół, zamienia go na schyzmatycką cerkiew, osadza popa (któremu katolicy muszą dać grunt, budynki i dochód w gotówce) i rzecz skończona, parafii i kościoła niema. Wierni muszą szukać nabożeństwa i Sakramentów w sąsiedniej parafii, nieraz o kilka mil odległej; tak że dzieci często umierają bez chrztu, a dorośli bez wiatyku. Kiedy się kościół albo kaplica zepsuje, to naprawiać ich nie wolno, żeby zniszczały zupełnie. Tembardziej nie wolno stawiać nowych. Słowem, i kościoły jako budynki, i Kościół katolicki jako zgromadzenie wiernych pod jedną głową, Namiestnikiem Chrystusa Pana, skazane na zagładę.

Jak rząd rosyjski wytępił Unię w Chełmszczyznie i na Podlasiu, jakich dopuszczał się krwawych okrucieństw, to opowiadaliśmy obszerniej niedawno i teraz powtarzać nie będziemy [1]). Dość że dziś pod rządem rosyjskim niema już ani jednego katolika greckiego obrządku; a ci, co w sercu katolikami są zawsze, choć ich urzędownie na prawosławnych zapisano, kryją się z tem, do cerkwi chodzić nie chcą, dzieci sobie chrzczą i śluby sobie dają sami, albo (jeżeli bliżej granicy) przekradają się do Galicyi, z niebezpieczeństwem życia a przynajmniej wygnania, gdyby ich wykryto i złapano.

Kiedy po śmierci Piusa IX dzisiejszy Papież Leon XIII wstąpił na Stolicę św. Piotra, zwrócił on zaraz uwagę na ten stan Kościoła w Polsce. Obawiał się, że Kościół rozprzęże się zupełnie, jeżeli dłużej zostanie bez Biskupów, i zaczął próbować układów z rządem rosyjskim. Otrzymał tyle, że cesarz zgodził się na nominacyę nowych Biskupów, ale żadnemu z dawnych do jego dyecezyi wrócić nie pozwolił. Arcybiskup Feliński, Biskup Krasiński, Biskup Rzewuski, osiedli w Galicyi (dwaj ostatni już nie żyją). W każdym razie to obsadzenie stolic biskupich było szczęściem dla polskiego Kościoła; ale ich los taki smutny i niebezpieczny, jak był los poprzedników. Taksamo niewolno im ani się ruszyć, ani znosić się z Rzymem, a co jakiś czas występuje rząd z żądaniami, których Biskup z przepisami

[1]) W książeczce „O Rusi i Rusinach“ wydanej w Krakowie w r. 1891.

Kościoła i ze swojem sumieniem zgodzić nie może. Wtedy musi się oprzeć: jak się oprze, porywają go i wywożą w głąb Rosyi. Tak się stało z nowym Biskupem wileńskim, następcą Krasińskiego, księdzem Karolem Hryniewickim, który ledwie parę lat utrzymał się na swojej wileńskiej stolicy [1]. Ów układ, zawarty z Papieżem w roku 1883, rząd rosyjski zachowuje na pozór, a na prawdę omija go podstępnie. Naprzykład żądano wtedy od Papieża, żeby zezwolił na naukę języka i literatury rosyjskiej w seminaryach duchownych. Papież zezwolił, ale pod warunkiem, żeby tej nauki udzielał zawsze katolik. Rząd warunek przyjął i podpisał. Ale wyznaczył zaraz przy wielu seminaryach nauczycieli schyzmatyków, a pod pozorem języka rosyjskiego polecił im nauczać historyi kościoła. Katolicka młodzież duchowna ma pobierać nauki od schyzmatyków; i to jeszcze jakiej nauki? historyi swego kościoła! Oczywiście taki nauczyciel będzie wszystko przekręcał i fałszował, i będzie się starał swoją nauką katolickiego ducha w młodych klerykach osłabić, a schyzmatyckiego zaszczepić. A jeżeli taki nauczyciel powie, że kleryk nie umie dość dobrze po rosyjsku, to Biskup nie może takiego wyświęcić na księdza, choćby był najlepszy i uczył się najdoskonalej. Albo znowu inny przykład. Niektóre wsie w Królestwie Polskiem podały prośbę do cesarza, żeby proboszczowi wolno było uczyć dzieci katechizmu w szkólce. Cesarz pozwolił, ale z tym dodatkiem i warunkiem, że w tej nauce ma księdza doglądać świecki urzędnik albo żandarm, i że jeżeli ksiądz uczy katechizmu w szkole, to w kościele już mu niewolno udzielać zwyklej, niedzielnej, popołudniowej nauki katechizmu.

W Litwie znowu rząd chce od długich już lat wprowadzić język rosyjski do katolickich nabożeństw. Myśli, że jakby były rosyjskie śpiewy, kazania, litanie, i inne dodatkowe modlitwy, to z czasem przyjęłaby się rosyjska Msza. W Rzymie tłómaczy on to swoje żądanie niby tem, że w tym kraju ludność jest czysto rosyjska, więc polskich modlitw nie potrzebuje. Ale na to odpowiada Papież, że Rosyanom przecie katolikami być nie wolno, jak całemu światu wiadomo: więc dla kogoż mają być potrzebne te rosyjskie nabożeństwa w katolickich kościołach? W Rzymie więc nie wskórał rząd tak, jak chciał: ale lepiej niestety udało mu się z niektórymi księżami na miejscu. Mianowicie w Mińsku, niejaki ksiądz Seńczykowski wprowadził język rosyjski do nabożeństw. Ale lud wychodzi z kościoła, kiedy one się zaczynają.

Najnowszy zamach rosyjski na Kościół katolicki w Polsce dokonał się w roku 1893 w Kielcach. Rzecz miała się tak:

Był w seminaryum kieleckiem kleryk pewien, nazwiskiem Gawroński. Biskup mu nie dowierzał, nie chciał go przyjąć, ale wreszcie zmiękczony prośbami, przyjął. W Boże Narodzenie roku 1892 ów kleryk podpalił seminaryum. Zjechała komisya, zarządziła śledztwo i zabrała z sobą Gawrońskiego, żeby dojść, czy on waryat, czy zbrodniarz. Ale pod śledztwem zaczął

[1] Wywieziony był do Jarosławia rosyjskiego. Po kilku latach Ojciec św. uprosił, że mu pozwolono wyjechać za granicę. Zamieszkał w Galicyi, a teraz jest kanonikiem Katedry tarnowskiej.

on mówić rzeczy rządowi bardzo miłe i pożądane, mianowicie, że w seminaryum w Kielcach klerycy i profesorowie przechowują mnóstwo zakazanych książek polskich. Zjeżdża druga komisya; rewizya trwa dwa tygodnie. Odrywano podłogi, odbijano mury, rozbijano trumny w grobach pod kościołem. Znaleziono książeczki z nabożeństwem do Serca Jezusowego i Historyę panowania Piusa IX przez księdza Pelczara! Ale to wystarczyło. Kto chce psa uderzyć ten kamień znajdzie! Za te więc książki wzięto trzech profesorów do więzienia i osadzono ich w cytadelli w Warszawie, a seminaryum zamknięto na cztery lata![1] Skutek tego będzie taki, że przez cztery lata nie przybędzie w dyecezyi ani jeden nowy ksiądz; zaś za ubytkiem księży pójdzie ubytek nabożeństw, Sakramentów, kazań, wszystkiego, co należy do duchowego i katolickiego życia. Rząd się spodziewa, że w braku księży katolickich lud stęskniony za nabożeństwem pójdzie do schyzmatyckich cerkwi, i dlatego to rząd robi. Wielu poważnych ludzi mniema, że zamknięcie seminaryum kieleckiego jest pierwszym krokiem i próbą, po której rząd zechce zamykać po kolei i inne seminarya katolickie.

Oto mniej więcej (w krótkich słowach i z opuszczeniem mnóstwa szczegółów strasznych i oburzających), co Rosya robiła od roku 1863 i robi dotąd, żeby zniweczyć Kościół katolicki w Polsce.

W rzeczach świeckich nie mniej ucisku, krzywd, gwałtów i zniszczenia.

Cechą odrębności każdego narodu, przez samego Boga mu daną, a przez wieki wyrobioną, jest jego język. Polakom trzeba go odebrać! Na Litwie i Rusi (które to mają być niby krajem odwiecznie i czysto rosyjskim!) nie wolno jest w miejscu publicznem (w kawiarni, ogrodzie, na stacyi kolei żelaznej i t. d.) przemówić po polsku. Student, któryby na ulicy mówił z kolegą po polsku, będzie wypędzony ze szkoły. W Królestwie Polskiem, gdzie jest mniej źle, wszystkie sprawy urzędowe, wszystkie nauki, wszystkie sądy, odbywają się po rosyjsku; a w każdej wsi, na każdej chacie nazwisko właściciela wypisane jest rosyjskiemi literami. Przy każdej drodze napisy na drogoskazach są w tym języku, którego nikt nie rozumie, tem abecadłem, którego nikt nie umie czytać. Na kolei żelaznej wszystkie napisy rosyjskie, a konduktor jest ukarany albo oddalony, jeżeli z podróżnymi mówi po polsku. Z książkami i dziennikami radzą sobie jak następuje, żeby wydawanie ich utrudnić. Nie zakazują wydania, ale wszystko poddają cenzurze. Ta cenzura (z każdym rokiem ostrzejsza) nie pozwala żadnej uwagi, żadnej skargi, żadnej wzmianki o uczuciach polskich; wymazuje wszystko co chce, a często wymaże bez powodu kilkanaście kartek z książki, albo kilka szpalt z dziennika, tylko dlatego, żeby książkę zepsuć, a dziennikowi nie dać wyjść na czas. Jaka jest trudność, a jaka nieraz szkoda na majątku bronić swojej sprawy w sądzie, odbierać pozwy albo wyroki w języku, którego się nie rozumie! Ta wściekłość przeciw polskiemu językowi idzie tak daleko, że w szpitalach nawet (nawet w szpitalach dziecin-

[1] Za granicą, a zwłaszcza w Rzymie, opowiadają poselstwa rosyjskie, że znaleziono w Kielcach książki rewolucyjne i książki nieobyczajne, gorszące. Ale jeżeli istotnie takie znaleźli, to chyba takie, które sami przywieźli i podrzucili.

nych i domach podrzutków) dozorcy obowiązani są z chorymi i z dziećmi mówić rosyjskim językiem, którego ci chorzy i te dzieci nie rozumieją.

A dopieroż szkoły!

Zaraz po roku 1863 wyrzucono język polski ze wszystkich szkół, od uniwersytetu warszawskiego, aż na dół. Nawet małe dzieci w szkołach wiejskich muszą się uczyć po rosyjsku. Profesorów Polaków zostawiono bardzo mało, a ci, co zostali, muszą wykładać po rosyjsku. Nasłano Rosyan, mniejsza o to że niezdatnych i nieumiejętnych, ale po największej części zepsutych, złego życia, przekupnych, a nasłanych na to, żeby nieszczęśliwą młodzież psuli. W gimnazyach, niby to przez wielką dbałość o zdrowie młodzieży i o dobrą naukę, ograniczono liczbę uczniów, którzy mogą być przyjęci do szkoły. Na Litwie i Rusi uczniów Polaków wolno przyjmować do szkoły tylko pewną oznaczoną, małą liczbę. W nauce chodzi tylko o język rosyjski, a raczej o to, żeby pod pozorem nieznajomości rosyjskiego języka, nie przepuszczać uczniów do wyższej klasy, a następnie (z braku świadectw) nie dopuścić ich do żadnego zawodu. Nieszczęśliwy chłopiec może się uczyć i umieć wszystko jak najlepiej: jeżeli profesorowi spodoba się uznać, że on nie dość pięknie wymawia rosyjskie wyrazy, ten chłopiec examinu nie zdaje, traci rok albo więcej lat, ojciec biedny łoży daremnie na jego utrzymanie: a to wszystko umyślnie, żeby dzieci i rodziców nękać, i wszelki zawód, wszelką przyszłość im utrudniać.

A to jeszcze nie najmniej złe. Gorszy jest cel i duch, w jakim się to wychowanie prowadzi. Wszystkie nauki są sfałszowane i udzielane tak, żeby chłopiec nie dowiedział się nic o swoim Bogu i Kościele, o swoim narodzie i jego dziejach. Wszystkie książki szkolne są tak pisane, żeby w tych młodych umysłach obudzić wątpliwości co do katolickiej wiary, niechęć do katolickiego Kościoła, lekceważenie i pogardę Polski.

Przeciw tej dążności rządu jedyna obrona jest w tej nauce i tym wpływie, jaki dzieci czy młodzieńcy odbierają w domu, w życiu rodzinnem. Ale i temu wpływowi rząd zagradza drogę. Najnowszy wymysł jest taki, że jeżeli uczeń ma rodziców w tem mieście, gdzie chodzi do szkoły, to u rodziców mieszkać może. Ale jeżeli rodziców nie ma, to wolno mu tylko mieszkać u osób, upoważnionych przez rząd do trzymania studentów na stancyi. Robi się to niby z troskliwości o obyczaje młodzieży: na prawdę dlatego, żeby ją zepsuć i zgubić. Te osoby upoważnione, to naturalnie Rosyanie i prawosławni: a wpływ tego domowego dozoru będzie o to jedno dbał, żeby z chłopca Polaka zrobić Moskala, z katolika prawosławnego! Wyobrazić sobie nieszczęście i rozpacz rodziców, którzy dzieci do tych szkół oddawać muszą, a przez wszystkie lata tej nauki drżą o wiarę, o sumienie, o honor, o obyczaje swego dziecka! Drżą, że ono wyjdzie z tej szkoły zmienionem do niepoznania i zepsutem na całe życie!

Niejedni rodzice niestety nie napróżno mieli tę obawę, bo wielu młodych już naprawdę w tych szkołach i wiarę i cześć straciło!

Dopiero jeżeli taki nieszczęśliwy, młody Polak pokonał wszystkie trudności, przeszedł szczęśliwie wszystkie szkoły, dopiero wtedy przekonywa się, że je przeszedł na darmo, bo nie ma co począć, ani gdzie się udać.

Dla niego niema miejsca ani w urzędzie, ani w sądzie, ani w szkole za nauczyciela: zgoła nigdzie! Lekarzem może być albo adwokatem, rzemieślnikiem albo kupcem, to mu jeszcze wolno: ale w rządowej służbie miejsca nie znajdzie, bo te miejsca wszystkie dla Rosyan, dla prawosławnych! Zaczęło się to zaraz po roku 1863. Z początku wydalano Polaków tylko z urzędów administracyjnych i sądowych: ale mogli jeszcze być jako technicy i inżynierowie przy budowach dróg, przy kolejach żelaznych, przy różnych przedsiębiorstwach. Jeżeli wyższych nauk nie mieli, to mogli zajmować niższe posady w tych zawodach. Ale z postępem czasu zamykano przed nimi coraz więcej sposobów do życia. Dziś przy kolejach żelaznych rządowych (nawet w Królestwie Polskiem, o Litwie i Rusi już nie mówiąc) żaden Polak miejsca nie znajdzie. Przed rokiem odprawiono tak kilka tysięcy rodzin. Polak, jeżeli niema swego majątku, w ziemi, czy w handlu, czy w jakiem przemysłowem przedsiębiorstwie, to niech umiera z głodu! Tem lepiej: zostanie po nim próżne miejsce, które zajmie Moskal.

W tem oddalaniu Polaków ze wszystkich urzędów i posad, miał i ma zawsze rząd rosyjski cel dwojaki. Jeden jest ten, żeby Polaków zgnębić, a przez urzędników Rosyan zmusić ich do nauczenia się i przyjęcia rosyjskiego języka. Ale obok tego celu jest i drugi. Było w Rosyi przed laty trzydziestu i jest zawsze dotąd dużo ludzi młodych i niespokojnych, bez sposobów do życia, marnotrawców, awanturników, z głowami przewróconemi, z usposobieniem gwałtownem, a bez sumienia i zasad. Tacy ludzie w ciągu tych wszystkich lat lgnęli bardzo do spisków przeciw cesarzowi i rządowi, a takich spisków było wtedy w Rosyi wiele, i zdarzają się teraz. Rząd się bał tych *rewolucyonistów* i *nihilistów*. Kiedy więc zdławił powstanie w Polsce, powiedział sobie, że to sposobność jedyna, żeby się tych ludzi z Rosyi pozbyć, a Polskę niszczyć przez nich, ile się da. Rozniecił w nich zatem nienawiść do Polski i Polaków, wytłómaczył im, że oni mają wielki i chwalebny obowiązek do spełnienia: utrwalić rosyjską wiarę i narodowość w *zachodnim kraju*, i puścił ich na Polskę jak szarańczę, jak gromady głodnych wilków. Nie pytał, czy który zdatny albo uczciwy: brał każdego i wysyłał i zapchał nimi wszystkie urzędy i miejsca od najwyższych do najniższych. Te głowy przewrócone a usposobienia namiętne, uwierzyły w swój mniemany obowiązek, i z wściekłą nienawiścią rzuciły się na Polskę. Szczucia nie potrzebowały; jednak szczuł je Milutyn i Czerkaski, jak długo rządzili w Warszawie. A miejsca były ponętne, bo pod pozorem wielkiej usługi, jaką mieli oddawać państwu, przeznaczono im pensye daleko wyższe, niż były na tych samych stopniach w cesarstwie. Cała ta zgraja, żeby się w Petersburgu wydawać potrzebną, musi ciągle donosić o jakichś niebezpieczeństwach grożących od Polaków. W kraju samym wmawia we włościan, że ich kocha i broni od *panów!* Na prawdę okłamuje i okrada swój rząd, obdziera i włościan i szlachtę, rozrzuca zaraz w hulatykach zdarte pieniądze, i ciągle umie nowem zdzierstwem zbierać nowe, a tymczasem to, co do rządu i urzędów należy: bezpieczeństwo publiczne, sprawiedliwość, dobry byt, — to wszystko w ostatniem zaniedbaniu. Bandy rozbójników napadają w różnych stronach na wsie i dwory, a nikt ich nie śledzi, ani

nie poskramia. Sądy, niegdyś wzorowe w swojej sprawiedliwości i szybkości, teraz najsłuszniejszą sprawę wykręcą tak, że będzie przegrana. Drogi, niegdyś doskonałe, teraz tak są utrzymane, że na gościńcach pod Warszawą grzęźnie się w błocie. Urzędnicy, wysłani na zniszczenie kraju, spełniają sumiennie to, co im polecono.

Ale na tem nie kończyły się plany rosyjskie. Wiara, język, wychowanie, urzędy, sposób do życia, to dużo: ale to jeszcze nie wszystko. Podstawą bytu każdego narodu jest ta ziemia, na której on przed wiekami osiadł i od wieków siedzi. Na to, żeby dzieło zniszczenia było zupełnem, a ten kraj kiedyś mógł się stać rosyjskim, trzeba Polaków wykarczować z Polski, tak, jak się las karczuje z pniaków. Zaczęło się od konfiskat na Litwie i Rusi. Wielu takim których posądzano o stosunki z powstaniem, i którym niby to te stosunki dowiedziono, zabierano majątki na skarb, a potem rozdawano je wojskowym i urzędnikom. Innym znowu nie zabierano wprost, ale rozkazywano sprzedać i wynosić się; było takich na Litwie do sześciuset właścicieli a do 800 majątków. Przez wielką łaskę pozwalano osiedlić się w Królestwie. Ale to nie wystarczało; trzeba było jakiegoś środka, któryby prędzej i w większej liczbie Polaków z ziemi wyzuwał. Wyszedł tedy 10-go grudnia 1865 r. ukaz carski, stanowiący, że żaden Polak, ani katolik nie ma prawa nabywania ziemi. Było zaś bardzo wielu takich, którzy majątki swoje sprzedawać musieli, bo po zapłaceniu ogromnych kontrybucyj rządowych, i przy braku potrzebnych zasobów na najem robotnika, popadli w długi. Ci tedy mieli do wyboru, albo wyjść z majątku bez niczego, albo sprzedać go Moskalowi i schyzmatykowi. Ten zaś wiedział dobrze, że ten biedny Polak prędzej czy później sprzedać musi; wiedział, że nie znajdzie nabywcy sprawiedliwego, któryby majątek zapłacił podług jego rzeczywistej ceny; dawał więc cenę jak najniższą, a Polak z konieczności musiał przyjmować taką, jaką mu dawano! Setki majątków a krocie tysięcy morgów przeszło tak za bezcen w ręce rosyjskie, i dotąd coraz więcej ich przechodzi. Oprócz tego innym ukazem (i nowym gwałtem) ograniczył rząd wolność testamentowych zapisów. Nie wolno tam zostawić majątku komu się chce, ale jest przepisany porządek, podług którego tylko najbliżsi spadkobiercy (dzieci, a u bezdzietnych najbliżsi krewni) mogą ziemię po zmarłych dziedziczyć. Jeżeli takich nie ma, a majątek spadałby na dalszych krewnych, to ci muszą go sprzedać, a mogą sprzedać znowu tylko Rosyaninowi i prawosławnemu. I tego jeszcze nie było dosyć! Z polskich czasów jeszcze, i z dawniejszych przez małżeństwa i spadki, wiele dóbr w tamtych krajach należało do Polaków, poddanych austryackich i pruskich. Naraz wychodzi ukaz, zabraniający obcym poddanym posiadania ziemi pod rządem rosyjskim! Dzisiejsi właściciele mogą je zatrzymać do śmierci, ale ich spadkobiercy muszą sprzedać w przeciągu trzech lat. Prosta rzecz, że nabywca, który wie, że najdalej do lat trzech ten majątek sprzedanym być musi, a jeżeli nie będzie sprzedany z wolnej ręki, to go rząd sprzeda sądownie przez licytacyę, nie da za ten majątek tyle ile on jest wart, ale korzysta z przymusu w jakim jest właściciel, i daje mu cenę

jak najmniejszą; albo czeka owej licytacyi. I znowu przez to Polak traci połowę lub więcej swego majątku... i cel jest osiągnięty. W tem położeniu znajdują się setki i tysiące rodzin, których cały byt zasadza się na tym majątku, leżącym na Wołyniu, na Litwie, albo w Królestwie. Cóż tacy mają robić? Starają się o poddaństwo rosyjskie: ale to daje rząd trudno i rzadko, bo o to mu tylko chodzi, żeby się Polaków pozbył.

Taki stan rzeczy trwa od lat trzydziestu. Takiego ucisku nie doświadczył podobno żaden naród na świecie. Jest to po prostu skazanie na zagładę, na powolną śmierć, jednego narodu przez drugi. Rosyanie przyznają to sami, nie kryją się. W swoich urzędowych pismach utrzymują, że robią to dla dobra krajów polskich, dla ich postępu. Ale w rozmowach i w dziennikach swoich mówią otwarcie; że ich celem jest zagłada Polaków i Polski, i że dążą do niej umyślnie, wytrwale, wszelkiemi sposobami. Kiedy zaś mówić im, że to co robią, jest niegodziwem i sprzeciwia się wszelkim prawom Boskim i ludzkim, odpowiadają spokojnie i z zimną krwią, że to jest zwykły porządek na świecie: prawo zwycięstwa! Kto zwyciężył, ten ze zwyciężonym może robić co mu się podoba, ale powinien się spieszyć, korzystać z chwili kiedy jest mocniejszym i słabszego dorżnąć prędko, bo „Fortuna kołem się toczy,“ i na zwycięzcę także w przyszłości mogą przyjść czasy gorsze. Biada zwyciężonym!

Tak oni myślą, i tak działają. Ale w tem rozumowaniu i działaniu zapominają o jednem, to jest, że nad zwycięzcami i zwyciężonymi stoi prawo wyższe: Bóg, który wszystkie krzywdy i gwałty widzi, liczy i karze. Cierpliwy jest i nie śpieszy się z karą: ale wierny jest Swemu słowu i musi kiedyś pomścić to, co według Jego własnych słów, o pomstę do Niego woła. Kiedyś może prawnuki przeklinać będą ten mniemany rozum Rosyan dzisiejszych, który im radzi Polskę gnębić i niszczyć. Życzmy im po chrześcijańsku, żeby upamiętanie nie przyszło im za późno, a kara za nasze krzywdy i cierpienia żeby nie była tak sroga, jak na to zasłużyli.

Taki więc był stan Polski pod rządem rosyjskim przez tych lat trzydzieści, i taki jest dotąd. A jakże w tym samym czasie działo nam się w Prusach.

Wiemy, że od pierwszego rozbioru Prusy i Rosya były z sobą w zgodzie i porozumieniu co do spraw polskich. W ogólności trzymały się zawsze razem, pomagały sobie wzajemnie we wszystkiem; ale głównie łączył je rozbiór Polski i obawa jej odbudowania, przez które Rosya i Prusy byłyby straciły zdobycz dla siebie dogodną i ważną. Widzieliśmy, że podczas ostatniego powstania, kiedy cała Europa blizką była oświadczenia się przeciw Rosyi, Prusy sprzymierzyły się z nią od pierwszej chwili, a Bismarck swoją zręcznością odwrócił od niej groźne niebezpieczeństwo, bo rozbił porozumienie Francyi, Anglii i Austryi. Nie ulega też wątpliwości, że on ustawicznie Rosyę przeciw Polsce podszczuwał, i doradzał jej żeby korzystała ze swego zwycięstwa i czemprędzej raz na zawsze z Polską skończyła. Z tego więc zmiarkować można, jak sam mógł postępować z nami w Wielkopolsce. Nie było tam żadnego powstania przeciw Prusom, więc nie można



X. KARDYNAŁ MIECZYSŁAW LEDÓCHOWSKI.

było skazywać na śmierć, ani zabierać majątków. Ale cichszym i mniej srogim sposobem dążyły Prusy w swojej części Polski do tego samego celu, co Rosya w swojej. I tu chodziło o to, żeby odjąć wszelkie warunki i środki

narodowego bytu, żeby Polaków przerobić na Niemców, a ziemię ich Niemcami osadzić. Zaczęło się to już oddawna, a przez naszą nieopatrzność udawało się dobrze, tak, że w Wielkopolsce i w Prusiech zachodnich było już dużo większych właścicieli Niemców. Ale teraz wziął się do tego Bismarck ostrzej. Nie potrzebował się na nikogo oglądać, ani bać, bo po szczęśliwej wojnie z Austryą został pierwszą potęgą w całej Europie, i wszyscy bali się jego a on nikogo.

Ledwie też skończyła się wojna francuska (w roku 1871), rozpoczął on zaraz walkę z Kościołem katolickim w całych Niemczech, ale w Wielkopolsce ze szczególną zawziętością. W Niemczech chodziło mu o to, żeby złamać niezależność Kościoła, i zrobić go powolnem narzędziem w ręku pruskiego protestanckiego rządu. W Wielkopolsce chodziło o to samo, ale oprócz tego o gnębienie katolików dla tego, że byli Polakami, a Bismarck pałał szczególną, wściekłą nienawiścią przeciw Polakom, i nienawiść tę w całych Niemczech podżegał i szerzył. Nienawidził zwłaszcza księży, z powodu, że ci mieli wpływ na lud wiejski i na szlachtę, a wpływem tym utrzymywali w kraju zgodę i jednakowe wszystkich postępowanie w sprawach publicznych. Prześladowanie Kościoła — (nazwane kłamliwie *walką o oświatę (Kulturkampf)*, bo ci protestanci udają zawsze, że nasz Kościół jest przeciwny oświacie) — miało ten cel, żeby Kościół poddać władzy świeckiej nawet w rzeczach duchownych. Biskupi musieli się opierać, i szli też do więzienia jeden za drugim. Pierwszym był Arcybiskup gnieźnieński i poznański (dziś Kardynał) Mieczysław Ledóchowski. Skazany był na tyle lat więzienia, że musiałby był żyć więcej niż sto lat, żeby je odsiedzieć: a powody skazania były następujące: Kiedy rząd zakazał księżom uczyć dzieci katechizmu po polsku, Arcybiskup polecił je uczyć w tym języku, jaki dzieci rozumieją. Potem zamknięto mu seminaryum. Potem wytoczono proces o to, że mianował proboszcza (jak miał do tego wszelkie prawo) bez opowiedzenia się rządowi. On odpowiedział, że rząd nie ma prawa za to go pozywać, i na proces się nie stawił. Wtedy za *nieposłuszeństwo prawom* (!) kazano mu złożyć godność arcybiskupią. Odpowiedział, że tylko Papież może mu to nakazać. Wydano tedy nowy proces przed świeckiemi sądami, a te świeckie sądy wydały wyrok, że Biskup przestał być Biskupem (!) a za nieposłuszeństwo skazał go na dwa lata więzienia. Odsiedział tak Arcybiskup dwa lata w Ostrowie, a potem wywieziony był za granicę [1]).

Proboszczów i wikarych, mianowanych przez Biskupa bez pozwolenia rządu, więziono bardzo wielu, a na parafiach obsadzano innych, mianowanych przez rząd bez Biskupa. Takich wierni oczywiście za prawych pasterzy uważać nie mogli i kościoły takie były zawsze puste. Biskup Janiszewski, sufragan poznański, był skazany na więzienie, a następnie wygnany za to, „że bez pozwolenia rządu udzielał Sakramentu Bierzmowania“ [2]), jak żeby rząd jakikolwiek mógł zakazywać lub pozwalać udzielania

[1]) Udał się do Rzymu, gdzie go Pius IX zrobił zaraz Kardynałem i dał mu mieszkanie w swoim watykańskim pałacu. Ojciec Święty Leon XIII mianował go *Prefektem Propagandy*.

[2]) Mieszkał wtedy przez lat dziesięć w Krakowie. Później wrócił do Wielkopolski i umarł w Gnieźnie w roku 1890.

Sakramentów! Zakony wszystkie były rozpędzone, klasztory pozamykane, nie u nas tylko, ale w całem Państwie Pruskiem.

Podziwienia godnem było zachowanie się całej ludności wielkopolskiej w tej sprawie: stałość niezachwiana, cierpliwość i zimna krew wielka, rozwaga i roztropność doskonała. Wszyscy godni byli najszczerszych gorących pochwał: duchowni i świeccy, szlachta, lud wiejski i miasta. Ale największą zasługę i chwałę miało duchowieństwo, bo jako prześladowane nietylko najwięcej potrzebowało odwagi i stałości, ale przykładem swoim wskazywało świeckim jak postępować mają, i przodowało im w duchu miłości i wierności dla Kościoła, a jedności między sobą. Słusznie zaś będzie wspomnieć, że po uwięzieniu Arcybiskupa i Biskupa Sufragana, tym, który duchownym i świeckim głównie nadawał kierunek, był ksiądz Jan Koźmian o którym wyżej już była mowa. Człowiek ten bardzo dzielny umysłem i charakterem tak doskonale umiał radzić w tych trudnych okolicznościach, że cała Wielkopolska na niego się oglądała i przyznaje, że on miał wielką zasługę w jej mądrem i doskonałem ówczesnem postępowaniu.

Ale z tem prześladowaniem Kościoła przerachował się Bismarck. Oburzył na siebie wszystkich katolików w Niemczech i w końcu sam pomiarkował, że trzeba mu wycofać się z tej walki. Leon XIII-ty, w kilka lat po objęciu rządów Kościoła, mógł zawrzeć umowę, która zabezpieczała byt znośny Kościołowi w Niemczech. Ale biskupom wypędzonym rząd pruski żadną miarą do swoich dyecezyj wrócić nie pozwalał. Papież zgodził się wtedy na zamianowanie innych. Arcybiskupem gnieźnieńskim został ksiądz Dinder, Niemiec, bo Polaka Bismarck dopuścić nie chciał, a Papież nie mógł dyecezyi bez Biskupa zostawić. Arcybiskup Dinder umarł w kilka lat po objęciu dyecezyi; był bardzo szanownym, godnym człowiekiem i kapłanem.

Ale choć prześladowanie Kościoła przycichło, to prześladowanie narodu nie ustało. Bismarck w nienawiści swojej do Polaków straszył Niemców mniemanemi niebezpieczeństwami, które im miały niby od Polaków grozić, i wymyślał coraz nowe, coraz niegodziwsze sposoby, żeby ich ciemiężyć i pozbyć się. Prusacy zaś, zdawna Polakom nieprzyjaźni, a przez niego podszczuci do gwałtowniejszej nienawiści, pozwalali mu chętnie na wszystkie niesprawiedliwości i ucisk. Dzieci w szkole nie mogły bezkarnie jednego słowa wymówić po polsku; sama nauka katechizmu musiała się odbywać w niezrozumiałym dla nich, niemieckim języku. Kto miał nazwisko cokolwiek do niemieckiego podobne, ten zapisywany był w księgach ludności jako Niemiec, choćby był od wieków Polakiem. Nazwiska miasteczek i wsi przerabiano także na niemieckie. Urzędników, sędziów, nauczycieli Polaków, przenoszono daleko do Niemiec, a w Wielkopolsce wszystkie posady obsadzono Niemcami. Można powiedzieć, że Prusy i Rosya jak na wyścigi przesadzały się w pomysłach ciemiężenia Polaków: co jedno wymyśliło, to drugie zaraz u siebie naśladowało. Bismarckowi podobały się rosyjskie sposoby wypychania Polaków: wydał też pewnego razu rozkaz, że wszyscy Polacy, poddani austryaccy lub rosyjscy mają się z Wielko-

polski i z Prus zachodnich wynosić. Było takich bardzo dużo, od najbogatszych panów do biednych wyrobników: trzydzieści tysięcy ludzi musiało porzucić czy ziemię, czy handel, czy obowiązek — (sposób do życia, jaki kto miał) — i wynosić się w świat. Ten pomysł znowu spodobał się Moskalom i za przykładem Bismarcka oni zabronili Polakom, obcym poddanym, posiadania ziemi w Królestwie Polskiem. Ale piękny ten pomysł pomścił się rychło i na Niemcach samych. Rosya ma ich dużo w swoich prowincyach nad morzem Bałtyckiem: w Kurlandyi, w Estonii, w części Inflant, cała ludność miejska i cała szlachta są Niemcy. Dotychczas używali oni swobodnie swego niemieckiego języka. Teraz Rosya chce i ich przerabiać na Moskali, i zaprowadziła język rosyjski we wszystkich szkołach, we wszystkich urzędach, we wszystkich czynnościach urzędowych i prawnych. Niemców zaś, osiadłych blizko pruskiej granicy, czy przemysłowców, czy kupców, czy rzemieślników i wyrobników, zaczęła także wydalać jako obcych poddanych, a to z obawy, żeby w razie wojny nie sprzyjali i nie pomagali Niemcom.

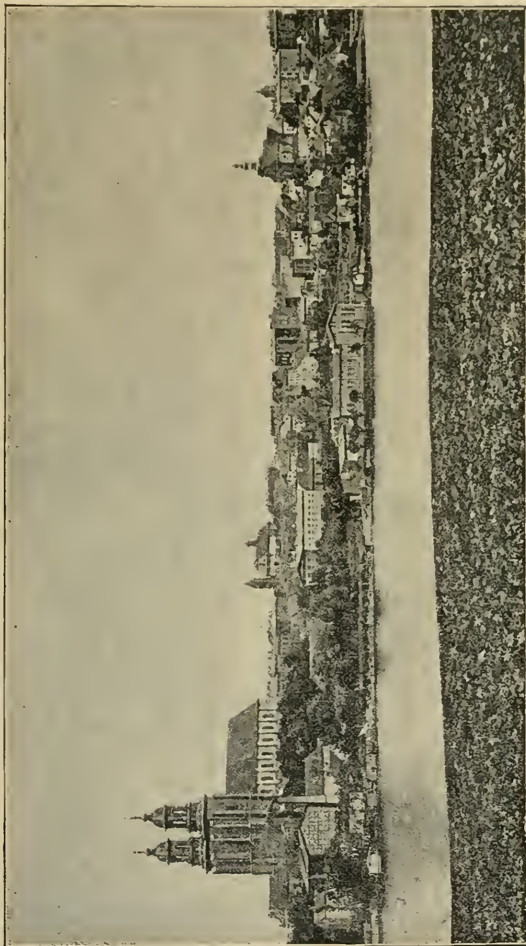
Tak samo zaś jak rząd rosyjski, tak i Bismarck, myślał, że wtedy dopiero będzie z Polakami na prawdę koniec, jak cała ziemia przejdzie w ręce niemieckie. Nie zabierał jej wprawdzie gwałtem i nie nakazywał sprzedawać, ale wynalazł na to sposób, który przy naszem lekkomyślnem usposobieniu okazał się niebezpiecznym. Z jego namowy zażądał cesarz Wilhelm I-szy, (dziś już nie żyjący) od sejmu pruskiego ogromnej sumy, stu milionów marek, na wykupienie ziemi od Polaków, a osadzanie na niej kolonistów Niemców. Sejm pozwolił: niby to dla bezpieczeństwa i całości Niemiec! jak żeby mała Wielkopolska z jednym ledwo milionem polskiej ludności mogła być straszną dla tak potężnego mocarstwa! Dość, że ustanowiono w Poznaniu komisyę, która za te sto milionów marek ma wykupować i większe majątki i grunta włościańskie od Polaków, a odprzedawać je Niemcom pod korzystnemi warunkami.

Na nieszczęście musimy przyznać, że ten środek powiódł się Bismarckowi dość pomyślnie. W Wielkopolsce byli niektórzy właściciele mocno zadłużeni, i tacy sprzedawali swoje majątki owej komisyi kolonizacyjnej, żeby byt swój i rodziny ratować. Tacy jeszcze mniej winni, bo byli przyciśnięci potrzebą. Ale znalazło się kilku i takich, co bez koniecznej potrzeby sprzedali swoją ziemię owej komisyi, dla samego zysku tylko. Dość, że od ostatnich dziesięciu lat dużo ziemi w ten sposób przeszło w ręce niemieckie.

Ale Bóg łaskaw nieraz drugą ręką oddaje to, co jedną zabrał; i tak się pokazuje w Wielkopolsce. Ludność polska, przestraszona o swoją przyszłość, zaczęła pilniej na siebie uważać i lepiej się strzedz. Więksi właściciele ograniczyli się w wydatkach, nauczyli się oszczędzać. Wszyscy, bogatsi jak ubożsi, trzymali się tego, żeby swoje potrzeby zaspokajać u samych tylko polskich kupców i rękodzielników. Przez to ludność polska w miasteczkach tak wzrosła w liczbę i zamożność, że kupcy i rzemieślnicy niemieccy zaczynają się po trochu wynosić napowrót do Niemiec. Nigdzie też w Polsce nie było tak dobrego porozumienia i tak zgodnego postępowania pomiędzy Duchowieństwem, ludnością wiejską i szlachtą, jak tam:

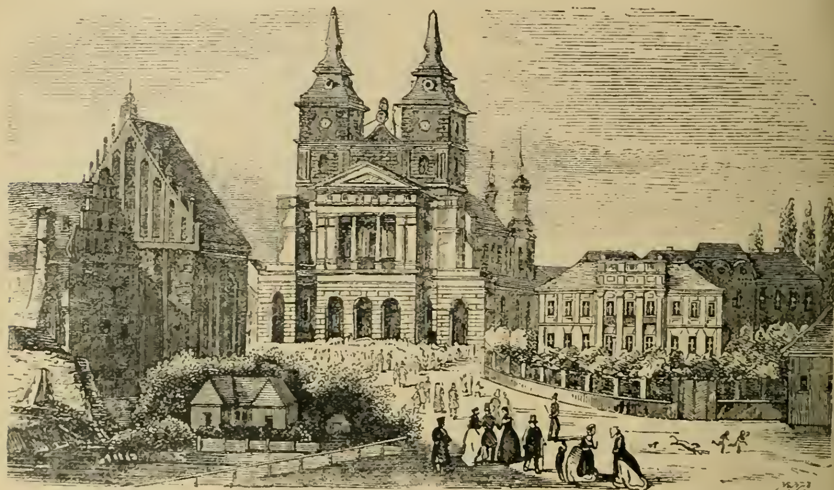
a dzięki tej zgodzie wytrzymali jakoś ciężki ucisk i mogli się jako tako ratować.

Niespodzianie zaszło też i zdarzenie szczęśliwe. Stary cesarz Wilhelm umarł; po nim w kilka miesięcy jego syn Fryderyk III-ci. Wstąpił na tron syn tego ostatniego, Wilhelm II-gi. Bismarck myślał, że człowiek młody da mu się powodować jeszcze łatwiej niż stary Wilhelm, i chciał rządzić sam, pod imieniem młodego cesarza. Ten na to pozwolić nie mógł; musiał strzedz swojej władzy i powagi. Po długich sporach przyszło do tego, że musiał Bismarcka oddalić. Od tego czasu, choć się w prawach nic nie zmieniło, jest jednak Polakom pod rządem pruskim cokolwiek lżej. Młody cesarz zdaje się rozumieć, że nie jest to ani godziwie, ani mądrze prześladować i ciemiężyć ludzi za to, że ich Pan Bóg stworzył Polakami, nie Niemcami. Swoje uczucia lepsze, szlachetniejsze okazał naprzód tem, że po śmierci Arcybiskupa Dindera zgodził się na nominacyę Polaka,



WIDOK GNIEZNA Z KOŚCIOŁEM ARCHIKATEDRALNYM.

księdza Floryana Stablewskiego, na Arcybiskupstwo gnieźnieńskie i poznańskie. Naukę religii w szkołach pozwolił udzielać w języku polskim; a jest cokolwiek nadziei, że z czasem pozwoli przynajmniej w wiejskich szkołach uczyć się więcej po polsku. Ojciec św. Leon XIII-ty bardzo go w tych dobrych zamiarach utwierdza i tłómaczy mu, że dobrocią i sprawiedliwością więcej z Polakami wskóra niż uciskiem i prześladowaniem. Polacy też sami mieli już sposobność i mieli roztropność o tem go przekonać. Niedawno cesarz wnosił do Izb nowe prawo o służbie wojskowej, na którem mu wiele zależało. Izba odrzuciła; cesarz Izbę rozwiązał i zwołał nową, z nowych



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W POZNANIU.

wyborów. Ale i tym razem owe prawo wojskowe byłoby upadło, gdyby nie to, że posłowie polscy głosowali za wnioskiem rządowym i swojemi głosami większość mu zapewnili.

Zdawało się więc, że ucisk pruski sfolguje nieco, i że będzie możliwość lepszego porozumienia między rządem pruskim a Polakami. Przeciw temu wszakże działają bardzo silnie dwa wpływy. Niektórzy Niemcy w swojej nienawiści do Polaków nie mogą znieść tego, że cesarz okazywał się dla nich względniejszym i sprawiedliwszym: a znowu niektórzy Polacy, na pozór niby wielcy miłośnicy ojczyzny i ludu, a na prawdę przewrócone głowy i przewrotne duchy, starają się wmawiać w lud po wsiach i miastach, że spokój i porozumienie z rządem to zdrada ojczyzny. Podkopują tedy wszelkiemi siłami wpływ i powagę tych ludzi, którzy dotąd sprawy Wielkopolski i w kraju i w Berlinie mimo wszystkich trudności roztropnie i dość

szczęśliwie prowadzili. W Bogu nadzieja, że te oskarżenia i wichrzenia nie znajdą wielu łatwowiernych i kraju o znaczne szkody nie przyprawią.

Ale jeżeli, da Bóg, nie uda się Polaków sprowadzić z drogi spokojnego i rozumnego postępowania, to udało się znowu rozdmuchać w Niemcach wściekłą nienawiść do Polaków. Podszczuwa ją zawsze ze swego wiejskiego mieszkania Friedrichsruh, stary Bismarck: a że Niemcy kochają i słuchają go jak drugiego Boga, więc nie było trudno. Doszła też ta zawziętość do stopnia nigdy może przedtem niewidzianego. Zwłaszcza, gdy w tym roku (1895) nadeszła ośmdziesiąta rocznica urodzin Bismarcka, i całe Niemcy obchodziły ją bardzo okazale i hucznie, podniosła się ta nienawiść tak, że we wszystkiem co mówią, piszą i robią, słyszy się i widzi się tylko to jedno wściekłe uczucie i dążenie: „Zgnieść, zmiażdżyć, zagładzić bez śladu Polaków.“



X. FLORYAN STABLEWSKI, ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKO-POZNAŃSKI.

Inaczej było i jest pod rządem austryackim. Zdaje się, jak żeby Bóg łaskaw w miłosierdziu swojem nie chciał narodu polskiego skazywać na

zagładę, bo nigdy go dotąd całego na ucisk nie wydał: ale kiedy na jednem miejscu doświadcza go i gnębić pozwala, daje mu na drugiem sposobność do życia, a zarazem do pokazania, czy żyć uczciwie i roztropnie umie.

Tak kiedy pod rządem rosyjskim i pruskim spadły niegodziwe i nigdy przedtem niewidziane prześladowania, to w Austryi los Polaków tak się zmienił na lepsze, że tylko Bogu, a po nim panującemu Cesarzowi Franciszkowi Józefowi, za to dziękować.

Mówiliśmy już wyżej, jak po przegranej wojnie włoskiej Cesarz poznał, że rząd jego aż dotąd i jemu i jego poddanym więcej przynosił szkody niż pożytku, i jak wskutek tego część swojej władzy poddanym ustąpił, powołując ich do stanowienia praw i do uchwalania podatków w Radzie państwa i w sejmach krajowych.

Sejm galicyjski, zwołany po raz pierwszy w roku 1861, w następnych, 1863 i 1864, ze względu na burzliwe wypadki w sąsiedniem Królestwie Polskiem, zwołany nie był. Rada państwa w Wiedniu zasiadała ciągle; ale pokazało się rychło, że będzie potrzebna jakaś zmiana w nadanej przez Cesarza konstytucyi. Węgrzy mianowicie wcale jej uznać i przyjąć nie chcieli; utrzymywali, że oni mają swoją osobną, odwieczną, i domagali się jej przywrócenia. Czesi upominali się znowu o odrębne prawa swego kraju. Powstały nieporozumienia, które w dalszem następstwie byłyby musiały państwo znacznie osłabić. Wtedy Cesarz rozwiązał Radę państwa z tym zamiarem, żeby w jej nieobecności przygotować zgodę z Węgrami, i zmianę w samej konstytucyi austryackiej.

Było to w roku 1865. W tym też roku, na jesień, zwołany był znowu po długiej przerwie Sejm galicyjski. Obradował kilka miesięcy, do Wielkiej Nocy następnego roku. Roztrząsał w tych naradach wszystko, co krajowi było najpilniej potrzebne, i Cesarzowi potrzeby te i życzenia przedłożył. Jednem z najważniejszych było przywrócenie języka polskiego do wszystkich urzędów i sądów. Drugiem, organizacya szkół i przyznanie sejmowi władzy prawodawczej w rzeczach szkolnych. Dalej ustanowienie osobnego ministra dla Galicyi, któryby w Wiedniu nad sprawami kraju czuwał. Dalej dla uproszczenia i przyśpieszenia biegu sprawiedliwości, zaprowadzenie sądów pokoju. Dalej zniesienie prawa propinacyi (przywileju większych właścicieli) za stósownym wykupem. Dalej (to już na zasadzie projektów przez rząd ułożonych) administracyjny podział kraju na powiaty, ustawa gminna i organizacya Rad powiatowych. Mniejszych (choć nader ważnych) spraw nie wymieniamy, ani możemy tu opowiadać wszystkich trudności i walk, jakie ten sejm miał do przebycia. Były zatargi długie i zacięte z Rusinami, były sprzeczności wielkie w zdaniach między samymi Polakami. Z tych sprzeczności przypominamy tu jedną, jako najważniejszą. Przy obradach nad ustawą gminną, niektórzy posłowie (głównie z zachodniej części kraju) chcieli połączenia dworów i gromad w jednej gminie (zbiorowej, nie w gromadzie); inni, w większej liczbie, byli takiemu połączeniu przeciwni. Z tych sprzeczności, a po części z braku doświadczenia u wielu, wynikło, że Sejm ten nie wszystko tak dobrze uchwalił, jakby był mógł. Z oporu Rady

państwa znowu, która krzywo patrzała na prawa przyznawane sejmom krajowym, wynikło, że nie wszystkie żądania kraju i nie w zupełności były przez rząd przyjęte. Jednak na owym to sejmie uchwaliło i poczęło się to, co do dziś dnia jest podstawą naszych praw i stosunków w kraju; a za tym początkiem poszły w następnych sejmach uchwały wielkiej wagi i wielkiego pożytku, które stan kraju wielce poprawiły i podniosły. Co zaś w tym sejmie stało się szczególnie dobrego, to że w nim i przezeń począł się dobry, wzajemny stosunek kraju i rządu, który się odtąd ciągle utrwalał i wzmacniał.

Od rozbioru Polski bowiem była między tym krajem a rządem nieprzyjaźń. Kraj uważał się za nieprawnie zajęty: rząd bał się, że się ten kraj przy pierwszej sposobności od państwa oderwie: i chcąc się od tego zabezpieczyć, chciał go zniemczyć, a wszelkie polskie uczucie prześladował, za wszelki objaw tego uczucia karał. Prześladowania, szpiegowania, więzienia, naturalnie rozniecały tylko nienawiść Polaków do rządu. Teraz, kiedy po nadaniu konstytucyi, a zwłaszcza od zawieszenia Rady państwa, Rząd zaczął okazywać sprawiedliwsze względem kraju zamiary, kraj uznał, że i jemu należy okazać lepsze względem rządu i państwa uczucia. Oświadczył tedy kraj przez swój ówczesny sejm w adresie do Cesarza, że Cesarzowi wiernym jest i być chce. Sam zaś przed sobą uznał i postanowił, że nie będzie myślał o odrywaniu się od państwa austryackiego, że nietylko nie będzie nic na szkodę tego państwa robił, ani się z jego nieprzyjaciółmi łączył, ale owszem będzie o jego dobro, bezpieczeństwo i siłę dbał szczerze gorliwie i czynnie. Ale za to rząd winien jego odrębną narodowość szanować i prawa przyrodzone, z tej odrębnej narodowości wynikające, jak wiarę, język, samorząd, uznać i ich uczciwie dochować. W ten sposób zawiązała się po raz pierwszy ufność i życzliwość między Polakami a rządem i państwem austryackiem: ufność, zgoda i życzliwość, która odtąd wzmaga się i wzrasta, dzięki rzetelnemu i uczciwemu z obu stron dotrzymaniu słowa, dzięki wspaniałemu sercu i mądrości Cesarza, ale dzięki także roztropności i słowności kraju, który nieraz od tego czasu miał sposobność państwu całemu niemałe oddać usługi i złożyć mu dowody swojej szczerej wierności.

Niepodobna tu opowiadać całej historyi kraju i sejmu od lat blizko trzydziestu, wspominać wszystkich pomyłek, jakie się popełniły, ani wszystkich korzyści, jakie się zdobyły. Pomyłek było wiele, nikt temu zaprzeczyć nie może: a kto ma zdrowy rozum i doświadczenie, ten wie, że ludzie mylić się muszą, bo nie są wszechwiedzący, i często w najlepszej wierze i z najlepszą wolą, zrobią coś takiego, co im się dobrem wydaje, a w skutkach dopiero pokazuje się błędnem. Tak i nasz sejm mógł się nieraz pomylić. Jako przykład takiej pomyłki wymieniamy prawo o nieograniczonej wolności dzielenia gruntów włościańskich. Sejm rozumiał, że w ten sposób wyprowadzi stan włościański z długów, które mu ciężą. Mniemał sejm, że kto ma gospodarstwo zadłużone, ten jakąś część gruntu odsprzeda i będzie miał mniej, ale spokojnie, bezpiecznie, bez procentów do opłacania, bez obawy, że jedna klęska zniszczy go do szczętu: a na tem mniejszem gospodarstwie, jak się będzie rządził dobrze, to się dorobi i może sprzedany

kawał gruntu lub jemu równy na nowo przykupi. W praktyce pokazało się inaczej. Mniejsza była liczba tych, co długi spłacili i rządzili się roztropnie: większa liczba takich, co brnęli dalej w długi. Inni znowu dzielili gospodarstwo między dzieci po cząstkach tak małych, że już wyżyć na czem nie było, a dzieciom tych dzieci nie zostawało nic do podziału. A ile przytem procesów i kosztów na procesa, ile zwad i waśni między rodzinami, ile podejścia i oszukaństwa ze strony tych usłużnych ludzi, co się włościaninowi w potrzebie z pożyczką ofiarują, a potem nieopatrznemu takie wyliczą procenta i procenta od procentów, że niejeden wyszedł z ojcowizny z tem tylko co miał na sobie! Nieograniczona podzielność gruntów okazała się szkodliwą, i sejm, choć dobrze chciał, postąpił mylnie. Nieraz także zdarzyło się, że nie postąpił tak dobrze, jakby był mógł. Żałować można naprzykład, że w ustawie drogowej albo w ustawie o konkurencyi kościelnej więksi właściciele nie byli pociągnięci do wyższego wymiaru należytości, jak to niektórzy z nich sami chcieli i na sejm wnosili. Ale doskonałego na tym świecie nie ma nic, a dobrego wynikło nam z tych sejmów wiele. Gdyby tylko wymienić samo prawo o ograniczeniu lichwy. W całym świecie myśleli i mówili uczeni ludzie, prawnicy, ekonomiści, że lichwy ograniczać nie można i nie zda się na nic, bo podstępny wierzyciel zawsze potrzebującego człowieka skusić i oszukać potrafi, a siebie od rygoru prawa i od kary wykręcić. Wierzył w to cały świat. Znalazł się Polak jeden, poseł na lwowski Sejm i do Rady państwa, Andrzej Rydzowski, adwokat w Krakowie (zmarły w r. 1880), który dowiódł, że można skutecznie bronić się przeciw lichwie, i wniósł w sejmie prawo o jej ograniczeniu i karaniu. Za tym przykładem, danym przez sejm galicyjski, poszedł niejeden w państwie austryackiem. Uratowało się w ten sposób wiele majątków od zatraty, wiele ziemi od przejścia w obce ręce, wiele rodzin od nieszczęścia i nędzy.

Prawo przeciw pijaństwu mogłoby posłużyć za drugi przykład. Wyjmujemy tu zaś tylko z ogółu niektóre sprawy i stosunkowo drobne. Całkowity stan kraju, zamożność i oświata jego bez porównania większa od tej, jaka była przed laty trzydziestu, wskazuje najlepiej, ileśmy z sejmów, z Wydziału krajowego, z Rad powiatowych mieli korzyści.

Narzekamy na nie często i mówimy, że dużo kosztują, a pomagają niewiele; że zwłaszcza na stanie włościańskim ciężą wielkiemi wydatkami, a nie opłacają mu się stosownym pożytkiem. Zawsze to już tak było i będzie, że ludzie skarżą się na to, co jest, i ten ciężar wydaje im się najdotkliwszy, który ich w tej chwili gniecie. Ale wydaje się tak nieznośnym dlatego, że porównywają go z tym stanem lepszym, którego pragną i wyglądają. Ale gdyby chcieli porównać go z tym gorszym, z którego wyszli, to przekonaliby się, że czegokolwiek jeszcze brak, to dobrego przybyło więcej.

Prawda jest, że podatki ogromne. Samo państwo potrzebuje ich bardzo wiele na wojsko i na swoje inne konieczne cele. Swoje znowu dodaje kraj, na drogi, na szkoły, na szpitale, na budowle wodne, na tysiące potrzeb. A jeszcze nowe podatki powiatowe, a oprócz tych jeszcze gminne…

Ciężko jest i nastarczyć trudno, a słusznie dążyć do tego, żeby ulżyć gdzie się da, a gdzie zmniejszyć nie można, to sprawiedliwie podatki rozłożyć.

To wszystko prawda, ale popatrzmy na kraj nasz, jakim był przed laty, a jaki jest dziś. Szkół wiejskich wiele było wtedy? a dziś jest ich cztery tysiące. Wielu ludzi we wsi czyta i pisze dziś, a wielu umiało czytać przed dwudziestu laty? Czy to nie korzyść i czy nie warto łożyć na to, żeby się ludzie oświecali?

Jakie przed laty mieliśmy drogi? Jeden wielki, murowany gościniec od Lwowa do Białej i kilka mniejszych, bocznych ku górom, a zresztą? Pamiętamy przecie wszyscy te błota albo piachy, w których mordowały się konie, zanim przez mil kilkanaście wóz do gościńca dowlekły. A jaka w tem strata na czasie, na siłach i życiu bydlęcia, na cenie tego towaru, który się z takim trudem odstawiało! Dziś mamy 1.761 kilometrów dróg krajowych przez Wydział krajowy zbudowanych, a dróg powiatowych i gminnych tyle, że po całym kraju szybko i łatwo z dowozem jeździć możemy. Niema dróg nieprzebytych, niema przewłoki w odstawie i straty na cenie, niema ubytku na siłach i zdrowiu sprzężaju. Kosztuje to, prawda: ale czy się ten koszt nie wraca większą całego kraju zamożnością i wygodą? Tem, że każdy łatwiej i za lepszą cenę sprzeda to, co ma na sprzedaż, a łatwiej i taniej kupi co mu potrzeba, (taniej dlatego, że przywóz tego towaru kupca samego mniej kosztował).

A szpitale? Prawda znowu, że ciążą bardzo na krajowym corocznym budżecie. Ale czy nie lepiej, że każdy w bliskiem mieście znajdzie szpital, gdzie może chorego umieścić — bezpłatnie jeżeli ubogi — i gdzie ten chory znajdzie opatrzenie staranne, lekarza biegłego, wygodę, a przez to wszystko łatwiejszy powrót do zdrowia? A obwałowanie rzek i inne budowle wodne, które nie mogą raz na zawsze od klęsk powodzi zasłonić, ale które przecie bronią od nich znacznie i zmniejszają ich nieszczęśliwe skutki? A seminarya nauczycielskie czyli zakłady, w których się uczą młodzi ludzie, jak dzieci w szkole dobrze uczyć mają? — A ochrona lasów? a podniesiony chów bydła? a kasy zaliczkowe i pożyczkowe, które w każdym powiecie niemal za małą opłatą dostarczają potrzebnego kredytu, a od lichwiarza, od upadku i nędzy bronią? A te wielkie roboty, kosztem kraju przedsiębrane, żeby dostarczyć zarobku okolicom dotkniętym klęską nieurodzaju, gradu lub powodzi...

Możnaby tak wyliczać długo i długo, a pokazałoby się dowodnie każdemu, kto sprawiedliwie chce patrzeć i sądzić, że choć niejedno może być lepiej niż jest, to wszystko niemal jest lepiej, niż było dawniej. A czyją to sprawą i zasługą, jak nie Sejmu i Rad powiatowych?

Słusznie będzie podać tu wdzięczne choć krótkie wspomnienie o kilku bodaj z tych ludzi, którzy się w sprawach krajowych tego czasu najwięcej odznaczyli i zasłużyli.

Wymienić tu należy naprzód księcia Leona Sapiehę, który był pierwszym krajowym marszałkiem i zostawał nim przez długie lata. Pochodził on z Litwy, jak cały jego ród; urodził się w pierwszych latach naszego wieku na Litwie, był jedynym synem u rodziców i dziedzicem

ogromnego majątku. Jako młody człowiek wstąpił do służby publicznej w Królestwie Polskiem pod księciem Lubeckim, bardzo zdolnym ówczesnym ministrem skarbu. Młody Sapieha zwracał na siebie uwagę zwierzchnika i towarzyszy niepospolitą zdolnością; powierzano mu często badanie i opracowanie spraw i projektów najtrudniejszych i najważniejszych. Gdy przyszło powstanie roku 1831, Sapieha poszedł do wojska. Po upadku powstania rząd rosyjski skonfiskował wszystkie jego majątki; sam z żoną i dziećmi umknął do Galicyi, bo inaczej byłby uwięzionym i wywiezionym na Sybir. Z resztek majątku, jakie matka dla niego ocalić potrafiła, nabył dobra Krasiczyn pod Przemyślem i osiedlił się w Galicyi. Tu i sam bezczynnym być nie chciał, i drugich do pracy umiał zachęcić i wciągnąć. Jego staraniem (w wielkiej części) zawiązało się Towarzystwo rolnicze we Lwowie, a następnie Towarzystwo kredytowe ziemskie, zakład, który daje pożyczki hipoteczne na dobra. Spraw politycznych wtedy nie było; zajął się gospodarczemi, temi, które mogły podnieść i rozwijać zamożność kraju. Oprócz tych, z pomocą żony, bardzo miłosiernej i dzielnej, zajmował się sprawami dobroczynności i przyczynił się głównie do stworzenia we Lwowie kilku nader pożytecznych zakładów miłosiernych. Ostrożny, roztropny, cierpliwy, złych rządów ówczesnych nie wyzywał, ani do żadnych niepewnych, krajowi szkodliwych robót nie należał. Myślał o tem, co pożyteczne; a po kilku latach starań udało mu się zawiązać w Wiedniu Towarzystwo do budowania kolei żelaznej, i otrzymać na nią pozwolenie rządowe. Jemu zawdzięcza kraj główną linię komunikacyjną, kolej Karola Ludwika z Krakowa do Lwowa, i dwa jej rozgałęzienia, do Czerniowiec jedno, drugie do Podwołoczysk i Brodów (do granicy rosyjskiej). Kiedy Cesarz miał mianować marszałka krajowego dla Galicyi, wybrał jego, bo nikt nie miał więcej od niego zasługi i powagi. Jako marszałek miał książę



LEON SAPIEHA.

Sapieha nieocenione przymioty. Wielki rozum, doświadczenie, znajomość spraw i potrzeb kraju; roztropność i powagę w postępowaniu taką, że i u Cesarza miał zachowanie i u Sejmu ufność i wpływ wielki. Pracowitość i pilność jego była przykładem dla wszystkich młodszych i podwładnych. Jako pierwszy marszałek, on musiał zawiązać i rozpocząć tę całą administracyę krajową, którą nazywamy Wydziałem krajowym, i jemu podległemi wydziałami powiatowemi. Zadanie było tem trudniejsze, że trzeba było posługiwać się ludźmi do służby publicznej nienawykłymi. Leon Sapieha spełnił je znakomicie. Po czternastu latach urzędowania, stary i znużony, książę Sapieha złożył laskę marszałkowską w roku 1875. Umarł w roku 1878 u siebie w Krasiczynie i tamże jest pochowany.


AGENOR GOŁUCHOWSKI.

Hrabia Agenor Gołuchowski, trzykrotnie namiestnik cesarski w Galicyi, rozpoczął swój zawód od zwykłej służby urzędniczej. Stopniowo postępował coraz wyżej, aż w roku 1848, w wieku stosunkowo jeszcze młodym, został namiestnikiem. Podwładny ministrom musiał wykonywać ściśle ich rozkazy, a że te podówczas rzadko kiedy były z dobrem kraju zgodne, więc i namiestnik nie był w kraju lubionym. Ale Cesarz znał i cenił wysoko jego zdolność; i kiedy po nieszczęściach wojny włoskiej roku 1859, w bardzo złym stanie skarbu, szukał człowieka, któryby mógł takim trudnościom dać radę, wezwał Gołuchowskiego i zrobił go prezydentem ministrów i ministrem spraw wewnętrznych. On to za rządów swoich skłonił Cesarza do nadania konstytucyi i ułożył jej zasady (w październiku roku 1860). Ale gdy inni członkowie rządu, Niemcy, zaczęli te zasady zmieniać na szkodę krajów koronnych i ich praw, Gołuchowski podał się do dymisyi. Odtąd przeżył lat kilka u siebie na wsi, w Skale, zajęty domowemi i majątkowemi sprawami. W roku 1865 wszedł do Sejmu, wybrany posłem z kilku naraz okręgów. Gdy zaufanie między krajem a rządem zaczęło wzrastać, gdy język polski miał się stać urzędowym, przez co namiestnicy Niemcy, nie znający tego języka, byli niemożebni, Gołuchowski był wskazany na to stanowisko, jako ten, któremu doświadczeniem i biegłością w rządzeniu żaden z Polaków nie mógł dorównać. Objął więc rządy kraju i sprawował je świetnie i chlubnie. Wszystkie dawne przeciw niemu uprzedzenia i niechęci ustały. Ale w roku 1868 powstały znowu nieporozumienia między nim a ministrami; chodziło o różne sprawy i prawa kraju. Nie mogąc robić tak, jak chciał, Gołuchowski znowu wziął dymisyę. Szczęściem nie na długo. W Wiedniu nastąpiła zmiana ministeryum, po której Cesarz znowu powołał Gołuchowskiego do rządów kraju w roku 1871. Pozostał on na tem stanowisku już do śmierci, która nastąpiła we Lwowie w roku 1876.

Maurycy Kraiński, właściciel dóbr w obwodzie przemyskim, był od początku sejmów zastępcą marszałka w Wydziale krajowym. Doskonały

prawnik, wyborny znawca wszystkich spraw krajowych, jasny i ścisły mówca, miał on prócz wielu innych tę ogromną zaletę, że umiał nakazać i dopilnować wykonania nakazu, podwładnych przejąć uczuciem obowiązku i przestrzegać pilnie porządku w urzędowych czynnościach. On był właściwym organizatorem Wydziału krajowego i doskonałym nadzorcą jego prac, aż do czasu kiedy starość i złe zdrowie kazały mu służbę krajową porzucić. Umarł w roku 1885.



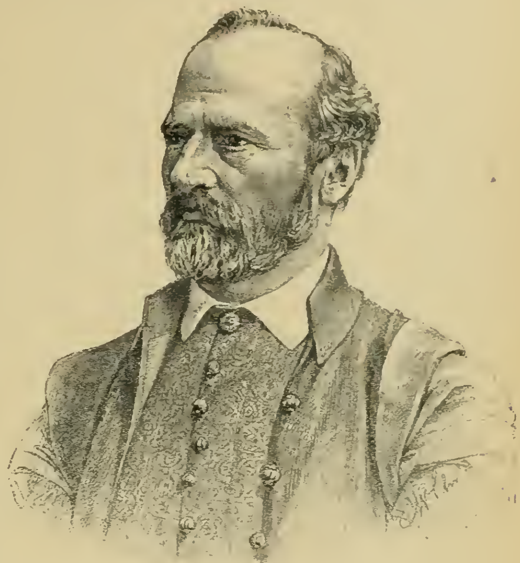
FRANCISZEK SMOLKA.

W Wydziale krajowym także rozpoczęli swoją służbę publiczną Kazimierz Grocholski i Kornel Krzeczunowicz. Oba właściciele ziemscy, a z nauk i wychowania prawnicy. Krzeczunowicz znał jak nikt drugi stosunki skarbowe i podatkowe kraju. Poświęcił im pracę całego życia; i wszystkie nadużycia, wszystkie błędy administracyi rządowej, wszystkie usterki w szacowaniu gruntów lub dochodów, wszelki zły rozkład podatków, wykazywał w mowie i w piśmie ze śmiałością i dokładnością niezrównaną, z dowodami niezwyciężonemi, z wymową ciętą i świetną. Grocholski, w umyśle rozważny, w charakterze stateczny i prawy, miał wielkie w kraju zaufanie i powagę, a odznaczył i zasłużył się zwłaszcza w Radzie państwa, jako prezes Koła posłów polskich. On i jedność tego Koła umiał utrzymać i roztropny kierunek polityczny mu nadawać, a od zboczeń je chronić; i przez głosowanie posłów polskich nieraz państwu w trudnych razach zapewnić pomyślny obrót spraw w Radzie państwa i potrzebne środki działania. Przez czas niedługi był ministrem dla Galicyi, ale przy zmianie ministeryum ustąpił. Umarł w roku 1888.

Przyjacielem Grocholskiego i także przez pewien czas członkiem Wydziału krajowego był Seweryn Smarzewski, człowiek niezmiernie rozumny, uczony, i najświetniejszy mówca, jaki był dotąd w naszym Sejmie; ale

umysł doskonały do myślenia i do radzenia, do działania nie był już równie dobrze usposobiony, niedość praktyczny.

Franciszek Smolka i Floryan Ziemiałkowski (oba dotąd żyjący) byli bardzo młodzi, wielką przyjaźnią złączeni, i odbywali nauki prawne, kiedy się wdali w częste podówczas tajne związki, poszli do więzienia, przesiedzieli w niem lat kilka, wreszcie skazani byli na śmierć, ale natychmiast przez Cesarza (Ferdynanda podówczas) ułaskawieni. Po więzieniu o służbie urzędowej myśleć nie mogli, brali się do adwokatury. W roku 1848 wybrani do ówczesnego parlamentu austryackiego, odznaczyli się w nim zaraz: Ziemiałkowski niezwykłą bystrością, obrotnością i wymową, Smolka spokojem, statkiem, roztropnością i sprawiedliwością. Te przymioty tak zjednały Smolce zaufanie ówczesnej Izby, że choć był Polakiem, wybrała go swoim prezydentem. Oba należeli do tego, co się nazywało stronnictwem liberalnem, a to przyczyniało się bardzo do ich wziętości i wpływu, zwłaszcza po miastach. Podczas powstania roku 1863 Smolka oświadczył głośno, publicznie, że je uważa za niebezpieczne i zgubne; Ziemiałkowski popierał je i znowu dostał się do więzienia. W roku 1867 zaczęli się różnić w zdaniu. Ziemiałkowski popierał usilnie w Sejmie i w Kole polskiem w Wiedniu ówczesne ministeryum; Smolka należał do opozycyi, bo pragnął więcej praw dla poszczególnych krajów, więcej władzy dla sejmów, a mniej dla Rady państwa. W późniejszych latach Ziemiałkowski został ministrem dla Galicyi i był nim aż do roku 1889; Smolka przez wiele lat wybierany był zgodnie przez wszystkie stronnictwa prezydentem Izby posłów w Radzie państwa i dopiero w roku 1893 z powodu sędziwego wieku godność tę złożył.



MIKOŁAJ ZYBLIKIEWICZ.

Mikołaj Zyblikiewicz, syn mieszczanina ze Starego Miasta (w Samborskiem), po skończeniu nauk został adwokatem. Bardzo zdatny, a nadewszystko niezmiernie prawy i szlachetny, rychło zyskał zaufanie i wziętość. Ze wszech stron powierzano mu sprawy; pracując dalej w tym zawo-

dzie, byłby doszedł wkrótce do znacznego majątku. Ale kiedy się sejmy zaczęły, oddał się cały sprawom publicznym. Miał wielki zapał, dzielność, energię, miał doskonałą znajomość prawa; miał umysł bystry, który się w każdej sprawie, w każdem położeniu odrazu połapał; i miał żywą, gorącą wymowę, zawsze w pogotowiu odpowiedź, którą przeciwników zbijał. Te zdolności przy charakterze nieskazitelnie czystym i szlachetnym sprawiły, że stał się posłem jednym z najznakomitszych i najpotrzebniejszych. Przebył też w Wiedniu długie lata w Radzie państwa, na straży praw



SUKIENNICE W KRAKOWIE
zbudowane przez króla Kazimierza Wielkiego, odnowione w czasie rządów Zyblikiewicza.

i interesów kraju, a świetnych walk w ich obronie stoczył tam z przeciwnikami bez liku. Był przez czas jakiś prezesem poselskiego Koła polskiego. Ale niezmiernie żywy, popędliwy, znużył się wkońcu tym zawodem, w którym wiele wypada cierpliwie znosić i ustępować, i wolał być burmistrzem w Krakowie niż posłem w Wiedniu. Jako burmistrz oddał się z zapałem sprawom miasta; jego porządek, jego zamożność i świetność były jego marzeniem i celem jego starań. Jako ślad swoich rządów zostawił w Krakowie Sukiennice odbudowane i założone Narodowe Muzeum. Po ustąpieniu hr. Ludwika Wodzickiego z marszałkostwa objął laskę i dzierżył ją świetnie. Celem jego było poświęcić całą uwagę i pracę kraju sprawom gospodarstwa i oświaty, a mniej się zaprzątać sprawami politycznemi. On to za swojego marszałkostwa założył Bank krajowy, a u Sejmu

wyjednał uchwałę, mocą której co roku przybywać zaczęło po pięćdziesiąt nowych szkół wiejskich. Szło to tak szybko, że wkońcu trzeba było zwolnić i nie tak się spieszyć z zakładaniem szkół nowych, bo była obawa, że dla tych nowych szkół nie będzie dosyć nauczycieli. Wskutek jakichś nieporozumień między Wydziałem krajowym a Namiestnictwem, złożył marszałkostwo w jesieni roku 1886, a wkrótce potem umarł, na wiosnę roku 1887, w tym samym Krakowie, w którym przebył młodość, którym później rządził, i do którego przywiązany był najgoręcej.



ADAM POTOCKI.

Adam Potocki, dziedzic Krzeszowic, a oprócz tego innych majątków w Galicyi i pod rządem rosyjskim, zmarły wcześnie, bo miał zaledwo lat 50, był jednym z najdzielniejszych i najszlachetniejszych ludzi w kraju. Wielkie serce, zdolność poświęcenia się dla kraju czy dla bliźniego, ścisłe i gorliwe pełnienie obowiązku, łączyły się w nim z energią i zdolnością rzadką. Przez te przymioty, do których jeszcze trzeba dodać śmiałość, otwartość, stałość przekonań i świetną wymowę, zajął on w Sejmie i w Radzie państwa jedno z pierwszych stanowisk. Droga, na którą wszedł Sejm i kraj, droga porozumienia z rządem a wierności Cesarzowi, przez niego wskazy-

waną była krajowi na długo jeszcze przed początkiem sejmów. Jego układu głównie był ten adres, w którym Sejm Cesarzowi owo przyrzeczenie wierności składał. Z kilkoma przyjaciółmi, dzielącymi jego przekonania, jak Henryk Wodzicki, Franciszek Paszkowski, Zyblikiewicz, Dietl i inni, był Adam Potocki środkiem i duszą tych w Sejmie dążeń i działań, które jasną i pewną drogą zmierzały do społecznego spokoju i zgody, do prawdziwego w kraju postępu. Wielki pan z urodzenia i majątku, był nieprzyjacielem wyłączności i odrębności różnych warstw społeczeństwa, a tego chciał, do tego z całą swoją energią dążył, żeby te różne warstwy zbliżyły się do siebie przez sprawiedliwe prawa i nieprzerwane stosunki. Tak on rozumiał, na tem zasadzał postęp; w każdej też sprawie (naprzykład w gminnej, w drogowej, w wielu innych), zawsze na tem stanowisku stawał, tego bronił. Nie zawsze ze skutkiem niestety, bo nie wszyscy mieli pojęcie tak bystre, wolę tak szlachetną jak on. Pracą dla kraju całe życie zajęty, mógłby był łatwo dojść do najwyższych urzędów, ale jemu i najniższy był dobry, jeżeli widział, że na nim pożytecznym być zdoła. Pod koniec życia gotów był przyjąć obowiązki delegata Rady miejskiej krakowskiej do Rady szkolnej krajowej, i sprawom wychowania się oddać, kiedy przyszła ciężka choroba, a w końcu śmierć (w roku 1872), którą słusznie uważać można za wielkie dla kraju nieszczęście.



ALFRED POTOCKI.

Jego syn Artur, kiedy dorósł (w wiele lat po śmierci ojca), wstąpił do Sejmu, i w nim pięknie w ojcowskie ślady wstępował. On to, po bankructwie Banku włościańskiego, własną kieszenią i kredytem i głową swoją tyle poradził, że kilkanaście tysięcy zadłużonych gospodarstw włościańskich uratował od przymusowej sprzedaży przez licytacyę. On też w wielkiej części przyczynił się do wykupna propinacyi, przez które krajowi przybył znaczny dochód, a dawnym właścicielom dostał się znaczny kapitał. Nieszczęście chciało, że zeszedł z tego świata jeszcze wcześniej niż ojciec, bo nie miał nawet lat czterdziestu (1890).

Alfred Potocki, stryjeczny brat Adama, ordynat na Łańcucie, nie miał w sobie tej śmiałości i rzutkości co tamten, ale miał rozważność, cierpliwość, doświadczenie, zimną krew, spokój i wyrozumiałość w obejściu z ludźmi. W przekonaniach swoich był bardzo stały; prawdziwy i godzien zaufania, jak mało kto między ludźmi. Miał też tę ufność, wiarę i powagę powszechną w kraju, a wielką także w Wiedniu, zwłaszcza u samego Ce-

sarza. Kiedy po zwołaniu Rady państwa w roku 1867 chodziło o to, żeby jednego Polaka wprowadzić do rządu, mianował go Cesarz ministrem rolnictwa. Później, w chwili wielkich w Radzie państwa sporów i zatargów, licząc na umiarkowanie i spokój Alfreda Potockiego, zrobił go prezydentem ministrów czyli postawił go na czele swego rządu. Kiedy książę Leon Sapieha złożył laskę, Potocki został po nim marszałkiem krajowym, a w rok później, po śmierci hr. Gołuchowskiego, namiestnikiem. W roku 1883, czując się chorym, podał się do dymisyi. Umarł w roku 1889. Przekonaia miał te same co jego brat stryjeczny Adam, i tak samo jak tamten, łączył dażenie do prawdziwego, rozumnego postępu ze ścisłem przestrzeganiem porządku i z rzetelną wiernością dla Cesarza i państwa.

Osobną wzmiankę słusznie jest poświęcić Józefowi Baumowi. Właściciel Kopytówki (w powiecie wadowickim), za młodu wojskowy, później gospodarz, cieszył się on szczególnem zaufaniem i przychylnością ludu wiejskiego. Posłowie włościańscy często podejrzywali innych: Baumowi wierzyli zawsze. Podobne zaufanie i powagę miał on u wszystkich powszechnie. W Radzie państwa był Wiceprezesem Koła polskiego. Umarł w roku 1883.


JÓZEF DIETL.

Hrabia Władysław Badeni, ojciec dzisiejszego Namietnika, stał przez długie lata na czele departamentu drogowego w Wydziale krajowym. Jemu głównie zawdzięcza kraj te doskonałe i liczne środki komunikacyi, jakie dziś ma. On ułożył cały plan budowy dróg krajowych; oznaczył, w jakiem następstwie jedne po drugich mają być budowane, on wreszcie prowadził te roboty i dozorował je, a zrobił to w czasie i kosztem stosunkowo małym. Cały plan dróg wykonany był w zupełności za jego życia. Jaką przez to oddał krajowi usługę, jak dopomógł mu do większej zamożności, to łatwiej zrozumieć niż obliczyć. Odznaczał się prócz tego niepospolitą energią, praktycznością, umysłem bardzo jasnym, sądem trafnym, i doskonałą, jędrną, pełną treści wymową. Umarł w roku 1888.

Józef Dietl, z niemieckich rodziców w Galicyi urodzony, był z zawodu lekarzem. Jako lekarz był tak niezmiernie zdolny, że mnóstwu ludzi zachował zdrowie i życie, a samą naukę lekarską w niejednem naprzód posunął. Za młodu uczył się i mieszkał w Wiedniu, gdzie go też uniwersytet chciał zatrzymać jako profesora jednej z nauk medycznych. Ale on wolał wrócić do kraju. Osiadł w Krakowie i leczył, a jako profesor wykształcił bardzo

wielu dobrych, zdolnych lekarzy. Jako Rektor krakowskiego Uniwersytetu ujmował się dzielnie i mądrze za jego prawami, i przyczynił się znacznie do tego, że język polski był przywrócony jako wykładowy (w miejsce niemieckiego, który był dawniej). W Sejmie zajmował się głównie sprawą szkół i ich poprawy. W końcu został burmistrzem miasta Krakowa i zarządzał niem znakomicie. Złożył urząd z powodu wieku i złego zdrowia, umarł w roku 1878.



DR JÓZEF MAJER.

Kiedy się zaś wspomniało o tych, którym zawdzięczamy głównie lepszy stan szkół i całą ich organizacyę, to należy się wymienić tych, którym kraj dzieło to głównie zawdzięcza. Dietl ma w tem znaczną część zasługi, ale oprócz niego byli inni, którzy niemniej od niego na tem polu zdziałali, a pracowali na niem dłużej. Takim był Euzebiusz Czerkawski (dotąd żyjący), niegdyś Inspektor szkół średnich, później profesor filozofii w Uniwersytecie lwowskim. Z żyjących Polaków z pewnością najlepszy znawca urządzeń szkolnych w całej Europie, a przez własne doświadczenie doskonale obeznany ze stanem szkół w naszym kraju i ich potrzebami, był tym w Sejmie, który na układ naszych ustaw szkolnych wpływał najwięcej. Obok niego Zygmunt Sawczyński, niegdyś profesor gimnazyalny, później dyrektor seminaryum nauczycielskiego we Lwowie i prezes Stowarzyszenia nauczycieli szkół niższych (zmarły w roku 1893). Ten oprócz innych swoich zalet miał rzadki dar wymowy. W sejmowej komisyi dla spraw szkolnych, która te prawa przygotowała, przewodniczącym był przez wszystkie lata dotąd żyjący Józef Majer, prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, niegdyś profesor uniwersytetu, aż do czasu, kiedy się z powodu późnego wieku ze spraw publicznych wycofał. Stałym zaś członkiem tejże komisyi, jednym z najgorliwszych i najrozumniejszych, był sławny historyk Józef Szujski, profesor Uniwersytetu krakowskiego, zmarły w roku 1883.

Temu należy się kilka słów wspomnienia, bo był jeden z najlepszych i najrozumniejszych ludzi jakich Polska wydała w tych czasach. Urodził się w Tarnowie w roku 1835. Uczył się najwięcej w Krakowie. Za młodu

oddawał się głównie poezyi; myślał, że to jego właściwa zdolność i powołanie. Ale już wtedy z wielkim zapałem i z wielką pracą starał się zrozumieć, z jakich powodów dawna Polska upadła, i jakim sposobem odżyć może. Żeby się tego dowiedzieć, uczył się jej historyi. Po kilku latach zaczął tę historyę pisać. Po roku 1863, kiedy zmiarkował jaką klęską narodu stało się ówczesne powstanie, w wielkiej boleści serca rozmyślał nad przyczynami tych wielkich nieszczęść, i doszedł, że te same wady, które dawną Polskę zgubiły, dzisiejszej nie dają się podźwignąć: mianowicie głęboko zakorzeniony zwyczaj nierządu, nieufność i zazdrość ludzi i stanów względem siebie. Jak za dawnych czasów, każdy szlachcic mniemał, że ma prawo swoją wolę całemu narodowi narzucać, i swoim jednym głosem (Liberum Veto) zrywał jego sejmy, tak dziś jeden lub kilku myśli, że ma prawo stanowić o losach ojczyzny, zawiązać spisek, i podnosić powstania. A skutki jednego jak drugiego równie nieszczęśliwe. To Szujski pisał, a przez to naraził się tym, którzy w tajne spiski wierzą, i ogłoszony był przez nich prawie za zdrajcę ojczyzny. Ale znaleźli się i tacy, którym oczy otworzył, których przekonał, że nie można być narodem bez rządu, bez władzy, bez rozumnego kierowania swoimi losami, bez pracy i bez oświaty. Stał się też przez te swoje pisma jednym z ludzi najbardziej poważanych w kraju. Przez swoje dzieła historyczne znowu odznaczył się tak, że kiedy w roku 1869 Cesarz utworzył przy Uniwersytecie krakowskim katedrę historyi polskiej, Szujskiego powołano na profesora, jako najgodniejszego z wszystkich żyjących historyków polskich. Przez swoje wykłady, i przez historyczne książki, wykształcił wielu młodszych na zdolnych i tęgich historyków, a zwłaszcza tak rozjaśnił historyę polską, nasze dawne stosunki, powody naszych politycznych błędów i nieszczęść, że od niego i przez niego poczęła się u nas lepsza znajomość i przeszłości i teraźniejszości naszej, lepsze pojęcie dróg, na których do lepszej przyszłości dążyć możemy. W roku 1873 przy założeniu Akademii Umiejętności w Krakowie, wybrany jej sekretarzem, oddał się całą duszą jej zadaniu, to jest rozwijaniu wszystkich gałęzi nauk w Polsce, żeby ile możności stanęły na równi z naukami w innych



DR JÓZEF SZUJSKI.

oświeconych krajach. W Sejmie galicyjskim zasiadał od roku 1868; zajmował się w nim głównie sprawami szkolnemi. Lepszy stan naszych szkół na wszystkich ich stopniach, przypisać można w znacznej mierze jego mądrym, rozsądnym pomysłom. W sprawach ogólniejszych, politycznych, obstawał zawsze za dotrzymaniem wierności cesarzowi, za wewnętrznym ładem, za poskromieniem wszelkich wichrzeń i nieporządków — w szczególności za podniesieniem stanu włościańskiego przez dobrą organizacyę gmin i powiatów. Katolik najszczerszy i najgorliwszy, kładł zawsze wierność Kościołowi na pierwszem miejscu między obowiązkami narodu i między warunkami jego przyszłości. Niezmordowany w tych rozlicznych pracach, nie porzucił przecież ulubionych wierszy, i pisał je przez całe życie, niby dla wytchnienia i wypoczynku. Najwięcej napisał dramatów (sztuk do teatru); wszystkie są z historyi polskiej, prawie wszystkie smutne, bo mają za treść różne nasze nieszczęścia i błędy, ale są w nich rzeczy bardzo piękne i mądre, tak jak i w mniejszych jego wierszach. Ta praca nad siły, a zwłaszcza ta dręcząca troska o przyszłość narodu, strawiły Szujskiego tak, że umarł już w 47 latach w Krakowie 7-go lutego 1883 roku.



DR JULIAN DUNAJEWSKI.

W jego pokoleniu nie było chyba nikogo, ktoby więcej od niego ojczyznę kochał, i goręcej, mądrzej całem swojem życiem jej służył.

Wszystkich, którzy się w Sejmie odznaczyli i dobrze zasłużyli, wymieniać niepodobna. Żyjących prawie wszystkich pomijamy z umysłu, żeby pochwała nie wydała się podchlebstwem. Jednego wszakże — choć żyjącego — wspomnieć tu musimy, bo się wsławił nietylko w naszym Sejmie, ale w całem państwie i po za granicami państwa. Julian Dunajewski był profesorem ekonomii politycznej w Uniwersytecie krakowskim, posłem na Sejm i do Rady państwa. W Sejmie dał się poznać jako zdolność pierwszego rzędu; dla Galicyi pragnął, oprócz wielu innych napraw, uproszczenia administracyi, tak rządowej i autonomicznej, a przez to uproszczenie szybszej, tańszej i sprężystszej w nich czynności. Ułożył cały plan po temu, ale ten przyjętym i wykonanym nie był. W Wiedniu okazał taką znajomość spraw administracyjnych, politycznych i skarbowych, że uważany był powszechnie za jednego z najdzielniejszych ludzi w państwie. To też, kiedy (w roku 1879) utworzyło się nowe Ministeryum hrabi Taaffego, Dunajewski niebawem (w roku 1880) powołany był na najwyższą i najtrudniejszą posadę Ministra skarbu. Sądzono, że jeżeli kto potrafi doprowadzić do porządku skarb austryacki, zawikłany, zadłużony, i coraz gorzej podupadający, to on. Jakoż nie zawiedziono się. Pomimo silnego i ciągłego oporu w Radzie państwa (gdzie Niemcy niechętnie widzieli Polaka na czele spraw tak ważnych), pomimo nieprzewidzianych a ciągle wzrastających wydatków (na wojsko, na urządzenie przyłączonych krajów Bośnii i Hercegowiny), Dunajewski zdołał po kilku latach równowagę w budżecie państwa przywrócić; sprawił



Gmach Akademii Umiejętności w Krakowie.



Sala główna posiedzeń Akademii.

to, że wydatki nie były już większe od dochodów. Nie mogło się to odbyć co prawda bez podwyższenia podatków, ale to nieuniknione podwyższenie było dla wielu i zniżeniem podatku. Zrobiono bowiem sprawiedliwy rozkład podatków (naprzykład gruntowego), a przez to niektórym wypadło płacić więcej, ale innym o tyle się ulżyło. Krajowi, w wydatkach na jego potrzeby (szkoły, drogi, budowle wodne, uniwersytety) pomagał jak mógł najhojniej. Dokonał wykupna propinacyi, a przygotował układ o spłatę Indemnizacyi. Wystąpił z rządu w roku 1891, bo przewidywał, że ugoda z Czechami, którą rząd chciał zawrzeć, na tych warunkach i w tym czasie nie da się doprowadzić do skutku, i zamiast pożytku, przyniesie państwu trudności i szkody. Od swojej dymisyi były Minister mieszka w Krakowie i zasiada zawsze w Sejmie krajowym.

Za długo byłoby opowiadać po szczególe wszystkie zdarzenia i koleje, jakie kraj przez ten czas przechodził. Poprzestaniemy na zapisaniu kilku szczęśliwych nabytków, które kraj zawdzięcza łasce Cesarza, a które jak jemu wychodziły na dobre i jego narodowy byt przy Austryi utrwalały, tak nawzajem rozwijały i wzmacniały jego wierność dla państwa, wdzięczność i przywiązanie dla Cesarza.

I tak, w roku 1869 utworzył Cesarz w Uniwersytecie krakowskim (kilka lat później w lwowskim) osobną katedrę historyi polskiej, jakiej przedtem nigdy nie było. W roku 1873 założył w Krakowie Akademię Umiejętności. Jest to grono uczonych, przeznaczone nie do uczenia młodych, ale do własnej naukowej pracy ludzi już dojrzałych, i uważanych za najtęższych w swoim naukowym zawodzie. Akademie takie mają wielkie znaczenie dla oświaty i nauk; starają się też o nie, zakładają i otaczają troskliwie opieką, wszystkie wielkie państwa w Europie. U nas takiej nie było. Stworzył ją Cesarz (raczej ze skromniejszego i uboższego Towarzystwa naukowego przeistoczył), zaopatrzył znacznym funduszem z własnego daru i oddał ją pod opiekę swego brata, Arcyksięcia Karola Ludwika, jako protektora. Pierwszym prezesem tej Akademii był Józef Majer, pierwszym sekretarzem Józef Szujski. Od dwudziestu lat swego istnienia dokonała ona prac wielu, które i stan nauki w Polsce i sławę jej w świecie podniosły.

Dyecezya krakowska, wskutek wielu zajść, które opowiadać byłoby za długo, rządzona była nie przez biskupów, ale przez administratorów od lat blisko pięćdziesiąt. Stolica biskupia była nieobsadzona od śmierci Biskupa Skórkowskiego. Rzecz prosta, że w dyecezyi pozbawionej Pasterza duch religijny i karność musi się stopniowo rozprzęgać. Cesarz zwrócił uwagę na ten smutny stan rzeczy. Dyecezya krakowska dawniej obejmowała część Królestwa Polskiego, aż po Kielce. Teraz rząd rosyjski pozwalać na to dłużej nie chciał. Trzeba było wykonać rozgraniczenie dyecezyi i otrzymać pozwolenie z Rzymu. Gdy to było skończone, Cesarz przystąpił do obsadzenia Stolicy Biskupiej w Krakowie. Zasiadł na niej X. Albin Dunajewski, niegdyś (za Arcybiskupa Felińskiego) regens Seminaryum w Warszawie, później (ztamtąd wydalony) wikaryusz w Rudawie pod Krakowem, w końcu kapelan przy klasztorze Panien Wizytek. W kilka lat później Cesarz, pamiętny dawnych praw tego Biskupstwa i szanujący dawne,



X. KARDYNAŁ ALBIN DUNAJEWSKI, KSIĄŻĘ-BISKUP KRAKOWSKI.

polskie wspomnienia, przywrócił Biskupom krakowskim tytuł książęcy, którego za polskich czasów używali. Ojciec św. Leon XIII wyniósł Księcia Biskupa Dunajewskiego do najwyższej godności kardynalskiej (w r. 1889).

W sprawach kościelnych zasługuje na pamięć utworzenie nowej dyecezyi obrządku greckiego. Archidyecezya lwowska była tak wielka, że Metropolita nie mógł żadną miarą podołać wszystkim potrzebom i czynnościom. Częsty objazd parafii mianowicie był wprost niemożliwym. Za zgodnem tedy postanowieniem Papieża, Cesarza i Arcybiskupa Sembratowicza, oddzielono od dyecezyi lwowskiej dużą część wschodnią i zrobiono z niej osobną dyecezyę Stanisławowską. Pierwszym Biskupem tej dyecezyi był X. Pelesz, a gdy ten przeniósł się na Biskupstwo przemyskie, nastąpił po nim X. Biskup Kuiłowski.

W roku 1880 odbył Cesarz Franciszek Józef podróż po Galicyi. Przyjeżdżał nie na przegląd wojsk, ale dla przyjrzenia się krajowi i jego stosunkom. Przejechał go w całej długości, od Oświęcimia i Krakowa aż do Kołomyi, a cała ta droga wyglądała jak wielki pochód tryumfalny. Na wszystkich stacyach kolei witała Cesarza ludność tłumnie zgromadzona; nawet wzdłuż drogi całej zbiegali się ludzie i głośnemi wiwatami, podrzucaniem czapek w górę, chcieli okazać swoją radość. W Krakowie, gdzie Cesarz zabawił trzy dni, szczególnie pięknie udały się widowiska, urządzone przez lud wiejski. Raz na Błoniach, gdy Cesarz przeglądał wojsko, a przy powozie jego jechało trzystu Krakowiaków na dobrych koniach i w pięknem, świątecznem ubraniu. Cesarz nie mógł się napatrzeć i nachwalić zgrabności i dziarskiej miny tych jeźdźców. Wieczorem znowu odbyło się wesele wiejskie dwóch par. Ślub odbył się w kościele OO. Karmelitów na Piasku; wesele zaś ustawiło się na placu Franciszkańskim dopiero około godz. 7 wieczór, poczem po za wyruszającem Okrężnem powoli posuwało się w ulicę Grodzką, zkąd za danym znakiem, wolnym wyruszyło kłusem. Objechało naokoło rynek przy towarzyszeniu muzyki na wozach, śpiewając, oraz przy przejeździe, uchylając czapki przed Najj. Panem, wydając okrzyki: „niech żyje,“ poczem wozy państwa młodych zatrzymały się przed Baranami, a państwo młodzi starym zwyczajem ofiarowali Najj. Panu „Korowaj“. Cesarz przypatrywał się z balkonu, a gdy przejechali, poszedł do Sukiennic, gdzie miało być przyjęcie i tańce. Tak mu się to podobało, że zapomniał nawet wziąć płaszcza, tylko pobiegł, jak stał, w mundurze. W Sukiennicach wesele przedstawiało się Cesarzowi, ofiarowało mu chleb i sól; potem zaczęły się tańce, którym Cesarz długo się przypatrywał. W Kołomyi znowu pokazywało się tak wesele huculskie w swoich ciekawych strojach; pokłoniwszy się Cesarzowi, pojechało do cerkwi na ślub.

Kiedy w roku 1883 Alfred Potocki ustąpił z Namiestnictwa, miejsce jego zajął Filip Zaleski, przedtem wiceprezydent Namiestnictwa. Ten w roku 1889 został ministrem dla Galicyi i przeniósł się do Wiednia, a Namiestnikiem został hr. Kazimierz Badeni, który do dziś dnia krajem rządzi i daj Boże, żeby nim rządził jak najdłużej, bo nie łatwo znaleść drugiego, któryby mu był równy rozumem, dzielnością, niezmordowaną pracą i rzetelną, gorącą miłością kraju.

Na szczególną uwagę zasługuje niespodziewany postęp sztuki malarskiej w Polsce w tym okresie czasu. Za dawnych czasów mało ona była uprawiana, tak że nie było ani jednego malarza Polaka, któryby miał wielką sławę w świecie. Około połowy naszego wieku zaczęli młodzi ludzie



CESARZ FRANCISZEK JÓZEF I.

garnąć się do tej sztuki, niektórzy z wielkiem powodzeniem i chlubą. Tak naprzykład (zmarły w roku 1894) Henryk Rodakowski, żyjący Juliusz Kossak, zmarły Suchodolski, Simler, Leon Kapliński, Kotsis, Gryglewski i inni. Ale po r. 1863 dopiero doszła ta sztuka do wielkiego rozkwitu. Odznaczył się w niej wielką zdolnością, a szczególnie rzewnem uczuciem, młody Artur

Grottger. Ten mało malował farbami na płótnie; najwięcej rysował kredkami na papierze. Ale te jego rysunki wystarczą na to, żeby mu zapewnić sławę na zawsze. Kiedy w roku 1861 padały strzały i trupy na ulicach Warszawy, młody Grottger, wzruszony do głębi serca temi wypadkami, zaczął rysować niektóre ich chwile. To był pierwszy zbiór jego rysunków, nazwał go „Warszawa". Potem, podczas powstania 1863 ukazał się zbiór drugi, nazwany „Polska", a w nim strasznie smutne obrazki. Na jednym rodzina cała odbiera list z wiadomością o śmierci ojca czy brata; na innym ukrywają powstańca, kiedy do drzwi dobijają się rosyjscy żołnierze; na innym jeszcze w domu złupionym, zniszczonym, leży na podłodze zabita niewiasta, a dwoje małych dzieci przysuwa się do niej, nie rozumiejąc co się z matką stało. Trzeci zbiór, najpiękniejszy, nazywa się „Litwa". Na pierwszym obrazku leśnik, gotowy do wyjścia, uzbrojony, usnął siedzący, a do okna ktoś puka; znak, że czas wychodzić. Na drugim ten sam przysięga pod chorągwią. Na ostatnim obrazku żona w sybirskich kajdanach. Dowiedzieli się, że mąż był w powstaniu, wpadli, chatę zburzyli, dziecko musiało umrzeć w drodze: teraz ona sama na świecie, w tych kopalniach, jak w grobie za życia. Na pociechę ukazuje jej się w jasności Matka Boska Ostrobramska.



JAN MATEJKO.

Inny znowu rysunek Grottgera, odnoszący się do tych samych czasów i nieszczęść, to „Pochód na Sybir" [1]). Szereg skazanych, pod noc, na śnieżystej pustyni, obdarci, zmarznięci, jedni już sił nie mają i widocznie padną niedługo na drodze, inni wytrzymują wszystko mężnie, z wiarą w Boga, z zapomnieniem o sobie... Wiele jest tych rysunków Grottgera, a tak są ulubione i rozpowszechnione przez fotografie, że je łatwo spotkać i poznać można. Szczególny dar miał Grottger do rysowania dzieci, a zwłaszcza dzieci wiejskich. Chłopczyk śpiewający na organach, drugi słuchający opowiadań młodego powstańca z drewnianą nogą, to śliczne rzeczy, godne być w każdym domu, tak jak i jego „Matka Boska Bolesna". On sam zaraz jakoś po ukończeniu tego „Pochodu", rozchorował się na piersi i umarł w roku 1867.

Ale ze wszystkich polskich malarzy największym, najsławniejszym, był Jan Matejko. Urodził się w Krakowie, w roku 1838. Ojciec jego był

[1]) Obraz ten obacz na str. 121.



KAZANIE SKARGI.

niezamożnym nauczycielem muzyki, matka odumarła go małem dzieckiem. Chodził do szkoły jak wszyscy chłopcy, ale już w szkole marzył i wyobrażał sobie, jaki to mógł tam być ten jego rodzinny Kraków za dawnych czasów, jak mogli wyglądać ci co w nim żyli: królowie, bohaterowie, i święci. Chęć i zdolność do malarstwa objawiła się wcześnie; uczył się tej sztuki w Krakowie, później w Wiedniu i w Monachium, a już jako młodzieniec odznaczał się szczególną cnotą, pobożnością, ufnem poddawaniem się woli Bożej. Ludzie widzieli w nim zdolność, ale nie domyślali się jeszcze, jaka ona była



POSEŁ TADEUSZ REYTAN NA SEJMIE W WARSZAWIE W R. 1773.

wielka. Naraz w roku 1864, dał Matejko na wystawę swój pierwszy wielki obraz „Kazanie Skargi". Wymalował go w tej chwili, kiedy przepowiada upadek Polski, jeżeli się nie upamięta i nie poprawi. Słuchaczy koło niego dużo, a na każdej twarzy, od króla Zygmunta III począwszy, widać jakie wrażenie ta groźba robi: strachu i żałości na jednych, skruchy na drugich, gniewu na innych. Po tym obrazie już Matejko był uznany za wielkiego malarza w całym świecie. Nabrał przez to i ufności w siebie, i postanowił w swoich obrazach malować po kolei różne ważne chwile polskiej historyi. Po „Skardze" nastąpił „Reytan", niby straszne spełnienie tamtych przepowiedni. Sejm, pod groźbą rosyjskich bagnetów, poddaje się pierwszemu rozbiorowi Polski, a jeden poseł Reytan broni, nie pozwala, woła: „zabijcie mnie pierwej, ale pókim żyw nie pozwolę". Ten obraz nabył Cesarz Franciszek Józef i pomieścił go w Muzeum wiedeńskiem. Po tym smutku i wstydzie, jak żeby chciał pocieszyć i podnieść na duchu, malował Matejko szczęśliwe, chwalebne zdarzenia: Batorego pod Pskowem, jak moskiewscy po-



UNIA LUBELSKA.

Król polski Zygmunt August składa przysięgę d. 11 Września 1569 r. w Lublinie na dochowanie Unii Polski z Litwą. (Obraz Jana Matejki).

słowie proszą go o pokój, „Zwycięstwo pod Grunwaldem"; księcia Pruskiego, jak Zygmuntowi Staremu składa hołd na rynku krakowskim i przysięga na wierność.

Ten obraz, kiedy Cesarz w roku 1880 był w Krakowie i na pół obiecywał restaurować zamek królewski na Wawelu, Matejko darował krajowi do tego zamku, na inwentarską zamku własność. Dar wspaniały, królewski, bo ten obraz byłby mógł się sprzedać za jakie sto tysięcy, gdyby kto był dość bogatym, by tyle za obrazy wydawać. A Matejko bogatym nie był; tyle miał, ile sobie pędzlem zarobił, a żonę i dzieci utrzymywać musiał.



KRÓL JAN III
oddaje list ks. Opatowi Denhofowi, celem zawi...

Wtedy różni obywatele zebrali między sobą sumę dość znaczną, i za ten darowany „Hołd Pruski" zamówili u Matejki nowy obraz do Muzeum Narodowego w Krakowie. Miał on wyobrażać Sobieskiego pod Wiedniem. Jakoż, na dwóchsetną rocznicę odsieczy Wiednia, na 12 września roku 1883, obraz był gotów. Wszyscy myśleli, że będzie zaraz oddany do Muzeum: ale Matejko miał myśl inną i dziwnie piękną. Powiedział, że jak przed dwustu laty król Jan posłał Papieżowi z samego pola bitwy zdobytą wielką chorągiew Mahometa, tak teraz należy się, żeby na pamiątkę tego zwycięztwa naród polski złożył jaki dar Ojcu św. On więc na to ten swój obraz przeznacza, żeby był Papieżowi od Polaków oddany, i tam w Rzymie ich

zasługę około chrześciaństwa przypominał. Jakoż w grudniu tego samego roku pojechał Matejko z kilkoma innymi do Rzymu (było między tymi dwóch włościan, Polak i Rusin) i na osobnej uroczystej audyencyi oddał Ojcu św. obraz, jako dar Polski i pamiątkę zwycięztwa pod Wiedniem. Obraz umieścił Papież w Watykanie, w sławnym swoim zbiorże malowideł, a bez zarozumiałości można powiedzieć, że jest piękniejszy od wszystkich innych współczesnych, pośród których wisi. Leon XIII tak wdzięcznie przyjął ten dar i tak ocenił piękną myśl, która dar spowodowała, że w jednej z sal Watykanu kazał wymalować na ścianie to oddawanie polskiej pamiątki. Widać tam Ojca św. na tronie, przed nim tych kilku Polaków, a w głębi obraz Matejki. W ten sposób pamięć tego uczynku przechowa się na zawsze, a przynajmniej na długo.



WIEDNIEM
św. o odniesionem zwycięztwie nad Turkami.

Zamiast Sobieskiego zaś, który miał być za składkowe fundusze nabyty i w Muzeum Narodowem w Krakowie pomieszczony, wymalował Matejko na ten cel inny obraz, „Kościuszkę pod Racławicami". Wystawił na nim tę chwilę, kiedy ochotnicy z krakowskiego ludu, uderzywszy z kosami na rosyjską baterye, rozbili ją, i zdobytą armatę przyprowadzają do Naczelnika. Obraz jest wspaniały, a najpiękniejszy na nim Bartosz Głowacki, stojący z ręką na armacie opartą.



HOŁD I PRZYSIĘGA KSIĘCIA PRUSKIEGO ALBRECHTA, ZŁOŻONA NA RYNKU KRAKOWSKIM KRÓLOWI POLSKIEMU ZYGMUNTOWI W R. 1525.



KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI.

Po Kościuszce malował Matejko już tylko jeden wielki obraz. Przedstawia on „Dziewicę Orleańską“, Joannę d'Arc, jak po zwycięztwie nad Anglikami prowadzi młodego króla francuskiego na koronacyę do kościoła katedralnego w Reims, a sama ma widzenie świętych, które jej bliską śmierć zapowiada.

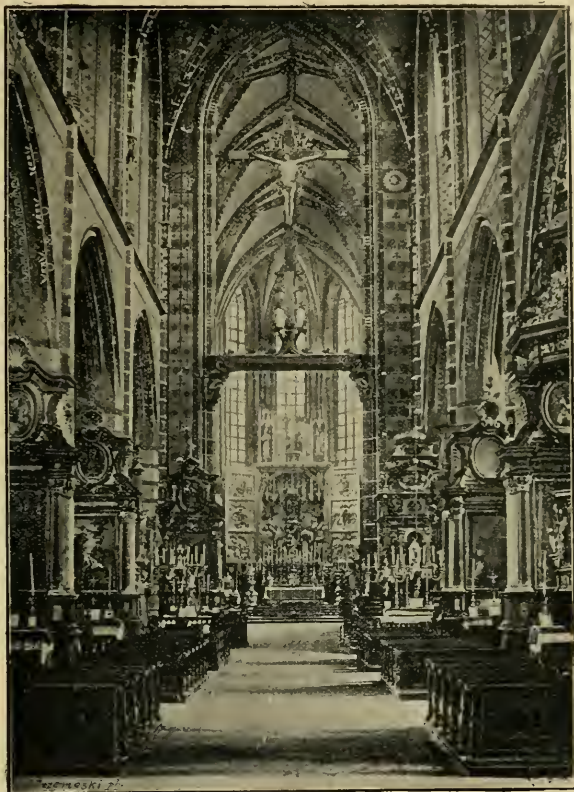
Ale choć wielkich obrazów nie robił, nie przestał Matejko pracować dalej. Miał on w sobie niesłychaną potrzebę i popęd tworzenia, a coraz nowe pomysły rodziły się w jego głowie, i zaraz musiały wykonywać się na płótnie. Na szczególną pamięć zasługują rysunki królów polskich, które zrobił dla jednego przedsiębiorcy Niemca, do książki, którą tamten w niemieckim i w polskim języku wydał.

Tyle już zrobił, żeby historyę Polski pędzlem na płótnie uwiecznić w ludzkiej pamięci, a jeszcze nie było mu dosyć! Widział w niej wiele jeszcze innych chwil ważnych i pięknych, ale żeby wszystkie wymalować, musiałby był chyba żyć paręset lat. Więc kiedy nie starczyło czasu na wielkie i starannie wykończone obrazy, robił przynajmniej mniejsze i szybko malowane szkice z dziejów „Cywilizacyi polskiej“. Jest ich kilkanaście, a choć to pobieżne szkice tylko, wielką mają wartość jako dzieła sztuki. Pierwszem w tym zbiorze jest „Wprowadzenie chrześcijaństwa“ przez Mieczysława, potem pierwszy synod Biskupów w Łęczycy, potem pogrzeb Henryka Pobożnego, poległego pod Lignicą w bitwie z Tatarami, Kazimierz Wielki zakładający katedrę we Lwowie, Chrzest Litwy z Jadwigą i Jagiełłą, Elekcya Henryka Walezyusza, i wiele innych. Ostatnim jest Stanisław August Poniatowski, wygodnie leżący na kanapie i otoczony pięknie postrojonemi panami i paniami. Matejko umiał sławnie przez postacie ludzi i wyraz ich twarzy oddawać usposobienie, złe lub dobre przymioty Polaków w różnych epokach.

Kościół Panny Maryi w Krakowie potrzebował restauracyi. Zajął się nią osobny komitet pod przewodnictwem ś. p. Pawła Popiela. Ale wtedy nasunęło się pytanie, jak kościół ma być ozdobiony wewnątrz: czy gładko jednostajnym kolorem przeciągnięty, czy różnemi kolorami pomalowany? W dawnych wiekach malowano zawsze kościoły gotyckiego stylu, takie jak Panny Maryi. Matejko oświadczył się za malowaniem; a przywiązany całą duszą do miasta i do tego kościoła, wziął się zaraz do planów tego odmalowania. Na ogromnych kartach, tej wielkości co różne części ścian w kościele, malował wzory tego, co miało być na ścianach, i co tam uczniowie pod jego kierunkiem wykonywali. Kto ten kościół zna, ten z pewnością uważał w Prezbyteryum tych aniołów na ścianach, z których każdy śpiewa jeden ustęp z Litanii do Najświętszej Panny, a wszystkie mają wyraz taki pobożny, tak się modlą gorąco, że patrząc na nich musi się człowiek rozrzewnić.

Warto zaś zastanowić się i zapamiętać, że to wszystko robił Matejko za darmo. Wiele to czasu musiał on poświęcić temu kościołowi; a przez ten czas mógł malować inne rzeczy, które mógłby był sprzedać. Majątku nie miał żadnego, a miał żonę i dzieci. Ta hojność i ofiarność Matejki jest także zdumiewająca i nad wszelki wyraz szlachetna. Na krocie można

liczyć wartość tego, co on robił za darmo i darował. „Hołd pruski“, „Sobieski“, „Panna Marya“. Przyjaciołom i znajomym często rozdawał obrazy, kiedy widział, że im się bardzo podobają. Jeden darował samemu Cesarzowi. Było to w roku 1880. Cesarz, będąc w Krakowie, chciał widzieć obrazy Matejki, i odwiedził go w domu. Malarz na podziękowanie ofiarował Cesarzowi bardzo piękny obraz, przedstawiający podwójne zaręczyny Jagiellonów z Habsburgami: Ludwika Jagiellończyka, królewicza węgierskiego, z Maryą, wnuczką cesarza, i znowu jej brata Ferdynanda, późniejszego cesarza, z siostrą owego Ludwika, Anną.




ODNOWIONE WNĘTRZE KOŚCIOŁA N. MARYI PANNY W KRAKOWIE.

Religijnych obrazów jest mniej, rysunków tylko dużo. Ale są i obrazy, jak Wskrzeszenie Łazarza w kościele w Wiśniczu, Chrystus Zmartwychwstający (darowany ś. p. Arturowi Potockiemu w Krzeszowicach), Matka Boska otoczona świętymi patronami polskimi, i inni.

Całe życie wątły i słaby, w ostatnich latach Matejko, wycieńczony niezmierną pracą i zmartwieniami, zaczął bardzo zapadać na zdrowiu. Malował bez ustanku; w roku 1891, na stuletnią rocznicę ogłoszenia Konsty-

tucyi 3-go maja wymalował to ogłoszenie; i znowu ten obraz darował krajowi, do gmachu sejmowego we Lwowie. Innych różnych nie mało. Ostatnią jego pracą, którą śmierć przerwała, jest „Ślub Jana Kazimierza“, jak po powrocie ze Szląska klęczy przed wielkim ołtarzem we lwowskiej katedrze, koronę poświęca Matce Boskiej, i przysięga poprawę Polski, a w szczególności poprawę doli ludu wiejskiego. Obraz ten, niedokończony, nabyty był przez miasto Lwów.

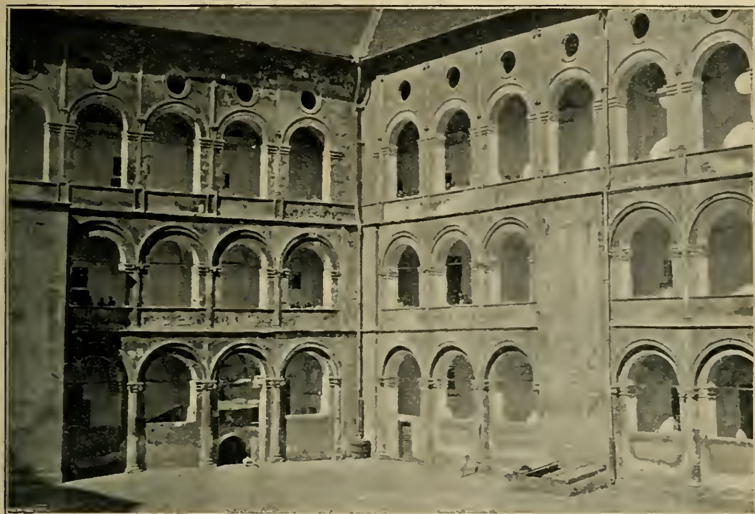

WIDOK ZAMKU NA WAWELU, KTÓRY POLSCY KRÓLOWIE ZAMIESZKIWALI.

Umarł Matejko w Krakowie, w tym samym domu na Floryańskiej ulicy, w którym się urodził, 1 listopada 1893 r.

Matejko był największym malarzem, jakiego Polska wydała, a jednym z wielkich, jakich wydał świat w naszym wieku. Ale jako człowiek był on nierównie większy i wznioślejszy, niż jako malarz. Takiej gorącej wiary i pobożności, takiej pokornej zgody z wolą Bożą, takiej cierpliwości i odwagi w nieszczęściach, jak u niego, trudno jest spotkać. A tej chrześcijańskiej cnocie równa była obywatelska cnota Polaka, miłość ojczyzny, myśl o niej bez wytchnienia i spoczynku,

praca na jej ozdobę i chwalę, tęsknota za tem czem ona była, troska o to czem będzie. Nie może być, żeby takie dusze i takie żywoty nie miały zasługi przed Bogiem, i nie ważyły na szali sprawiedliwości i zmiłowania.

Inne sztuki piękne: budownictwo, rzeźba, muzyka, rozwijają się także pięknie i postępują. Jako celniejszych rzeźbiarzy wymienić należy z żyjących: Piusa Welońskiego, Teodora Rygiera, Wiktora Brodzkiego, ze zmarłych Marcelego Gójskiego. Między budowniczymi odznaczają się: Tomasz



KRUŻGANKI W PAŁACU KRÓLÓW POLSKICH NA WAWELU.

Pryliński, Sławomir Odrzywolski i Tadeusz Stryjeński w Krakowie. Pierwszy wykonał świetną odbudowę Sukiennic [1]), i plany na restauracyę królewskiego zamku; drugi restauracyę katedry Jagiellońskiej, trzeci plany całkowitej restauracyi kościoła Panny Maryi. We Lwowie Julian Zacharyewicz, twórca ślicznego kościoła panien Franciszkanek i wielu innych budowli, i Hochberger budowniczy gmachu sejmowego.

Z muzyków polskich najsławniejszym był i jest dotąd Fryderyk Chopin (czytaj Szopen) z francuzkiego pochodzenia Polak, warszawiak, zmarły w roku 1849. Cały świat liczy go do wielkich kompozytorów muzycznych, a na wszystkich jego utworach znać, że wyszły z polskiej duszy, takie mają wyraźne piętno narodowe. Po jego śmierci odznaczył się niepospolitym

[1]) Rycinę odnowionych Sukiennic podano na str. 148.

talentem Stanisław Moniuszko, Litwin, który tworzył nawet wielkie dzieła, jak opery (sztuki do teatru, ale nie mówione, tylko śpiewane). Z żyjących muzyków, oprócz wielu doskonałych wykonawców, są i tacy, którzy komponują, tworzą, muzyczne dzieła. Władysław Żeleński, dyrektor szkoły muzycznej w Krakowie, Noskowski w Warszawie, stoją między takimi w pierwszym rzędzie. Żeleński posiada szczególną miłość swojej sztuki i nader gruntowną jej znajomość. Oprócz znacznej liczby dzieł mniejszych, cieszących się wielką i zasłużoną sławą, utworzył on dwie opery. *Konrad Wallenrod*, którego treść jest wzięta z poematu Mickiewicza, był śpiewany z wielkiem powodzeniem we Lwowie i w Krakowie. Druga *Goplana* (treść wzięta z poematu Słowackiego „Balladyna") jest zaledwo ukończona i jeszcze nie była wystawiona na scenie. Znawcy widzą w niej wielkie piękności.



FRYDERYK CHOPIN.

Tak przebyło się w tym kraju lat trzydzieści. Nie bez trudów, przykrości, pomyłek, ale nie bez pożytku. Kraj postąpił w oświacie, w zamożności, w roztropności i w poważaniu u ludzi. Czy jesteśmy lepsi w sumieniu i w obyczaju, niżeśmy byli, to Bóg jeden może osądzić; ale i tego spodziewać się możemy, bo nasze religijne i duchowe życie nie upada, tylko owszem żywsze jest i silniejsze jak dawniej. Mieliśmy spokój bez zewnętrznych wojen i wewnętrznych zaburzeń, mieliśmy między sobą zgodności i wzajemnej życzliwości dosyć; mieliśmy wolność, a nie nadużywaliśmy jej ani razu. Wielkie to dary Boże: a jeżeli ich nie zmarnujemy, to mogą stać się zadatkiem i podstawą dalszych pomyślności. A jak pomyśleć, że my tu mamy los tak znośny, kiedy nasi bracia o granicę cierpią ucisk i prześladowanie w wierze swojej, we wszystkich prawach swoich, we wszystkich uczuciach swoich, to się serce ściska z żalu nad nimi, ale krzepi się wiarą, że Bóg łaskawy na jednych i nad drugimi się ulituje. Nasz zaś obowiązek strzedz pilnie i wiernie tego co mamy, żyć uczciwie, roztropnie i pracowicie; nie tracić nic z tego co mamy, ale owszem przyrabiać, a pamiętać, że to, co przyrobimy i zyskamy, czy to na zamożności, czy na rozumie, czy na szacunku ludzkim, to ma być zawsze Bogu na chwałę, a całemu narodowi naszemu na pożytek.



VIII.

W krótkich słowach chcemy jeszcze przypomnieć to, co się w tych czasach, po roku 1863, działo nie u nas w Polsce, ale w Europie.

Pierwszym takim wypadkiem, ważnym i obfitym w skutki, była wojna Prus i Austryi przeciw Danii, w roku 1864.

Szlezwik i Holsztyn są to dwa małe kraiki, położone w samej północnej stronie Niemiec, nad morzem. Ludność w nich jest niemiecka; należały z dawien dawna do Danii. W roku 1848 Niemcy zaczęli głośniej mówić o silniejszem, narodowem zjednoczeniu swojej Rzeszy, i dążyć do większej w Europie potęgi. Wtedy zaczęli też mówić, że Szlezwik i Holsztyn, jako zamieszkały przez Niemców, nie powinien zostawać pod obcem, duńskiem panowaniem, ale powinien być przyłączonym do wielkiej niemieckiej ojczyzny. Przypominało się to i powtarzało od owego czasu dość często, ale w słowach i pismach tylko: do żadnego wykonania, do uczynku nie przyszło.

Prusy, które oddawna w skrytości tego chciały, żeby Austryę ze związku niemieckiego wyrzucić, a Niemcy całe pod swoją wyłączną przewagę wziąć i trzymać, teraz zmiarkowały, że jest pora i sposobność dobra, żeby się do tego celu zbliżyć. Za środek wybrały i użyły tę sprawę szlezwicko-holsztyńską. Wspomniany wiele razy Bismarck, głowa pruskiego rządu, wymówił sobie wcześnie zgodę Rosyi na swoje zamiary. Podczas powstania polskiego w roku 1863 zawarł z Rosyą umowę, przez którą zobowiązał się pomagać jej i umowy dotrzymał; ale zawarł ją pod tym warunkiem, że Rosya nie przeszkodzi mu w jego zamachu na Danię. Napoleon III, który zawsze głośno wyznawał zasadę, że każdy naród powinien być niepodległym, nie mógł występować przeciw temu, żeby kraje niemieckie przyłączyły się do Niemiec, a wyzwoliły z pod panowania obcego. Anglia nie rada była tej sprawie; bała się nie tyle osłabienia Danii, ile tego, że przez zdobycie tych nadmorskich krajów i portów, Niemcy staną się silniejsze na morzu, a z czasem mogą sobie potężną flotę wykształcić. Ale przekonał się Bismarck świeżo, w sprawie polskiej, że Anglia do śmiałych przedsięwzięć nie skora; i byle się na wojnę i na stratę pieniędzy nie narazić, pozwoli na wiele; nawet na to, co ma za niebezpieczne dla siebie.

Szukały tedy Prusy zaczepki i rozpoczęły spór z Danią o Szlezwik i Holsztyn. Austrya, jako państwo niemieckie, nie mogła zostać obojętną w sprawie, o którą całe Niemcy dopominały się silnie: inaczej byłaby straciła cały u nich wpływ i powagę. Musiała więc łącznie z Prusami wysyłać do Danii zażalenia, upomnienia, wreszcie groźby. Bismarck prowadził swój interes tak zręcznie, że wojna, której pragnął, stała się nieuniknioną. Dania broniła się odważnie i dzielnie, ale prosta rzecz, że połączonym wojskom dwóch wielkich mocarstw, ona mała i słaba, obronić się nie mogła. Była pobita. Przy zawarciu pokoju musiała przyjąć warunki zwycięzcy. Holsztyn i Szlezwik został przyłączonym do Rzeszy niemieckiej, pod wspólną opieką Prus i Austryi.

Ale Prusy miały już swój plan gotowy i wytknięty.

W tej wojnie, razem prowadzonej, miały sposobność przekonać się, że nowe karabiny, któremi one swoje wojsko od kilku lat cichaczem uzbrajały, strzelały nierównie prędzej i celniej niż karabiny austryackie. To samo spostrzegli jenerałowie austryaccy, i zaraz po wojnie złożyli oświadczenie, że należy czemprędzej dać armii broń tego nowego systemu, bo inaczej w jakiejś możliwej przyszłej wojnie armia ta musiałaby być pobitą.

Na tę zmianę broni w wojsku austryackiem Prusy czasu zostawić nie chciały, i postanowiły dojść do wojny prędko, im prędzej tem lepiej.

Wiadomo, że wspólne posiadanie jest najczęściej powodem zatargów i sporów. Tak bywa między prywatnymi ludźmi, tak się stało między temi dwoma państwami. Tem łatwiej, że Prusy oddawna gotowały się do wojny z Austryą, i szukały tylko sposobności, żeby ją z Niemiec wyprzeć. Teraz sposobność była dobra: w wojnie wspólnej poznali Prusacy wszystkie słabe strony austryackiego wojska, a lepsze karabiny dawały im wyższość i nadzieję zwycięstwa. Wspólny zaś zarząd nad Holsztynem dostarczał łatwo pożądanego pozoru do zaczepki. Zaczęły się zrazu małe nieporozumienia, potem (z umysłu) ważniejsze zatargi, wreszcie żądania takie, że Cesarz austryacki bez ujmy swego honoru zgodzić się na nie nie mógł. Zręcznie doprowadził Bismarck do wojny, która wybuchła w r. 1866. Równocześnie Królestwo włoskie, z Prusami w przymierzu i za ich namową, wydało Austryi wojnę. Chodziło mu o przyłączenie Wenecyi, która po wojnie francuskiej, na mocy traktatu w Villafranca, pozostała przy Austryi. Włochów pobił na głowę Arcyksiążę Albrecht pod Custozzą; a co więcej, flota austryacka, która uchodziła za gorszą od włoskiej, odniosła nad tą świetne zwycięstwo pod Lissą, pod dowództwem admirała Tegetthofa.

Ale na drugim teatrze wojny, czeskim, z Prusakami, sprawa nie poszła tak szczęśliwie. Cały świat myślał, że wojska austryackie bez trudu w puch rozbiją Prusaków: ze zdumieniem dowiedział się świat, że stało się inaczej. Częścią przez wyższość pruskich karabinów, częścią przez winę austryackich dowódców (głównie feldmarszałka Benedeka), walna bitwa, stoczona pod Königgraetzem i Sadową (w Czechach), była zupełną przegraną armii austryackiej. Niemal w rozsypce cofała się ona ku Wiedniowi; wojska pruskie szły za nią krok w krok, zajęły całe Czechy. Prusy, które nie liczyły na tak rychłe i stanowcze zwycięstwo, gotowały już oddawna powstanie w Węgrzech przeciw Cesarzowi, które teraz było bliskiem wybuchu. Z armią pobitą, z niebezpieczeństwem wojny domowej na Węgrzech, z drugą wojną (choć zwycięską) we Włoszech, Cesarz Franciszek Józef musiał poddać się smutnej konieczności, i zawarł pokój, mocą którego Austrya wystąpiła ze związku niemieckiego. Prusy zostały największą i jedyną w Niemczech potęgą. Włochy zaś, choć pobite na lądzie i morzu, zyskały Wenecyę. Cesarz francuski bowiem ofiarował się służyć za pośrednika pokoju między Austryą a zwycięskiemi Prusami, ale pod warunkiem, że Austrya odstąpi Włochom Wenecyę, i uzupełni w ten sposób to dzieło niepodległości Włoch, za którą Francya (na swoją szkodę, jak się później pokazało) walczyła. Oddał tedy Cesarz Franciszek Józef Wenecyę, ale nie zwyciężonym Włochom, tylko Francyi, która ją natychmiast Włochom odstąpiła.

Zmienił się przez te wypadki znacznie dawniejszy stan Europy. Prusy, dotąd najsłabsze z wielkich mocarstw, stały się wielką potęgą. Zostały wprawdzie w Niemczech różne udzielne królestwa i księstwa, ale były teraz pod władzą Prus, które zawarowały sobie dowództwo nad ich wojskami w razie wojny, a całe stosunki Niemiec z zagranicznemi państwami prowadziły same. Takie zjednoczone Niemcy zaczęły być groźne dla Francyi, jako potężny a najbliższy sąsiad: a to tem bardziej, że były w przyjaźni z nowo powstałem Królestwem włoskiem i mogły go w potrzebie użyć przeciw Francyi. Mogła ona teraz miarkować, że nie była roztropna, kiedy pozwalała Prusom bez przeszkody napadać na Austryę. Spodziewała się, że wyniknie z tego gorsze osłabienie i rozdwojenie Niemiec, a tymczasem wyszła z tego niemiecka potęga taka wielka, jak od wieków nie była. Wkrótce też pokazało, jak ona była dla Francyi niebezpieczną.

Austrya, wyrzucona ze związku niemieckiego, pozbawiona swoich prowincyj włoskich, zawikłana w spór z Węgrami, który podczas wojny groził nawet powstaniem, była oczywiście osłabiona i musiała całe swoje staranie zwrócić do uporządkowania swego wewnętrznego stanu. Z tych starań wyniknęła ugoda z Węgrami, która zrobiła z nich osobne niemal państwo przy Austryi, z cesarzem austryackim jako królem. Po zawarciu tej umowy koronował się Cesarz Franciszek Józef uroczyście na króla węgierskiego w Budzie, w roku 1867.

Miało więc Królestwo włoskie cały kraj, prócz Rzymu z małym okręgiem, który został przy Papieżu, strzeżony (od roku 1848) przez wojsko francuskie. Odebrać Rzym, przenieść do niego swoją stolicę, to była teraz główna myśl i cel włoskiego króla, rządu, znacznej części narodu i wszystkich włoskich rewolucyonistów, nieprzyjaciół Wiary i Kościoła. Parę razy urządzali oni wyprawy na Rzym, ale byli zawsze pobici, czy przez wojsko francuskie, czy przez papieskie samo bez pomocy Francuzów (jak właśnie w tym roku 1867). Rząd włoski niby to tych wypraw nie urządzał, ani pochwalał, i wojska swego na nie wysyłał: bo się bał Francyi i wojny z nią. Szli więc tylko ochotnicy, niby to na własną rękę: a że ich nie było wiele, więc tem się tłómaczy, że wojsko papieskie waleczne, ale na liczbę bardzo małe, mogło ich bić i odpierać.

Ale pomiędzy wojną prusko-austryacką a następną prusko-francuską zaszedł w Rzymie wypadek wiekopomnego znaczenia. Pius IX widział, że przez cały ciąg naszego wieku rośnie ciągle i wzmaga się zamieszanie w umysłach, nienawiść wzajemna między narodami i między różnemi częściami jednego narodu. Pojęcia się mącą, sumienia i obyczaje się psują. Rządy niektóre nadużywają swojej władzy i krzywdzą, a przez to tracą u poddanych ufność i powagę, zbierają nienawiść. Poddani naodwrót myślą czasem, że przeciw rządom wszystko robić się godzi. Jedni ludzie zbierają ogromne bogactwa na giełdach i przedsiębiorstwach, a sposobami często niegodziwemi, i bogactw tych używają na szalone, występne zbytki: drudzy w niedostatku, w nędzy, patrzą na nich z nienawiścią i zazdrością i marzą o tem, żeby te bogactwa odebrać, a podobnych wygód i zbytków zakosztować. Wiara i przykazania Boskie osłabione i sponiewierane. Książki, ga-

zety, naukowe wykłady, szerzą niedowiarstwo i bluźnierstwa, a prawa i rządy pozwalają, bo tego niby wymaga wolność. Jeżeli to potrwa, to ludzie zepsują się tak, że wszelki ład, wszelki pokój będzie niemożliwym, a nastanie powszechna nienawiść i powszechna niedola.

Co można zrobić na to, żeby takie nieszczęście odwrócić? a jeżeli odwrócić się nie da, żeby przynajmniej w tym zamęcie rozumów i pomieszaniu sumień wskazywać i przypominać ludziom (bodaj niektórym), co dobre, a co złe, co się godzi a co nie, co prawda a co fałsz?

Tę usługę może ludzkości oddać tylko ten, kto prawdy wiekuiste przez Boga objawione i prawa Boże niewzruszone zna, przechowuje i strzeże: kto ich z pomocą Ducha św. naucza: Kościół. Widząc tedy, że wiele się rzeczy w świecie zepsuło, a przewidując, że więcej się popsuć może, zwołał Pius IX do Rzymu Sobór Powszechny, czyli zjazd wszystkich z całego świata katolickich Biskupów, żeby o stanie Kościoła i świeckich społeczeństw radzili i zakon Chrystusa Pana umysłom ludzkim jeszcze raz objaśnili, a w sumieniach ludzkich go utwierdzili.

Soboru Powszechnego nie było od lat trzechset. Ostatni był Trydencki, kiedy Luter oderwał od Kościoła połowę Europy. Jak wtedy tą herezyą i odstępstwem, tak teraz Kościół zagrożony był powszechnym duchem niedowiarstwa: a ten nieprzyjaciel, choć nie tak otwarty i głośny jak tamten, nie był od niego mniej niebezpiecznym. Potrzebował więc Kościół wzmocnić się w sobie, i bronić; i dlatego zwołał Papież ten Sobór (zwany Watykańskim, bo zbierał się i obradował w kościele św. Piotra, na Watykanie).

Pierwszem dziełem Soboru było określenie i ogłoszenie dogmatu nieomylności Papieża. To znaczy, że kiedy Papież, jako Głowa Kościoła, orzeka coś w jego imieniu w rzeczach wiary i moralności, wspomaga go światłem swojem i łaską Duch św. tak, że mylić się wtedy i w tych rzeczach nie może.

Nie było to nic nowego. Nigdy żaden Sobór, ani żaden Papież żadnego artykułu wiary i dogmatu nie wymyślił, nie wynalazł: tylko naukę i wiarę Kościoła, tę samą zawsze, odwieczną i niezmienną, ogłaszał jako taką i dla katolików obowiązującą.

Tak było i w tym razie. Nieomylność Papieża w tem rozumieniu i zakresie zawsze była w Kościele wyznawana i nauczana. Tylko nie była dotąd ogłoszona jako obowiązująca; zatem wolno było katolikowi bez grzechu, mieć o niej swoje osobne mniemanie. Po ogłoszeniu dogmatu nieomylności, już się nam to nie godzi, i każdy katolik swoje mniemanie w tej mierze poddać musi pod wyrok Kościoła.

Pomiędzy nieprzyjaciółmi Kościoła podniósł się krzyk wielki. Protestanci, schyzmatycy, i tacy co żadnej wiary nie wyznają, zaczęli gorszyć się niby z wielkiej pychy Papieża, który sobie przypisuje nieomylność, jak żeby nie był człowiekiem, kiedy przecież każdy człowiek omylnym być musi, tylko Pan Bóg jeden nie. Było i katolików dosyć i to bardzo szczerych, bardzo gorliwych, bardzo rozumnych, których ten dekret Soboru zaniepokoił w sumieniu. Nie byli dostatecznie przekonani, czy istotnie nieomylność Papieża była zawsze niewątpliwą nauką Kościoła. Niektórzy

Biskupi na samym Soborze sprzeciwiali się ogłoszeniu dogmatu; ale oczywiście poddali się, skoro raz większość zgromadzonych uznała i orzekła, że ich zdanie było błędne. Byli i tacy katolicy, nawet kilku księży, którzy po ogłoszeniu tego dogmatu wystąpili z Kościoła. Z takich złożył sobie rząd pruski nową sektę, tak zwanych Starych-katolików, w nadziei, że przez nich odciągnie wielu ludzi od Kościoła. Ale sekta ta, zawsze nieliczna, śmieszna była w oczach i prawdziwych katolików i innowierców, i nigdy żadnego znaczenia ani powagi nie miała.

Dla nas zaś, katolików, rzecz jest pewna i jasna jak słońce, że prawdziwie z Bożego natchnienia ogłosił Pius IX tę naukę Kościoła: a wybrał po temu chwilę, w której ogłoszenie to było najpotrzebniejsze. Jest bowiem w tych naszych czasach wiara katolicka podkopywana na całym świecie, tak powszechnie i tak zawzięcie, jak może nigdy przedtem. Podkopywana przez książki, przez pisma, przez nauki, przez prawa wymierzone przeciw Kościołowi, przez otwarte prześladowanie (to ostatnie w Rosyi), słowem na wszystkie sposoby i wszędzie. Jeżeli tak dalej pójdzie, to kto wie, czy Kościół sam w niejednym kraju nie będzie zupełnie ujarzmiony lub rozbity: czy będą Biskupi, czy będą seminarya i księża? czy będą nabożeństwa i nauki? A nauki fałszywe i niekatolickie, te z pewnością szerzyć się będą swobodnie i bez przeszkody. Cóż w takim razie katolik pocznie? jak będzie wiedział, czemu ma wierzyć, co prawda, co rzetelna nauka Kościoła? Niejeden, choć dobry, mógłby znaleść się w niebezpieczeństwie i nie chcący nawet zbłądzić. Otóż temu niebezpieczeństwu dusz ludzkich i Kościoła zapobiegło ogłoszenie nieomylności Papieża. Cokolwiekby się złego stać mogło z Kościołem, to Papież gdzieś będzie zawsze; i każdy katolik będzie zawsze wiedział, że to, co ten Papież (choćby sam jeden, bez Kardynałów, Biskupów i doradców) orzeka, to jest prawda, w którą on ma wierzyć; to jest prawo, którego ma słuchać. Zatem ogłoszenie dogmatu nieomylności było wielkiem zabezpieczeniem jedności Kościoła i jego trwałości, zwłaszcza na przypadek wielkich walk, prześladowań i niebezpieczeństw.

Prowadził Sobór dalej swoje obrady i miał uchwalić wiele potrzebnych zmian i przepisów dla duchownych i dla świeckiego społeczeństwa, kiedy prace jego musiały się przerwać, bo zaniosło się na nowe, ważne, groźne w Europie wypadki.

Francya, jak zobaczyła w swojem najbliższem sąsiedztwie potężne, zjednoczone Niemcy zamiast dawnych, słabych, zaczęła się obawiać. I rząd i naród czuł się niepewnym, był niespokojny o swoją przyszłość. Przeciwnicy cesarskiego rządu, a było ich wielu, zaczęli śmielej podnosić głowy i głosy, szemrać, oskarżać cesarza o złą politykę. Cesarz, sam niespokojny, stracił dawną zimną krew i ufność w siebie: zaczął się chwiać w postanowieniach, nie wiedział co począć. Myślał, że jedna rzecz uspokoiłaby umysły, a jego i syna po nim zabezpieczyłaby na tronie, to nowa wojna, zwycięstwo, chwała i — jeżeli się uda — posunięcie granic do Renu. O takiej wojnie myślał Napoleon III na przyszłość, ale się do niej nie kwapił, przyśpieszać jej nie chciał.

Z tego usposobienia umysłów we Francyi skorzystał zręcznie Bismarck. Wiedział dobrze, że podówczas siły wojenne Prus były większe, niż siły Francyi: za kilka lat, jak Francya popracuje nad naprawą swego wojska, mogłoby być inaczej. Postanowił zatem wywołać wojnę prędko. Jak przed kilkoma laty Austryę, tak teraz Francyę stopniowo i nieznacznie drażnił, wyzywał, stawiał jej żądania upokarzające, których ona przyjąć nie mogła, aż ją doprowadził do tego, że wypowiedziała Prusom wojnę (w lipcu roku 1870).

Nikt nie przypuszczał, żeby Prusacy mogli pobić Francuzów. To wojsko, które zwyciężało tylu różnych nieprzyjaciół, zdawało się być niezwyciężonem. W jednej walnej bitwie Francuzi pobiją w puch pruskie wojska, a potem bez przeszkody, w tryumfie, w kilkunastu dniach dojdą do Berlina! Takich wiadomości czekano z dnia na dzień: przyszły inne.

Stan wojska francuskiego, jego uzbrojenie i zaopatrzenie były (jak się pokazało) zaniedbane; zarozumiałość i pewność zwycięstwa za wielka, przezornej ostrożności nie dosyć; jenerałowie po większej części nie tak dzielni i sprawni jak pruscy... W chwili, kiedy oczekiwano wieści o zwycięstwach francuskich, dowiedziano się, że pierwsze spotkania były szczęśliwe dla Prusaków. W kilka dni później, już nie małe spotkania, ale wielkie bitwy, pod Gravelotte, pod Reichshofen były przegrane; Alzacya (francuska prowincya nad Renem położona z niemiecką ludnością) cała zajęta przez wojska niemieckie. Armia francuska pobita, upadła na duchu, źle dowodzona, ustępowała. Cesarz i jenerałowie stracili głowę, i w tem cofaniu wepchnęli się w kąt między niemiecką a belgijską granicą. Tu 2-go września 1870 pod Sedanem odbyła się bitwa ze straszną Francyi klęską. Wojsko pobite do szczętu, w rozsypce: cesarz Napoleon III oddał się w niewolę królowi pruskiemu. Wojska pruskie miały drogę otwartą do samego Paryża.

W Paryżu rozpacz, popłoch. Nieszczęścia przypisywano złym rządom cesarza. Skorzystali z tego jego przeciwnicy, żeby zaprowadzić swój rząd. Bez oporu ogłosili cesarza za odpadłego od tronu, a obwołali Rzeczpospolitą. Cesarzowa, która w nieobecności męża sprawowała rządy, musiała potajemnie uciekać za granicę. Nowy rząd rozesłał posłów z prośbą o pomoc, o ratunek do Anglii, do Austryi, do Rosyi, do Włoch, wszystko na darmo. Wojska niemieckie zbliżały się bez oporu ku Paryżowi, a po drodze dopuszczały się okrucieństw wołających o pomstę do Boga. Wojna jest sroga rzecz, i łez, ucisków, nieszczęść, niesie w sobie bez liku. Ale do tych, które bój z sobą koniecznie przynosi, dodawać inne, niekonieczne, to jest okrucieństwo i zbrodnia, i wstyd ostatni dla wojska, które je popełnia, dla narodu, do którego to wojsko należy. Prusacy zabijali bezbronnych, podpalali wsie, w których myśleli że się jakie niedobitki Francuzów ukryły, bagnetami wpychali w ogień uciekające kobiety i dzieci, mordowali w pień ludność chroniącą się w kościele (naprzykład we wsi Bazeilles). Rabunek uważali za prawo żołnierza, i rabowali też bez wstydu i miłosierdzia, co na drodze spotkali, od najbogatszego pałacu wielkiego pana do najuboższej zagrody wieśniaka.

A tymczasem we Włoszech dokonał się zabór Rzymu. Wiadomo, że Napoleon III trzymał w nim załogę francuską dla obrony posiadłości papieskich. Ale gdy cesarz upadł, rząd republikański zaraz to wojsko do Francyi odwołał. Potrzebował go w niebezpieczeństwie dla obrony kraju, to prawda: ale rad był z tego pozoru, bo w nienawiści swojej do Kościoła, pragnął upadku resztek władzy świeckiej Papieża. Spodziewał się prócz tego, że tem pozwoleniem na zajęcie Rzymu okupi sobie pomoc Włoch, a przynajmniej ich życzliwość: w najgorszym razie pokój z ich strony (była bowiem obawa, żeby Włochy w przymierzu z Niemcami nie napadły Francyi od południa). Dość, że Francuzi wyszli z Rzymu, a niebawem weszli do niego Włosi (20 września 1870), po krótkim oporze wojska papieskiego, któremu Pius IX kazał stoczyć walkę dla formy, iżby było wiadomem, że praw Kościoła broni, i że mu się dzieje gwałt. Król włoski, Wiktor Emanuel, wjechał do Rzymu i osiadł w papieskim pałacu na Kwirynale, a Rzym ogłosił stolicą swego państwa. Papieżowi pozostał tylko jeden pałac watykański przy kościele św. Piotra. Za bramami tego pałacu zaczyna się panowanie królewskie. Nigdy też od owego dnia Pius IX, ani jego następca Leon XIII za te bramy nie przeszedł, dając przez to całemu światu do poznania, że tego panowania nie uznaje i w żadną z nim styczność wchodzić nie chce.

Wojska niemieckie były już blisko Paryża. Rząd nowy, republikański przeniósł się do miasta Tours (w środku Francyi), potem jeszcze dalej do Bordeaux (na samem południu). Zbierał nowe pułki, wydawał odezwy, zagrzewał do obrony. Tu i ówdzie walczyli Francuzi bardzo walecznie, ale bez skutku. Paryż gotował się do oblężenia. Jakoż niebawem osadziły go dokoła wojska niemieckie. Wszystkie okolice były w ich ręku: dowóz żywności do miasta niemożliwy. Król pruski stanął główną kwaterą w Wersalu, mieście o parę mil od Paryża odległem, gdzie przed wielką rewolucyą mieszkali francuscy królowie. Paryż, ufortyfikowany oddawna, a teraz naprędce świeżemi szańcami opatrzony, bronił się po bohatersku. Załoga wojskowa i mnóstwo ochotników z ludności, wytrzymywali i odpierali wszystkie szturmy; czasem z powodzeniem mogli wykonać jaką wycieczkę. Niemniej od wojska bohaterską była ludność miasta, prawie dwa miliony głów, znosząca bez skargi, bez szemrania, z odwagą i cierpliwością budującą, wszystkie smutki, niewygody, niedostatki i głód. Zapasy żywności, jakie były w mieście, były obliczone i rozdzielone na tę ogromną liczbę głów. Każdy dostawał zrana to, co mu na dzień musiało wystarczyć, i chodził po to do miejskich urzędów, które w każdej części miasta żywność tę rozdawały. Niebawem zaczęły się zapasy przebierać. Wtedy radzono sobie zabijaniem koni, psów, kotów, szczurów: zarznięto i zjedzono wszystkie dzikie zwierzęta chowane w menażeryach (lwy, słonie, tygrysy, niedźwiedzie i t. d.). Zabrakło i opału! Zima była sroga, grudzień i styczeń: a Paryż nie miał węgla ani drzewa. Zabrakło i światła: nie było z czego wyrabiać gazu, i po zachodzie słońca miasto brodziło w ciemnościach.

A kiedy tak działo się w Paryżu, Niemcy obchodzili swój tryumf w Wersalu i dokonali tego, o czem niedawno ani marzyć nie śmieli. Od

zniesienia dawnego Cesarstwa niemieckiego (za Napoleona I, w roku 1802) bolało ich to, że cesarską koronę stracili; a Prusy zawsze w skrytości ducha o tem przemyśliwały, żeby ją odzyskać, ale nie dla Austryi (która ją niegdyś nosiła), tylko dla siebie. Zdawało się to rzeczą zupełnie niemożliwą, zuchwałem, prawie niedorzecznem marzeniem. Ale teraz, kiedy Francya pobita, kiedy jej nikt w Europie nie bronił i nikt sprzeciwiać się nie mógł, teraz była chwila po temu. Na wezwanie króla pruskiego zjechali się królowie i książęta niemieccy do Wersalu, i tam król bawarski w imieniu wszystkich prosił króla pruskiego, żeby wskrzesił dawne cesarstwo i sam włożył cesarską koronę. Stało się to w pałacu dawnych królów francuskich, w dawnym przybytku chwały, na większe Francyi upokorzenie, na tem większy tryumf zwycięzcy.

Oblężony Paryż bronił się i cierpiał przez cztery blisko miesiące. Spodziewał się to zwycięstwa wojsk, jakie jeszcze w kraju były, i odsieczy: to pośrednictwa państw zagranicznych. Jedno i drugie zawiodło. Głód był już bliskim, a prawie zaczętym. Na domiar nieszczęścia wichrzyciele, którzy się za przyjaciół ludu a miłośników ojczyzny udawać lubią, a naprawdę o własnem tylko wyniesieniu i zbogaceniu myślą, zaczęli w nieszczęśliwem mieście podnosić zaburzenia, rozruchy, grozić pożarami i rzeziami. Zewnętrznego nieprzyjaciela odpierać, a z wewnętrznym walczyć, już paryska załoga nie mogła; od tego nowego niebezpieczeństwa ludności obronić nie byłaby zdołała; ani też od głodu, który zaczął już na dobre zaglądać. W końcu stycznia roku 1871 Paryż kapitulował: nastało zawieszenie broni. Prusakom tę sprawiedliwość trzeba oddać, że nie urągali już Francuzom, ani ich upokarzali. Wojsko ich raz tylko przeszło przez niektóre ulice Paryża i wyszło; nie zajmowało miasta wcale, zostało w okolicach.

Toczyły się układy o pokój. Warunki zwycięzcy były twarde, strasznie twarde: pełnomocnicy francuscy pracowali nad otrzymaniem łagodniejszych; a tymczasem spadło na Francyę nowe nieszczęście i gorsza od wszystkich sromota.

Ledwo Paryż odetchnął z oblężenia: wojska niemieckie stały za jego murami i zajmowały połowę Francyi, kiedy ci wichrzyciele, o których była wzmianka wyżej, podnieśli bunt przeciw rządowi rzeczypospolitej. Wojsko było wyszło z Paryża po zawieszeniu broni: nie było komu buntu poskromić, miasto zostało na ich łasce. Mówiąc, że oni dopiero szczęście Francyi zapewnią, ogłosili się rządem, nazwali się *kommuną* (czy od *kommuny* albo *gminy* miasta Paryża, czy od *kommunizmu*, zniesienia własności) i zaczęli rządzić po swojemu. Podłożyli ogień pod gmachy rządowe, spalili dawny pałac królewski (Tuillerye), spalili ratusz, spalili ministeryum skarbu, i wiele wiele innych; nie było prawie dnia bez pożaru w mieście. Zwalili wielką kolumnę, ulaną z dział nieprzyjacielskich za Napoleona I zdobytych, z jego posągiem na szczycie: pamiątkę zwycięstw Francyi i jej chwały. To dowód, jak kochali ojczyznę i szanowali pamięć jej bohaterów. Ale z żywymi ludźmi robili gorzej. Kogo tylko mieli za swego nieprzyjaciela, brali do więzienia, niby jako zakładnika; a potem na poczekaniu, bez sądu, wiedli na rozstrzelanie. Że zaś nad wszystko nienawidzili wiary i Kościoła, a za

swoich nieprzyjaciół mieli zwłaszcza księży, bo ci mieli wpływ i władzę nad sumieniami i mogli przykazania Boskie przypominać, więc ze szczególną wściekłością chwytali i mordowali księży. Rozstrzelali tak arcybiskupa paryskiego, księdza Darboy, a oprócz niego księży bez liku. Ze świeckich najwięcej zginęło żołnierzy. Mundur francuski kłuł ich w oczy, bo był niby żywym wyrzutem ich zdrady ojczyzny i podłości: więc też gdzie jakiego znaleść mogli, zaraz na rozstrzelanie. Słowem było to panowanie dzikich zwierząt, dzikich, szalonych i wściekłych; były dnie nieszczęścia i klęski (jak mówi kościelna modlitwa). I to wszystko działo się w kraju strasznie pobitym, zajętym przez nieprzyjaciela, w oczach tego nieprzyjaciela, który stał blisko i temu nieszczęściu, temu wstydowi Francyi urągał! Taka to była ich miłość ojczyzny i takie uczucie honoru. A do nich podobni są, trzeba o tem pamiętać, wszyscy ci, co z miłością ojczyzny i ludu na ustach nienawiść szerzą, nienawiści uczą, namiętności podżegają i burzą. Nie o lud im chodzi, ani o jego dobro: nie o ojczyznę i jej pomyślność: tylko o to, żeby lud oszukany pod swoją władzę zagarnąć, a potem panować i używać.

Wojsko francuskie, które niedawno przestało bić się z zewnętrznym nieprzyjacielem, musiało teraz bić się w wojnie domowej, zdobywać Paryż na zbuntowanych Francuzach, gorszych od zewnętrznego nieprzyjaciela, nieprzyjaciołach ojczyzny. Były walki na ulicach krwawe: wielu buntowników zginęło, wielu ujętych rozstrzelano: więcej zesłano na wygnanie do dalekich kolonij francuskich w Ameryce.

Z Niemcami potem zawarto pokój stanowczy: dla Francyi smutny. Musiała ona ustąpić Niemcom dwóch prowincyj, Alzacyi i Lotaryngii, z dwoma najsilniejszemi fortecami: Strassburgiem i Metzem: musiała wypłacić pięć miliardów (czyli pięć tysięcy milionów) franków odszkodowania za koszta wojenne. Uszczuplona w swoich granicach, upokorzona przed całym światem, wycieńczona, przycisniona straszną kontrybucyą wojenną, musiała zejść z tego pierwszego w Europie stanowiska, które zajmowała z małemi przerwami przez dwa wieki, i widzieć, jak ta przewaga przechodziła w inne ręce, w ręce jej nieprzyjaciela.

Przez zwycięstwo Prus a upadek Francyi, zmienił się cały stan Europy, cały w niej stosunek sił między mocarstwami i położenie każdego z nich. Wojska niemieckie były tak liczne i tak dobrze wyćwiczone i prowadzone, że każdemu musiały być groźne; każdy się bał sprzeciwiać się Prusom, żeby nie dojść do nieporozumienia z nimi, a z tego do wojny. Austrya, niedawno zwyciężona, miała przy sobie tego potężnego sąsiada, a oprócz niego drugiego sąsiada: Rosyę, pożądliwie spoglądającą na słowiańskie kraje i ludy Austryi. Oba ci sąsiedzi tacy groźni, że tylko zważać trzeba bacznie, by jednego nie urazić, a od drugiego się strzedz, i wszelkiej zaczepki, wszelkiego pozoru do wojny unikać. Włochy oglądały się tylko na Niemcy, posłuszne na ich każde skinienie, a obiecywały sobie, że jak Niemcy komu wojnę wydadzą, to one też w tem przymierzu swoją jaką grzankę upieką. Francya, po zapłaceniu wojennego okupu, myślała tylko o tem, żeby swoją pieniężną siłę wzmocnić, a wojsko poprawić. Anglia, za

morzem, nie bała się lądowej potęgi cudzej, ale jej też w niczem zaszkodzić nie mogła. Rosya wiedziała, że jej Niemcy i zaczepiać nie będą i w zamian za to, że im nie przeszkadzała w wojnie francuskiej, pozwolą jej próbować szczęścia w Turcyi; ale i jej także nie było to milem, że zamiast Prus słabszych i od niej zawsze zależnych, miała teraz pod bokiem wielkie cesarstwo niemieckie z milionowem wojskiem. Wszystkie mocarstwa więc bały się Niemiec i wszystkie starały się ile możności dorównać im w sile. Niemcy znowu widząc, że ich się wszyscy boją, musiały się niepokoić o siebie; bo jakby tamte mocarstwa złączyły się z sobą przeciw nim, to mogłoby być źle z niemiecką potęgą.

Z tego wynikło, że wszyscy naprawdę pokoju chcieli; ale wszyscy chcieli także na przypadek wojny mieć wojska jak największe, żeby i siebie obronić i nieprzyjaciela pokonać. W tym celu zaprowadziły wszystkie państwa obowiązek powszechnej służby wojskowej; a za tem pomnożeniem ludzi w wojsku poszły oczywiście i koszta nierównie większe na ich utrzymanie i uzbrojenie, czyli wzrost podatków taki, jakiego się nigdy przedtem nie widziało. Uciążliwy on jest bardzo, ale jest konieczny, bo to państwo, któreby się mniejszem wojskiem chciało obchodzić, byłoby zaraz napadnięte przez cudze wojsko większe, i nie zdołałoby się obronić.

Prusy, kiedy dokonały zjednoczenia Niemiec i objęły nad niemi dowództwo, upojone swojem szczęściem, zapragnęły jeszcze większej i trwalszej potęgi. Myślały, że jak w świeckich rzeczach całe Niemcy były im poddane, tak poddadzą się i w duchownych. Wolność katolickiego Kościoła, a jego podległość Papieżowi, wydała im się krzywdą i urąganiem dla wszechwładnej potęgi państwa. Wziął się więc teraz sławny książę Bismarck do śmiałego przedsięwzięcia. Rozpoczął tę walkę z Kościołem (którą nazwał walką o oświatę — „Kulturkampf“), o której wspominaliśmy już wyżej. Prawdziwym celem było rozprzężenie Kościoła, zerwanie jego związku z Papieżem, poddanie Kościoła pod władzę państwa, a z czasem (jak się uda) przeprowadzenie katolików niemieckich na pruską, luterską wiarę. Środkami były więzienia i kary pieniężne na Biskupów i kapłanów, osadzanie po parafiach proboszczy przez rząd nasłanych, przez Biskupa nie mianowanych, zamykanie seminaryów i t. d. Ale przerachował się mądry Bismarck. Katolicy, świeccy i duchowni, stawili mu opór tak stały i silny, że po dziesięciu latach prześladowania Kościoła, sam zmiarkował, że nieroztropnie wdał się w sprawę, której wygrać nie zdoła. Wycofał się też z niej zręcznie. Zawarł (w roku 1884) umowę ze Stolicą Apostolską, w której Ojciec św. (Leon XIII) w niejednem wprawdzie rządowi dla osiągnięcia spokoju ustąpił, ale który przecież Kościołowi pod panowaniem pruskiem byt możliwy i spokojny zapewnił.

Wojna, po ostatniej Prus z Francyą, była już tylko jedna.

Rosya od wieków dąży do zdobycia Konstantynopola — przez co panowałaby nad Europą południową tak, jak teraz panuje nad północną, a prócz tego nad wybrzeżami Azyi i Afryki. Że zaś te kraje, pod panowaniem tureckiem, zamieszkałe są w znacznej części przez ludy słowiańskie,

a greckiego wyznania, więc Rosya w imię niby tego plemiennego i religijnego braterstwa udaje się przed światem i przed tymi ludami samymi za ich opiekunkę i przyjaciółkę. Naprawdę chodzi jej tylko o to, żeby te ludy i kraje pod swoje panowanie zagarnąć. Wszystkie inne państwa w Europie wiedzą dobrze, jakiem dla nich niebezpieczeństwem byłby zabór Turcyi przez Rosyę; zawsze też zgodnie wszystkie się temu opierały. Ale teraz, kiedy Francya była pobita, Austrya otoczona groźnymi sąsiadami, Anglia bez sił lądowych sama przeszkadzać nie mogła, pomyślała Rosya, że pora jest sposobna, jak nigdy, żeby upragniony zamach na Turcyę wykonać. Niemiec się nie bała, bo za swoją neutralność w wojnie francuskiej miała od nich przyrzeczenie neutralności w sprawach wschodnich.

Zaczęła tedy upominać się u Turków — bardzo niby szlachetnie i wspaniałomyślnie — o religijne i narodowe krzywdy Słowian południowych (zwłaszcza Bulgarów), i tym sposobem pomału, zręcznie zmusiła Turków do wojny (1876).

Wyprawiła się na nią z ogromnem wojskiem; szła niby to na wojnę krzyżową, w obronie chrześcian przeciw muzułmanom. Brat cesarski miał główne dowództwo, a pod nim było kilku zdolniejszych od niego wojskowych. Przeszła ta armia Dunaj; zdawało się, że łatwo i prędko Turków pokona. Ale Turcy bronili się walecznie: a co najważniejsza, w rosyjskim zarządzie wojskowym, dostawach broni, amunicyi i żywności tyle było nieporządku, niedołęstwa i kradzieży, że wojna szła bardzo pomału i oporem. Sam cesarz Aleksander II zjechał do obozu, żeby swoich zagrzewać i dodawać im ducha. Wojska były nierównie liczniejsze od tureckich, żołnierz waleczny i wytrzymały na trudy, a dowódcom było wszystko jedno, czy mniej czy więcej ludzi padnie. Z ogromnemi ofiarami i stratami pobili wreszcie Turków pod Plewną. Przeszli góry Bałkańskie, zbliżali się (już bez oporu) do Konstantynopola: byli już tuż pod nim, o parę mil tylko, w miejscu zwanem San Stefano: kiedy nareszcie państwa europejskie wdały się w tę sprawę. Odezwała się pierwsza Anglia. Niemcy niby jej nie popierały, ale widocznie jej były przychylne, nie Rosyi. Tem bardziej Austrya. Na ten widok Rosya się wstrzymała: nie śmiała wejść do Konstantynopola. Bała się wojny już nie z samą Turcyą, ale z innymi. Poprzestała więc na tem, że w owem San Stefano zawarła pokój z Turkami, dla siebie nader korzystny, bo właściwie oddawał on jej pod panowanie Słowian tureckich, choć pod udzielnymi niby dla formy książętami.

Ale nie poprzestały na tem inne państwa. Zażądały one kongresu, czyli narady wszystkich w sprawie tureckiej. Rosya opierać się nie śmiała, i kongres ten odbył się w Berlinie, w roku 1878.

Warunki jego były dla Rosyi gorsze od tych, które sobie sama ułożyła w San Stefano. Bulgarya w jednej połowie miała zostać księstwem lennem pod zwierzchnictwem Turcyi, w drugiej połowie zostawała pod tureckim zarządem. Bośnia i Hercegowina, dwa kraje słowiańskie, bardziej na zachód położone, przytykające do Kroacyi i do Dalmacyi, zostały własnością Turcyi, ale pod opieką i zarządem Austryi.

Rosya nie dopięła swego celu, a swój zawód i niepowodzenie na kongresie przypisywała Niemcom, mianowicie księciu Bismarckowi. On to, przyjaciel niewierny, nie popierał dość silnie żądań rosyjskich, on skrycie sprzyjał Anglii, Austryi, ale nie Rosyi! Tak Rosyanie myśleli; i odtąd zaczęła się ich złość i zawiść do Niemiec, która z czasem wydała ich przyjaźń (jeżeli nie stanowcze przymierze) z Francyą.

Na nowym tronie bułgarskim osadzono księcia Aleksandra Battenberga, Niemca (z domu książąt Heskich), bliskiego krewnego cesarza rosyjskiego. Liczyła na niego Rosya, że będzie posłusznem w jej ręku narzędziem; a co się pokazało i z tego wynikło, to niebawem wspomnimy.

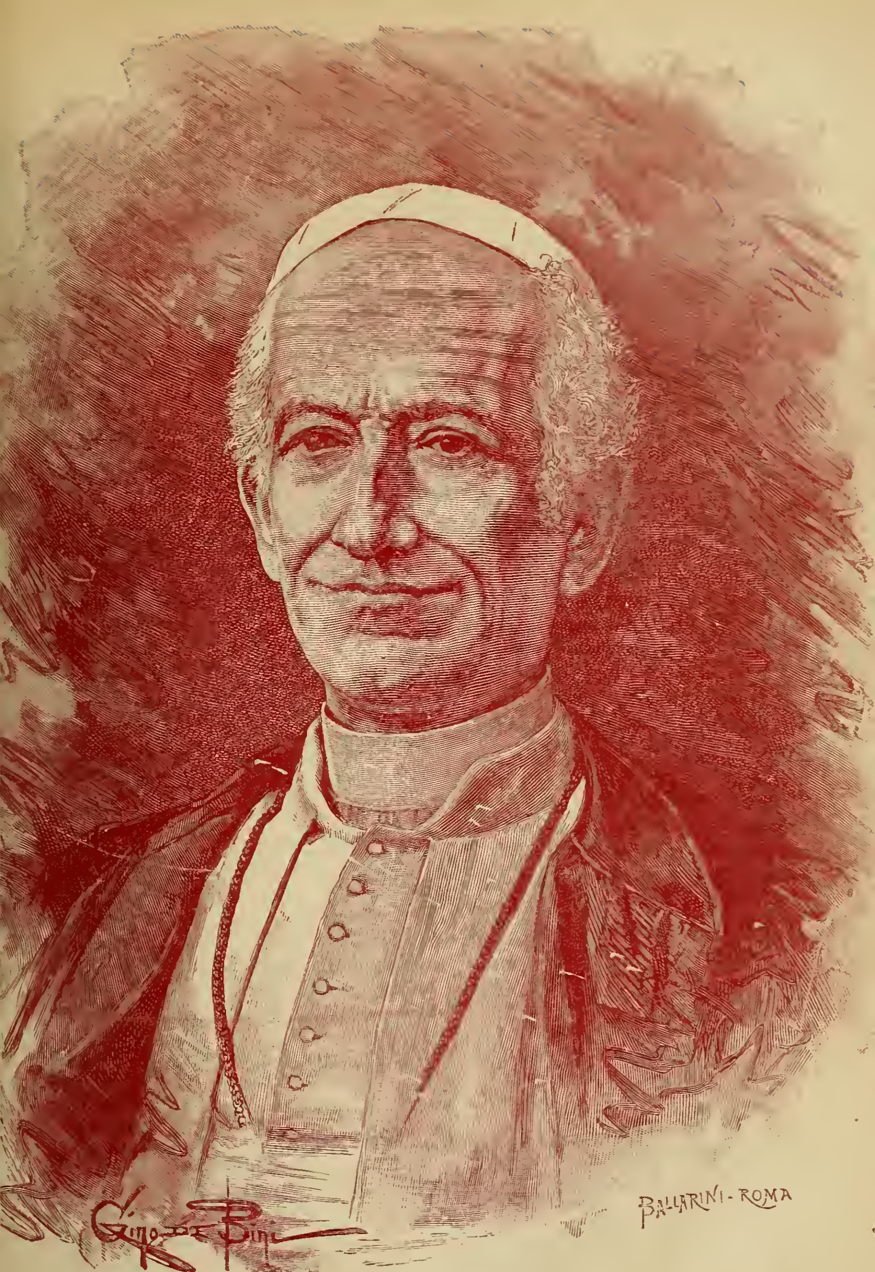
Podczas tej wojny, kiedy wojska tureckie stały blisko Konstantynopola, umierał w Rzymie król włoski Wiktor Emanuel, nastąpił po nim jego syn Humbert. W parę tygodni po tym królu, swoim krzywdzicielu, w tym samym Rzymie, umarł Pius IX [1]) dnia 7 lutego 1878 r. Jeden z wielkich św. Piotra następców, który Kościołem rządził w czasach nader trudnych i ciężkich, a zostawił go silniej ugruntowanym w katolickich sumieniach, goręcej w sercach umiłowanym, niżeli był od bardzo dawna. Polskiego też narodu i Kościoła opiekun miłościwy i niezmordowany, któremu się od nas należy wdzięczna cześć i pamięć po wszystkie wieki.

Zaczęło się *Conclave*, czyli wybór nowego Papieża. Kardynałowie, bojąc się jakiego gwałtu i przeszkody od włoskiego rządu, albo od włoskich rewolucyonistów, wchodzili do tego Conclave z pragnieniem, żeby wyboru dokonać jak najprędzej. Przeszkód takich nie było: rząd włoski owszem chciał pokazać przed światem, że Kościół jest wolny pod jego panowaniem, i sam żadnego zamachu się nie dopuścił, ani go innym nie dozwolił. Ale wybór nowego Papieża poszedł tak prędko i łatwo, jak prawie nie ma przykładu w dziejach Kościoła. Conclave, które czasem ciągnie się całemi tygodniami i miesiącami, tym razem nie trwało ani 36 godzin. Dnia 18-go lutego po południu zamknęli się w niem Kardynałowie, a 20-go przed południem już był obrany i ogłoszony Papieżem Kardynał Joachim Pecci, Biskup Peruzy, który przyjął imię Leona XIII-go i do dziśdnia szczęśliwie Kościołem rządzi na chwałę Bożą i zbawienie dusz ludzkich, przez Opatrzność zesłany wielkiego poprzednika wielki następca.

Był więc w całej Europie pokój, ale pokój ciężki i duszny: zbrojny pokój (jak go słusznie nazwano), w którym każdy tylko patrzy, zkąd i kiedy wybuchnie wojna, i sili się, żeby na tę wojnę był przygotowany, jak się da najlepiej. Ale wśród tego pokoju objawiły się niepokojące oznaki, gdzie?... w Rosyi.

Od początków prawie naszego wieku byli tam ludzie, którzy pragnęli więcej wolności, a nienawidzili cesarskiego rządu i despotyzmu. Spiskowali między sobą, czasem próbowali wybuchnąć: potem ginęli na szubienicy albo w sybirskich kopalniach. Za srogich rządów cesarza Mikołaja nie śmieli ani się ruszyć, ani pisnąć; ale za Aleksandra II, miększego, łagodniejszego, podnieśli głowę. Z zagranicy przychodziły pisma rewolucyjne, wydawane

[1]) Portret Piusa IX zamieszczony na str. 101.




PAPIEŻ LEON XIII.

przez rosyjskich emigrantów; z czasem zaczęły podobne wydawać się potajemnie w Rosyi. Ale to pragnienie wolności, szlachetne i słuszne, może dlatego że tak długo i srogo stłumione, zepsuło się u Rosyan i zepsuło ich. Nie chodziło już ani o wolność, ani o konstytucyę, ani o zmianę rządu: chodziło o to, by zburzyć wszystko, co jest. Rząd, cara, cerkiew, prawa, wojsko, sądy, szkoły — wszystko! Niech nie zostanie *nic*, a wtedy dopiero zacznie się coś lepszego. Od tego słowa *nic*, po łacinie *nihil*, nazwali się ci rosyjscy rewolucyoniści *nihilistami*. Było ich wielu i mieli nieraz odwagę, wytrwałość, poświęcenie, godne lepszej sprawy. Dawno, bo zaraz po roku 1860, zaczęli oni rozniecać pożary po różnych miastach rosyjskich, nawet w samym Petersburgu. Teraz zaczęli skrycie mordować. Zabili wielu urzędników i wojskowych, sami za to ginęli na szubienicy; ale uwzięli się najbardziej na życie samego cesarza. Wykonali zamachów kilka, bez skutku. Aż wreszcie 13-go marca 1881 roku, kiedy Aleksander II jechał sankami przez ulice Petersburga, człowiek jakiś podrzucił bombę, napełnioną dynamitem. Bomba pękła, urwała cesarzowi obie nogi; odwieziony do pałacu, skonał w kilka godzin później.

Ze strony Rosyan zbrodnia to była i niewdzięczność wielka, bo to ten cesarz, który zniósł niewolę milionów rosyjskiego ludu. Ale za polską, wylaną krew, ukarał Bóg tego cesarza; a opatrznie ukarał go rosyjską ręką, własną ręką tych poddanych, którym zrobił tyle dobrego! Dla innych jest w tem przestroga i upomnienie, żeby się bali robić tego, co o pomstę do Boga woła, i pamiętali, że Bóg, jak co powiedział, to dotrzymuje.

Nastąpił po ojcu na tron rosyjski Aleksander III. Ten wierzył ślepo i namiętnie w swoje, od Boga niby dane, powołanie, którem miał niby zapewnić panowanie Rosyi nad całą Słowiańszczyzną przez nawrócenie jej na prawosławną, rosyjską schyzmę. Co on w tej myśli robił z Polakami i katolikami (lub swoim sługom robić pozwalał), to wiemy. Ale zgodnie z tą swoją myślą i żądzą, nie rozumiał tego wcale, jak którykolwiek naród słowiański może jego nie słuchać, nie uważać Rosyi za swoją zwierzchniczkę i panią. To było powodem jego zajść, a po części niepowodzeń w Bułgaryi. Książę Aleksander, przez Rosyę na ten tron wysłany, człowiek, jak się pokazało tęgi, (który dzielnie a niespodziewanie pobił Serbów, gdy go raz niesłusznie zaczepili, pod Śliwnicą, roku 1885) — chciał być wiernym i wdzięcznym sprzymierzeńcem Rosyi, ale nie chciał być prostym wykonawcą jej rozkazów, tylko prawdziwym, niezależnym księciem swego narodu. Gdy się o tem Rosya przekonała, uknuła zaraz przez swoich agentów spisek między niektórymi Bułgarami na złożenie księcia z tronu. Spisek się udał: książę napadnięty w nocy, we śnie, uprowadzony był ze swojej stolicy Zofii i wywieziony za granicę. Nazajutrz rano Bułgarya obudziła się bez księcia: ale wtedy pokazało się, że oprócz garstki spiskowych, Rosya nie miała w niej stronników i przyjaciół. Utworzył się natychmiast rząd tymczasowy, który tamtych uwięził, a księcia powołał do powrotu. Książę wrócił, ale nie chcąc narażać swego kraju na gniew i zemstę potężnej Rosyi, oświadczył cesarzowi rosyjskiemu, że chce mu być uległym. Odpowiedź była szorstka, grubijańska. Książę Aleksander widząc, że o jego

osobę chodzi, a nie chcąc dla swojej osoby narażać kraju na zawikłania a może nieszczęścia, złożył koronę [1]). Bułgarya została bez księcia, rządzona przez sejm i ministrów, którzy szukali kandydata na swój tron. Ale nikt się nie śpieszył, bo wszyscy bali się Rosyi. W końcu przyjął go młody książę Ferdynand Koburski (z młodszej linii tego domu, który ma swoje udzielne księstwo w Niemczech). Nie uznała go Rosya, a z obawy przed nią urzędownie nie uznały go i inne państwa europejskie. Jednak rządzi tam szczęśliwie i zręcznie już od roku 1887, a dzielny bułgarski naród dowodzi, że jest i godzien i zdolny być niepodległym. Spisków na życie księcia, uknutych przez rosyjskich stronników, było już parę, ale szczęściem bez skutku. Przed paru laty książę się ożenił, a niedawno narodził mu się syn, który jest ochrzczony w wierze katolickiej i w tej będzie chowany. Zawarował to sobie książę osobnym artykułem konstytucyi, za zgodą bułgarskiego narodu, choć ten jest w przeważnej części schyzmatycki.

W roku 1889 umarł cesarz niemiecki, stary Wilhelm I. Jego syn, Fryderyk III-ci, wstąpił na tron już śmiertelnie chory i panował tylko trzy miesiące. Przyszedł z kolei wnuk, Wilhelm II-gi, bardzo jeszcze młody, po którym świat nie wiedział czego się ma spodziewać. Mówiono o nim, że rozumny i zdolny, ale że da się zawojować i prowadzić przez kanclerza, starego księcia Bismarcka. Pokazało się inaczej. Młody cesarz gotów był słuchać rad Bismarcka, ale nie chciał być malowanym cesarzem. Wszczęły się między nimi nieporozumienia, wskutek których Bismarck podał się do dymisyi. Cesarz ją przyjął. Bismarck, który przywykł trząść Niemcami i Europą, a myślał, że Prusy nie zdołają się bez niego obejść, odszedł: a niepomny na własną dumę i na należne swemu monarsze uszanowanie, rozwodził swoje żale i skargi przed wszystkimi, i nawet po gazetach. Okazał przez to całemu światu swoją małoduszność i nieszlachetność, nawet brak publicznego ducha, bo przez złość do cesarza podburzał przeciw jego władzy i powadze opinię i w sejmie i w całych Niemczech. Dla jego nieograniczonej pychy nie mogło być kary boleśniejszej, jak taki upadek niesławny, i jak widok, że bez niego cesarz i Niemcy obchodzą się i dają sobie radę.

Od Kongresu Berlińskiego oziębiła się przyjaźń między Rosyą a Niemcami, a zaczęło się zbliżanie Rosyi do Francyi. Niemcy, Austrya i Włochy zawarły między sobą przymierze, które stanowi, że, gdyby jedno z tych państw było napadnięte przez nieprzyjaciela, dwa inne obowiązują się go bronić. Dla Cesarza austryackiego bolesnem być musiało to przymierze z niedawnymi nieprzyjaciółmi, którzy mu tyle złego zrobili, ale poniósł tę ofiarę dla dobra i bezpieczeństwa swego państwa. Istotnie przymierze to daje każdemu ze sprzymierzonych to zaspokojenie, że nieprzyjaciel nie łatwo ośmieli się go zaczepić. Ale widząc związek tych trzech państw, Rosya i Francya zaczęły myśleć o podobnym między sobą. Francya pragnie zawsze odwetu na Niemcach i odzyskania Alzacyi: Rosya zazdrości Prusom, że dokonały zjednoczenia Niemiec, kiedy ona wszystkich Słowian jeszcze nie

---

[1]) Wstąpił potem do wojska austryackiego w stopniu pułkownika i umarł młodo w r. 1893.

opanowała, a pożądliwie spogląda na niektóre części państwa austryackiego. Zaczęły się więc między Rosyą a Francyą oświadczenia przyjaźni coraz wyraźniejsze i serdeczniejsze. Flota francuzka jeździła do Kronstadtu (rosyjskiego portu w bliskości Petersburga) i była tam przyjęta z wielkiemi honorami przez wszystkich, nawet przez samego cesarza. Gdyby nie to, że ostrożna Rosya boi się i nie ufa Francyi, widząc, że tam prawie co roku zmieniają się ministrowie, że wykrywają się brzydkie spekulacye pieniężne, które rzucają złe światło na dobrą wiarę i honor wielu deputowanych a nawet ministrów, może ta przyjaźń byłaby już doprowadziła do zupełnego, zaczepnego i odpornego przymierza. Dotąd zdaje się, że ono jeszcze zawartem i podpisanem nie jest; ale niemniej Francya i Rosya uważają się za przyjaciół, pomagają sobie we wszystkich sprawach, i liczą na siebie wzajemnie na przypadek jakiej wojny. W jesieni roku 1893 flota rosyjska oddała Francuzom wizytę ich floty w Kronsztadzie, a była przyjmowana z takim zapałem i uniesieniem, jak żeby była przywiozła z sobą zwycięstwo i zbawienie.

Ale ta przyjazń nie naprawiła wewnętrznego stanu Francyi. Naród przyzwyczajony od stu lat do ciągłych zmian rządu i rewolucyi, musiał stracić równowagę i rozsądne pojmowanie swego dobra. Wszędzie mogą być ludzie, którzy przez wolność rozumieją samowolę i bezkarność, a przez równość w obliczu prawa równość majątków i wygód. We Francyi jest takich dużo; a rząd Rzeczypospolitej, bojąc się żeby sam przewróconym nie był, nietylko pozwalał im mówić i pisać co chcieli, tumanić umysły a podżegać nienawiści i żądze, ale im schlebiał i starał się podobać. Po latach takiego pobłażania, i bezbożnego chowania młodzieży w szkołach, doszło do tego, że jest tam dość już silna szajka ludzi, którzy ogłaszają, że nie chcą ani Boga, ani Kościoła, ani ojczyzny, ani rodziny, ani własności, ani żadnego urzędu czy władzy. Mówią, że skoro człowiek jest wolny, to żaden inny władzy nad nim mieć nie powinien; a skoro jest innym ludziom równy, to wszystko co drugi ma, a czego on sam nie ma, jest jego krzywdą. Ogłaszają się tedy nieprzyjaciółmi wszystkiego co jest, i mówią, że każdy człowiek ma prawo pozbyć się każdego, kto mu zawadza. Nazywają się *anarchistami* (anarchia, słowo greckie, znaczy bezrząd). Zgodnie tedy z temi swojemi wyobrażeniami, zaczęli knuć morderczę zamachy. Nie chodziło im o to, żeby zabić jednego człowieka przez nienawiść lub zemstę, ale o to, żeby zastraszyć wszystkich, cały naród: i tym strachem zmusić go do posłuszeństwa. W różnych miastach Francyi, ale w Paryżu głównie, rzucali między tłum ludzi bomby dynamitowe, które pękając zabijały wielu dokoła i niszczyły budynki. Jedną taką rzucili w samej sali Ciała Prawodawczego (sejmu) w Paryżu. Sprawca był ujęty i stracony. Za to zemsta na prezydencie Rzeczypospolitej, panu Carnot. Był on w mieście Lyonie i jechał spokojnie powozem, kiedy człowiek pewien nazwiskiem Caserio, Włoch, zbliżył się jak żeby chciał podać prośbę, i ugodził go sztyletem, tak, iż nieszczęśliwy Carnot skonał w parę godzin później.

Ta śmierć oburzyła i przeraziła Francuzów: oby im posłużyła do upamiętania, że ludzie zepsuć się muszą, kiedy są długo fałszywemi naukami bałamuceni i psuci.

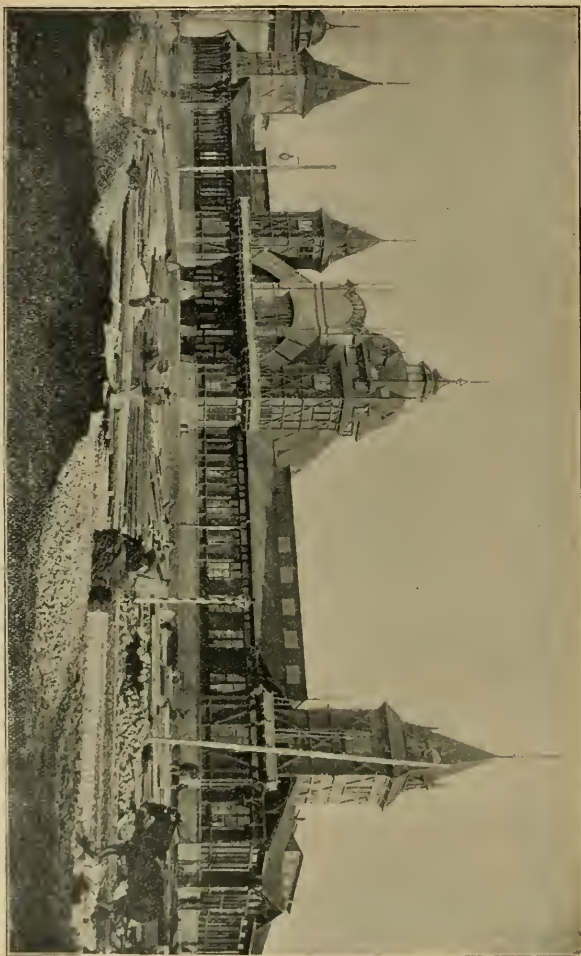
W Rosyi nic zmienia się nic, przybywają tylko nowe prześladowania katolików i Polaków. W jesieni r. 1893, w miasteczku *Krożach na Żmudzi*, chciał rząd zabrać kościół katolicki na prawosławną cerkiew. Lud zgromadził się w kościele, bezbronny ma się rozumieć, i nie chciał go oddać. Zaczęła się rzeź i gwałty. Wielu zabito, wielu pokaleczono, niewiasty krzywdzono. Świat się dowiedział i jednak trochę oburzył: Cesarz rosyjski miał się rozgniewać także, i nakazał śledztwo. Odbyło się to śledztwo istotnie; odbył się sąd. Na chwałę rosyjskiego narodu trzeba powiedzieć że trzech adwokatów Rosyan broniło oskarżonych tak szlachetnie, tak wymownie i zwycięzko, jak lepiej nie można. Dowiedli one jasno jak słońce niewinności oskarżonych, i okrucieństwa władz. Ale sąd nie ich słuchał, ani sprawiedliwości, tylko gubernatorów, którzy ów gwałt sprawili, i oskarżonych skazał na wywiezienie w głąb Rosyi. Jest jeszcze nadzieja, że ich cesarz ułaskawi; mówiono o tem wiele. Czy tak się stanie jednak? trudno w to wierzyć, kiedy świeżo, już po tym sądzie, cesarz dał wysokie ordery tym, którzy te okrucieństwa w Krożach spełniali: Orżewskiemu gubernatorowi wileńskiemu i Klingenbergowi, gubernatorowi żmudzkiemu.

Ojciec św. Leon XIII, widząc ten stan Kościoła w Polsce, podniósł głos, i wydał (w marcu 1894) Encyklikę do Biskupów polskich. Pierwszy to raz zdarza się od rozbiorów, że Papież przemawia do Biskupów na całej ziemi polskiej razem. Zaleca im wszystkim uległość względem rządów w sprawach świeckich: Biskupom w Galicyi nadto wdzięczność dla cesarza Franciszka Józefa; Arcybiskupowi gnieźnieńskiemu każe ufać w dobrą wolę cesarza Wilhelma. Rządu rosyjskiego nie gani ani jednem słowem, żeby tą naganą nie wywołać gniewu i nowych prześladowań: ale przypomina, że nigdy Kościoła polskiego z ojcowskiej opieki nie wypuścił, że zawarł z rządem rosyjskim układ (w roku 1883) a warunki tego układu, nie mówi żeby były dotrzymane (jakoż nie były): wreszcie wyliczając te główne warunki, przypomina Biskupom, w czem od praw i zasad Kościoła odstąpić nie mogą, choć w świeckich rzeczach powinni być rządowi powolni.

Kiedy zaś powtarzające się zamachy anarchistów wywołały popłoch powszechny, Ojciec św. sądził, że to powszechne niebezpieczeństwo może otworzy ludziom oczy na skutki bezbożnych praw i wychowania, na skutki niesprawiedliwych rządów, i doprowadzi ich do upamiętania. Chciał więc z takiej chwili skorzystać, i wydał Encyklikę drugą: *Do książąt i ludów całego świata*, w której wzywa władców i poddanych, żeby się przekonali, do czego dochodzą państwa i narody, kiedy zejdą z prostej drogi praw Bożych i trzymać się ich nie chcą. Uczy ich, że szczęście, spokój, postęp ludzkiego rodu, nawet w świeckiem i doczesnem życiu, zawisły od wiernego przestrzegania Bożych przykazań; a sposobem do tego jest powrót do tej jedności Kościoła, którą zburzyła schizma wschodnia dawniej, później Reformacya Lutra.

Oby ten głos wspaniały, ojcowski, był usłuchanym! Oby choć zrobił wrażenie i sprowadził początki upamiętania. W takim razie nasz wiek XIX kończyłby się pięknie, bo nadzieją lepszych losów dla tego wieku, który nadchodzi.

W tym samym roku 1894 odbyła się powszechna wystawa krajowa we Lwowie. Urządzona staraniem swego prezesa księcia Adama Sapiehy, dyrektora Zdzisława Marchwickiego, Augusta Gorayskiego, Stanisława Badeniego i innych: wystawa otwarta była 5 czerwca 1894 przez brata cesarskiego arcyksięcia Karola Ludwika. Świadczyła ona pięknie o rzeczywistym postępie, jaki kraj zrobił od lat dwudziestu, w przemyśle, rolnictwie, w szkołach, w sztukach pięknych, w górnictwie. We wrześniu zaszczycił kraj i wystawę odwiedzinami swemi cesarz Franciszek Józef ze wszystkimi ministrami. Potem powtórnie arcyksiążę Karol Ludwik z małżonką. Z gości obcych zapisać można wielu Węgrów, znaczniejszych posłów z Rady Państwa w Wiedniu. Polaków zjeżdżało na wystawę bardzo wielu, wielu włościan zwłaszcza i wiejskich dzieci,



Pawilon przemysłowy na wystawie lwowskiej.

a prócz tego liczne przyjazdy z Wielkopolski i ze Szląska. Z pod rządu rosyjskiego przyjazdy nie były dozwolone.

Pod jesień roku 1894 rozeszła się wieść, że cesarz rosyjski Aleksander III ciężko zapadł na zdrowiu. Jakoż umarł on 1-go listopada rzeczonego roku. Nastąpił po nim syn, Mikołaj Drugi. Na pogrzeb zmarłego cesarza zjechali się różni królowie i książęta, także deputowani ze wszystkich części rosyjskiego Państwa. Polacy chcieli nowemu cesarzowi okazać, że nie chcą spisków, a powstań próbować nie myślą, i wybierali się na ten pogrzeb także.



Pawilon sztuki na wystawie lwowskiej.

Warszawski jeneral-gubernator Hurko, nie chciał żeby cesarz widział grono Polaków i ich życzliwe chęci; ale pojechali mimo to, i przez młodego cesarza przyjęci byli wcale uprzejmie. Sądzono w początkach, że zechce on usunąć od rządu dawnych doradców ojca, a rządzić sam przez się i inaczej. Rosyanie spodziewali się tego tak bardzo, że ośmielili się podać prośbę o zaprowadzenie wybieralnych rad gubernialnych i przyznanie takowym pewnego wpływu na zarząd gubernii. Co do krajów polskich, zdawało się że cesarz chce rządzić w nich sprawiedliwiej, kiedy usunął z Warszawy Hurkę (prawda że na jego własne żądanie, z powodu słabego zdrowia), a na jego miejscu zamianował hrabiego Szuwałowa, przedtem posła rosyjskiego w Berlinie, który uchodzi powszechnie za rozumnego i godnego

człowieka. Ale jeżeli cesarz miał jakie dobre zamiary, to ich dotąd nie wykonał, a dawne otoczenie ojca zdaje się, że wzięło nad nim przewagę i pod nowem panowaniem robi to samo co pod dawnem. Rosyanie usłyszeli cierpką odpowiedź na swoje prośby „*niedorzeczne*“ jak się cesarz wyraził; a w polskich krajach nie zmieniło się nic. Zawsze ta sama chęć przerobienia Polaków na Moskali, katolików na schizmatyków. Gubernator kowieński, Klingenberg, ten co wykonał okrutną rzeź w Krożach — miał być oddalonym, jak zrazu sądzono, dostał niedawno order za swoje zasługi. Świeżo znowu wyszedł nowy ukaz, zabraniający Polakom poddanym rosyjskim, Polakom z Królestwa Polskiego, nie już posiadania ziemi, ale dzierżawienia jej w gubernii wołyńskiej: gubernator ma prawo każdego takiego bez śledztwa i sądu z gubernii wypędzić. Włościanie z Królestwa, którzy przedtem nabyli grunta i osiedlali się na Wołyniu, albo je w mniejszych parcelach dzierżawą trzymali, tak stracą tam swoje mienie i sposób do życia, jak więksi dzierżawcy i więksi właściciele.

W Prusiech także, pomimo lepszych jak się zdaje uczuć samego cesarza Wilhelma II, wybuchła z nową siłą zaciekła nienawiść do Polaków. Zawiązują się stowarzyszenia i spółki rolnicze i handlowe w otwartym celu, żeby ich gnębić i z ziemi wypierać. Dawna komisya kolonizacyjna ma dostać nowe fundusze na tensam cel. A środek na to, pod pruskim jak pod rosyjskim rządem, jeden: w rozumie, w wytrwałości i spokojnej cierpliwości, w pracy własnej, w czasie zresztą, który z sobą zmiany przynosi, w opiece i sprawiedliwości Boskiej, która się nie zmienia i nie zawodzi nigdy, choć się nieraz ociąga.



Tak się kończy ostatnie *Sto Lat Naszych Dziejów*. Właśnie w obecnym roku 1895 dochodzi cały wiek od trzeciego rozbioru Polski. Smutne dzieje i smutny ich koniec. Mamy wprawdzie Bogu za co dziękować, i bardzo, że nam pomógł te sto lat i tak jeszcze przebyć, i tyle sił i życia w sobie zachować: ale mamy też za co i siebie oskarżać, bo gdybyśmy byli postępowali inaczej, moglibyśmy byli tych sił mieć i wyrobić dużo więcej, aniżeli ich dziś mamy. Jesteśmy jak las, który Rosya rąbie, na to żeby cały wyrąbać, od drzew najstarszych i najgrubszych do najmłodszych zapustów. Wyrąbała strasznie wiele; a teraz wzięła się do karczowania korzeni, żeby nic polskiego na tej ziemi nie zostało i nie odrosło. To jej się, da Pan Bóg, nie uda. Ale my z tych stuletnich naszych dziejów, a i z dawniejszych także, powinniśmy wyciągnąć tę naukę, że nie dosyć jest kochać Ojczyznę bardzo: trzeba ją kochać mądrze, na to żeby działaniem swojem na szwank jej nie narażać.




UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 09 11 20 06 006 0